Marzec — 1858.

PEREGRYNACYA
STANISŁAWA WIERZBOWSKIEGO,

Wojewodzica Sieradzkiego do Francyi,

w latach 1678, 1679, 1680 i 1681

(*z niedrukowanego rękopisu*). *)

Podróże kształcą człowieka — zbliżają do siebie i polerują narody. Pewnik ten trafiał zapewne do przekonania naszych przodków, utrzymujących słusznie

*) Jest to rękopis familijny, który rodzina Załuskich odziedziczyła po Wierzbowskich, (będący obecnie w posiadaniu Józefa hr. Załuskiego, jen. b. wojsk polskich) pod tytułem: „*Memoria negotiorum domesticorum modica; posteritati meae per me Stanislaum Wierzbowski, capitaneum etc. relicta, et anno 1689 incepta.*"
Autorem rękopisu był ś. p. Stanisław Wierzbowski, potomek starożytnéj rodziny herbu Jastrzębiec osiadłéj w województwie łęczyckiem, który urodził się r. 1659 z ojca Hieronima, wojewody

czy niesłusznie: że zaniedbanie okazyi zwiédzenia obcych krajów, czyniło Polaka nieukiem, a w najepszym razie prostakiem; gdy nie szczędzili ofiar i przykładali tyle starań, by wysłać za granicę swych synów. Godziłoby się wnosić ztąd, iż życie społeczeńskie i jego zabawy w Polsce, snadź niemiały w wiekach przeszłych uroku, który im u ludów zachodnich, z powodu wyższéj oświaty i ustalenia prawideł gustu był właściwym; a nawet były poniekąd przeciwnemi zwyczajom cywilizowanych narodów, jako w téj mierze twierdzą ówcześni dający o nas wielostronne świadectwo krajowi i zagraniczni pisarze. Zatrzeć tedy tę różnicę w obyczajach, ugłaskać szorstkość rubasznego

---

Sieradzkiego, i matki Katarzyny Ginwiłłówněj Piotrowskiéj w Krakowie. Odbywszy nauki u księży Pijarów w Warszawie; daléj u księży Jezuitów w Poznaniu, Kaliszu i Samborze, nakoniec w akademii krakowskiéj, puścił się w podróż do Francyi, towarzysząc swojemu wujowi cioteczmemu, księdzu opatowi pęplińskiemu Wolffowi de Ludinghausen, który tam dla poratowania zdrowia jechał. Wierzbowski zwiedził w przejeździe Niemcy, Hollandyą, Niderlandy cesarskie. W Paryżu bawił rok cały. W roku 1681 powrócił do ojczyzny. Objąwszy swoje dziedzictwo Łask (w województwie Sieradzkiem) w posiadanie; zawarł śluby małżeńskie z Orszulą hrabianką Tarnowską, dziedziczką obszernych włości w Sanockiéj ziemi: Komborni, Jasienicy i innych, które po jego zejściu przeszły po kądzieli na własność Załuskich i po części są w ich posiadaniu dotąd. Było to w roku 1687. Nareszcie osierocony po stracie żony i jedenaściorga dzieci zrzekł się dostojeństw świeckich: mianowicie starostw łęczyckiego i barwałdzkiego, niemniéj chorąztwa łęczyckiego, które potąd piastował, i wstąpił w stan duchowny, w którym zostawszy proboszczem infułatem kollegiaty w swojem dziedzicznem mieście Łasku, dokonał życia w r. 1728. Darował cały swój majątek siostrze Ludwice, co była za Hieronimem Załuskim kasztelanem rawskim i wniosła w ten dom Łask, Gostków, Jasienice i inne dobra.

narodu, nagiąć jego marsową sierdzistość do snadniejszych i miększych form towarzyskich — stało się snadź konieczną, powszechnie uznaną potrzebą naszemu społeczeństwu; inaczejby bowiem niepodobna sobie wytłumaczyć owego niepohamowanego parcia do odbywania wędrówek po cudzych ziemiach, którą skłonność jeszcze po dziś dzień w nas samych upatrujemy.

Nie podpada wątpliwości, iż każden naród ustawnem zapatrywaniem się na ościenne przykłady, przyswaja sobie względnie lepsze lub gorsze wzory obyczajów. Z nich czerpie albo zasoby nauki, stawiające go u szczeblu wyższości duchowéj — albo nabywa dworskości, która w obejściu ogłady powierzchownéj użycza — w ogóle jednak przenosi na własną ziemię to, co indziéj chwalebnego lub pożytek niosącego spostrzega. Zauważone pod takim względem, zdają się być podróże wyborną szkołą do kształcenia umysłów: sposobnością do czynienia pouczających przyrównań, ponikiem wniosków wytrawiających opinią, odszukiwaniem przyczyn każdéj okoliczności; usiłowaniem przeto zmienienia w dobre dostrzeżonych na téj drodze w danym razie u siebie narowów.

Aliści samo podróżowanie nie zawsze potrafi uformować charakter człowieka; owszem bywa dopiero, lub przynajmniéj być powinno uwieńczeniem całości wychowawczego dzieła, które w własnym kraju koło nas podjęto. Trzeba się czuć w pełni umiłowania prawd wieczystych, tchnąć żywym zapałem do tego, co dobre i piękne, cnoty i jéj w serca nasze z mło-

du wszczepionych przepisów; jedném słowem stanąć u szczytu dzielności moralnéj: by w zetknięciu się z obczyzną, nie uronić téj szacownéj, lecz tu i owdzie do wiotkiego może rdzenia przylgniętéj pozłoty obyczajowego udoskonalenia, która nas, by kamień szlifierski ową szpetną z natury swéj bryłę, w drogocenny klejnot przeobrazić zdoła, by zatem nie postradać długoletnim mozołem w nas wpojonych zasad uznania, szacunku i miłości należnych ojczyznie, rodzinie i strzesze domowéj; by więc nie wyjść z granic słuszności i umiarkowania w uwielbianiu upatrzonych w trybie zagranicznych narodów zalet i w skutek powziętéj ztąd, acz najczęściéj niesłusznie, pogardy dla tego co swojskie; nie popaść w błąd nierozważnego naśladownictwa, oczywiście nie we wszystkich rzeczach godziwych obcych zwyczajów.

Tym tedy idąc torem, lubo strzegąc się zahaczenia o jego ujemną stronę; odbywali starożytni Polacy, za przykładem Anglii, Niemiec, Skandynawii i innych północnych narodów, w wiekach średnich peregrynacye do Włoch i Francyi — podówczas, gdy umiejętności i sztuki piękne głównie w italskiéj i galskiéj ziemicy kwitnęły. Ztamtąd znosili obfite plony, bogacące wiedzę w skarby mądrości, nabytéj w studyach akademickich, i w obcowaniu z uczonymi ludźmi na rozgłośnych po całym chrześciańskim świecie wszechuczelniach w Pawii Bononii, Padwie, Rzymie Paryżu i innych. Za powrotem owych pielgrzymów naukowych do rodzinnego kraju, rozchodził się wnikły tam-

że w nich promień światła nauk; szerzył się nabyty połysk towarzyskiego poloru po całéj społeczności polskiéj.

Od wieku szesnastego, czyli od chwili nastania króla Henryka na rządy polskie; zwrócił się ten prąd wędrowniczy niemal wyłącznie ku Francyi, a w szczególności ku jéj stolicy Paryżowi — słynnemu swoją akademią Sorbońską; przybrał jeszcze większe rozmiary od czasu skojarzenia się ogniwem małżeństwa Władysława IV z osobą pokrewnéj monarsze francuzkiemu księżniczki: Maryi Ludwiki Gonzagi. Azali ów zwrót pielgrzymstwa polskiego w jeden punkt Europy wpłynął korzystnie lub nie na wszechstronne usposobienie naszego spółeczeństwa w epoce, w któréj niniejsza podróż się odbywała; o tém coś pewnego utrzymywać nie łatwo; gdyż wiadomo: iż znane powszechnie szkodliwe skutki tych, obopólnie coraz ściślejszych między-narodowych Francyi z Polską stosunków, wynikły na jaw dopiero w dobie późniejszéj.

W owych czasach odbywali wojaże do cudzych krajów na własną rękę tylko panicze, synowie wysokich i bogatych domów — wiodący z sobą za granicę stosunkowo mniejszy lub większy orszak dworzan. Synowie obywateli średnich fortun pragnący o ile można, najłacniéj dostać się za granicę; czepiali się dworu możniejszych podróżników: posłów, dygniarzów, magnatów — jadących w publicznych lub własnych sprawach. Do rzędu takowych należał równie

Wierzbowski, wieszający się, po ostatniem zakończeniu studyów w szkołach Samborskich u OO. Jezuitów, przy osobie swojego wuja, opata Peplińskiego, księdza Wolffa, który celem poratowania nadwątlałego zdrowia za granicę jechał. W towarzystwie tego pokrewnego sobie chorego prałata, przebył Niemcy północne Niderlandy, póki śmierć dostojnego pacyenta wytężonego trudem tak długiéj bo prawie pięć miesięcy trwającéj podróży, w samych granicach Francyi nie zaszła — zaczem już sam dalszą do Paryża odbywał drogę. — Nie będziem śledzić szczegółów téj podróży, zostawiając jéj opowieść autorowi, który uczyniwszy wzmiankę o niektórych ważniejszych wypadkach, jaki wyjazd jego z kraju poprzedziły; tak swą wędrówkę opisuje.

Anno 1678, Die 3 Maji stał się wielki *casus* w Gdańsku, od lutrów niezbożnych. Tegoż dnia szła prosessya od OO. Karmelitów do Oliwej — solenna. Tam Gdańszczanie naśli kościół, uderzyli (nań) i *funditus* zrujnowali, zrabowali — księżą [2]) poranili. Najświętszy Sakrament wyrzucili z puszki. Ale też potem tego przypłacili; bo wielką summę dać musieli, i ledwo kościoła

---

[2]) Księży (*dawna konstrukcya*).

Panny Maryi nieutracili: gdyby się był król na kampanią nieudał.

Wyjechaliśmy do Lwowa. Tam niemały czas mieszkaliśmy; bo król IMć rezydował.

Odprawowało się tam wesele Imciéj Pana kanclerza Koronnego Wielopolskiego, który pojął IMć Pannę markiziankę *d' Arquien*, rodzoną (żonéj) króla IMciej.— Co ten człowiek [3]) za *disgusta* pojął; trudno wypisać! Tylko to dokładam: „*Bogdaj równą szlachciankę pojąć; niż się z domami wysokimi łączyć! Bo to wielki koszt— a mały pożytek: dla zpowinowactwa królewskiego szlachecką kondycyą stracić!*“ — Na tém weselu oddawał *pannę JW. IMć.* Pan Jabłonowski, wojewoda ruski, a hetman Wielki Koronny — stylem wielce obszernym; wywodząc: jako (panna) *idzie z szesnastu królów francuzkich w powinowactwie*; wywodząc herby: *trzy lilie— trzy jelenie — trzy młotki etc. etc.* A IMć Pan Sieniawski, drugi hetman, dziękował wielce krótko w ten sposób: „*Nie trzeba mi się rozwodzić z genealogią IMcij Pana kanclerza; bo wiedzą na cały świat sąsiedzi, jak kto siedzi. Herbów nie wywodzę; tylko to przyznam; iż herbowny koń IMciej* [4]) *będzie się umiał paść na tych liliach etc. etc.*

Na ś. Jan [5]) wiązał IMć Pan Wojnicki [6]) we Lwowie króla IMciej złotą czarą, pełną portugałów [7]). Od-

[3]) Wielopolski

[4]) Alluzya do herbu Stary Koń Wielopolskich.

[5]) Imieniny króla Jana III.

[6]) Stanisław Skarszewski, kasztelan wojnicki; ojczym autora.

[7]) Złotych pieniędzy potugalskich.

dawał to wiązanie IMć Pan Jan, syn (jego), a brat mój przyrodni — z oracyą. Na co król odpowiedział: „*Oracya piękna — orator grzeczny; a wiązanie bogate!*“

IMć Ksiądz biskup [8]) chciał mię posłać do Włoch; a IMć Dobrodziejka nie chciała: tylko abym jechał z IMcią Księdzem Hoffem, a wujem moim do Francyi — i tak przewyższyła.

Ruszyliśmy się tedy *die 13 Julii* — w dzień ś. Małgorzaty, od IMciej Dobrodziejki z Sambora ku Pęplinowi [9]) pod Gdańsk. Któremu [10]) IMć Dobrodziejka dała dwieście czterdzieści Czerwonych Złotych, dla mnie na *cambium* [11]).

Die 1 Augusti stanęliśmy w Pęplinie; zkąd wybieraliśmy się do Francyi.

Tegóż miesiąca — *ad finem* rozrządziwszy IMć ksiądz wuj opactwo; zdawszy *omnem jurisdictionem* IMciej Księdzu Skóraszewskiemu, przeorowi tamtecznemu (który trzecim opatem po nim był); a Panu Wołczyńskiemu administracyą: ruszyliśmy się do Gdańska.

Jechało nas w tę drogę trzech: IMć ksiądz opat — ja, i Pan Kuryłowicz, kochanek [12]) IMciej wielki. Ledwośmy pół mili ujechali od Pęplina; zapaliły nam się u karety przednie koła, i razem połamały się. *Co był znak niepowrotu IMciéj Księdza wuja!* — Wstąpiliśmy do IMciej Pani generałowéj wdowej Wolffowej. Od której przybraliśmy niemca jegera [13]), jéj kochanka [14]): dla pro-

---

[8]) Stefan Wierzbowski, biskup poznański, stryj autora.

[9]) Niegdyś opactwo Cystersów, w dawnem województwie pomorskiem; w królewskich Prusach.

[10]) Księdzu Wolffowi.

[11]) List zamienny czyli weksel.

[12]) Faworyt.

[13]) Strzelca nadwornego.

[14]) Faworyta.

wadzenia przez niemieckie państwo — jako świadomego człowieka.

Zabawiwszy się kilka dni u IMciej Pani generałowéj, i pożegnawszy (ją); przyjechaliśmy do Gdańska, na konkluzyę jarmarku sławnego, na ś. Dominik. Tam mieszkaliśmy niemal półtoréj niedzieli; nim nam sprawiono suknie cudzoziemskie. — Napatrzywszy się różnych rzeczy i widowisk — zwierząt rozmaitych przez ten czas; ubrawszy się należycie — na *cambia* wyliczywszy pieniądze — okręt sobie do Lubeka nająwszy; w dzień ś. Krzyża w Imie Pańskie siedliśmy w okręt pod Latárnią [15]) — ale przy złych wiatrach. Przez cztery dni, nieupłynęliśmy nad sześćdziesiąt mil [16]). Tam mutacya była zdrowia; tuszyliśmy sobie: że już tam na miejscu zostaniem [17]). — Z sobotej na niedzielę wielka burza powstała o północej, gdzie sami szyprowie zdesperowawszy, o salwowaniu siebie myśleli — nas pozamykawszy kłódkami w okręcie. A że przeciwne wiatry były; prosiliśmy się: „*per misericordiam Dei!*“ aby się nazad (szyper) wrócił — odstępując tego, cośmy mu obiecali od siebie; to jest: pięćdziesiąt Czerwonych Złotych; i wszystkich prowiantów. — Złodziej (szyper) tak był uparty; (że) niechciał. Koniecznie chciał przetrzymać burzę, a doczekać się lepszych wiatrów. Bo miał tego racyą słuszną; nabrawszy ludzi tak wiele, i towarów siła skrytych, które chciał przeprowadzić pod protekcyą IMciej Księdza opata, spodziewając się: że posłem jedzie do Paryża. Przy których [18]) ujdzie wszystko. — Że zaś opak fortuna posłużyła, a coraz większe następowało niebezpieczeństwo: widząc i sam

---

[15]) Twierdza mała z kagańcem morskim przy ujściu Wisły do morza; po niemiec. *Weichselmünde.*

[16]) Morskich.

[17]) Z powodu choroby morskiej.

[18]) Posłach czyli ambassadorach.

swoją zgubę; musiał obrócić nazad ku Gdańsku, odebrawszy od nas to, cośmy mu byli obiecali. A w nas dopiero dusza wstąpiła, która już na on świat dysponowała się; i spełniło się na nás owo przysłowie: *Qui nescit orare — vadat in mare!*"

Płyniemy tedy szczęśliwie nazad ku Gdańsku, z wiatrem bardzo dobrym. Co samo (to) pokazuje: że, cośmy przez cztéry dni tam ujechali sześćdziesiąt mil — to ruszywszy się od południa w niedzielę; stanęliśmy o wtóréj (godzinie) mila od Oliwéj [19]. — Tam w bacik *maleńki* pod strachem *większym* [20]) wsiadłszy; przypłynęliśmy do lądu, a piechotą do konwentu przyśliśmy. Tam nam był rad IMć Ksiądz Czapski, opat oliwski. Trzymał nas trzy dni w ochocie swojéj. — *Tandem* odesłał nas do Gdańska, gdzie musieliśmy nająć furmana do Hamburga.

Jadąc z Gdańska do Hamburga; byliśmy w Sztetynie, prędko po odebraniu od Brandeburczyka Szwedom [21]). Jednak nie było się czemu przepatrzyć; bo *funditus* — dobywając go, zrujnowali bombami nie tylko miasto, ale zamek i kościoły: aż trunny śpiżowe umarłych dawnych biskupów widać było w grobach. — Miasto portowe. Odra (tu) wpada w morze. — Zda się być obronne; ale kiedy się dało szturmem wziąść: daremna obrona! — To *intra parenthesim.* — Ja się wracam do swojéj dalszéj drogi.

W Hamburgu stanąwszy, dowiedzieliśmy się o tym okręcie, cośmy się nim puścili do Lubeku byli: iż go rozbójnicy morscy rozbili — wszystko zabrawszy. —

---

[19]) Niegdyś opactwo Cystersów, w dawném województwie pomorskiem, w królewskich Prusach; słynne pokojem zawartym tamże między Polską a Szwecyą w r. 1660.

[20]) Igraszka słów (*lusus verborum*).

[21]) Salvandy: „*Histoire de Pologne*". *T. II page 232.*

W tém mieście niebawiliśmy się nad tydzień. — Traktował nas książę meklemburskie *solennissime* [22]).

Tu IMć Ksiądz opat począł chodzić po kawalersku [23]) — niewydając się: że ksiądz, i *incognito* celebrował; bo się inaczej nie godziło — dla lutrów.

Miasto to jest piękne, wielkie; ale nie bardzo obronne. Wiar [24]) siła ma w sobie publicznych. — Sama tylko katolicka kryć się musi dla heretyków.

Ztąd ruszyliśmy się do Bremy. Było to *quondam* arcybiskupstwo, które cesarz chrześciański *per pacta* ustąpił Szwedowi: i do tychczas je trzyma. Miasto to niewielkie, ale piękne. Kościół Katedralny wielki i piękny. Ma mury i wały koło siebie.

Z Bremy ruszyliśmy się do Embden, nad morzem. Tam dowiedziawszy się o krewnéj swojéj; jmćks. wuj, de Ludenhausen: wyboczył; i tam się cieszyliśmy tydzień. Radzi nam byli; traktowali należycie. Grzeczna dama i rozumna; a co większa katoliczka; i chowa sobie kapelana; choć mąż luter. Ta miała córeczkę jednę dorosłą, piękną, z którą JMć. Wolff zrękował Kuryłowicza (to wszystko sprawił affekt JMci przeciwko niemu, że go srodze kochał) i determinowali wesele, jak z Paryża powracać będzie. Deklarowali dwanaście tysięcy talarów bitych po niéj, z należytą wyprawą; podarunki *ab invicem* dali sobie: z szkatuły księdza wuja on; bo niemiał nic: wielki chudy derwisz, — tylko z niego zbogacił się: tak wiele rzeczy pobrawszy po nim z klejnotów i innych ruchomości, jak niżéj będzie o tém. *Tandem* pożegnawszy się, ruszyliśmy się do Emdy nazad. Tam przenocowawszy, puściliśmy się barką, morzem do Amsterdamu: Ale i tam nieszczęściło nam się,

---

[22]) *Pomyłka.* Podejmowanie to miało zapewne miejsce w którem z miast meklemburskich.

[23]) Po świecku.

[24]) Wyznań religijnych.

jako i pierwéj pod Gdańskiem, bo się nazad wrócić musieli: *propter periculum majus*, w którém zostawaliśmy. I tak lądem musieliśmy jechać, nająwszy sobie wóz bez dyszla: bo taki tam zwyczaj jeździć. Jechaliśmy po grobli do samego Amsterdamu. Z jednéj strony wielka *planities* przy nizinie; a z drugiéj strony morze. Koło téj grobli ustawicznie, dzień i noc robią ludzie; bo gdyby się zerwała, zalałaby dość miast i wsi; jakotéż *quondam* uczyniła, co teraz tylko beczki wielkie pływają nad temi wieżami, żeby się okręty nierozbijały. [25]).

Przyjechaliśmy tedy szczęśliwie do Amsterdamu: miasta pięknego, potężnego i ochędożnego, a we wszystko bogatego. To miasto nad morzem. Po niektórych ulicach ma kanały, któremi nietylko barki, ale i pomniejsze okręty wchodzą w miasto. Te kanały obmurowane z obu stron. Bywa tu pewnemi godzinami *fluxus et refluxus aquae*. Kiedy woda odstąpi, to cokolwiek w wodzie zostanie: znajdzie się. Kościoły ma piękne i wielkie: staroświecką manierą; *quondam* bywały katolickie. Ratusz wspaniały: marmurem białym i czarnym *ab extra i intra* ozdobiony. Sztuki i historye różne: kamienników robotą wylaborowane. Na nim wieża piękna, z zegarem, z dzwonów akkomodowanym. Nim zegar bije w jaką pieśń, na tymże pozytywie grają całą godzinę, radnym panom do obi du i wieczerzy. Są także wielkie pałace różnych panów; a drugie, gdzie z floty indyjskiéj składają różne towary, to jest, srebra, złota, drogie kamienie, indyjskie materye, obicia etc. etc, i inne galanterye.

---

[25]) Rozumie tu zapewne autor wielką odnogę morską, zwaną morzem czyli jeziorem południowem (die Süder-see) która się przez przerwanie grobel, chroniących ląd od morza, i zatopienie niemal 60 mil □, w 13tym wieku, w Holandyi uformowała. Jest ona dotąd właściwą żeglowną komunikacyą, —która handel Amsterdamu i innych wielu miast wielce ułatwia i utrzymuje. Beczki zaś pływające, są to owe, które oblane smołą by nie gniły, i pospajane łańcuchami; oznaczają mielizny żeglarzom niebezpieczne.

Dostanie tam wszystkiego, co tylko ludzkie serce potrzebuje. Ta tylko nieszczęśliwość, że wiara prawdziwa w skrytości zasiadła; bo niegodzi się nic publicznie czynić, co do nabożeństwa: tylko w kamienicach katolickich, na skrytych miejscach. Jest wiele kościołów różnych zakonów, sami zaś zakonnicy chodzą jak kupcy, po cudzoziemsku: kuso, — w czerni; tylko kiedy mają celebrować, to rewerendy zwierzchnie kładą pod alby.

Co zaś inszych wiar może być na świecie: w tém mieście zasiadły, — i nabożeństwa swoje publicznie odprawują. *Eminet* przecie luterska i kalwińska. My tu w tém mieście, *per septembrim et octobrim* rezydowali: dla słabego zdrowia JMć ks. opata, wuja naszego, któ ry prawie ledwo nie umarł; ale i Kuryłowicz źle się miał: z jegerem niemcem, od JMć. Pani generałowéj Wolffowèj, z nami posłanym. Jam tylko z łaski Boga mego zdrów był, i wszystkim usługowałem należycie. Com tam użył, przy tych chorych, samemu panu Bogu jawno: wszystkich najlichszych posługaczów urząd odprawując, a wszystko to sprawiła miłość do wuja. Tych chorych leczył żyd: doktor sławny, — apostata; który był Augustyaninem lat pięćdziesiąt; a spowiednikiem cesarzowéj Eleonory dwadzieścia lat; który potem do żydowstwa się wrócił: jako nim był. Był tu i drugi apostata z Polski: dominikan: znajomy wielce JMć. ks. wujowi. Chciał go odwieść od tego, różnemi sposobami: ale nie mógł; i tam został. Tu to stolica apostatów. Na ten czas rezydował tu rezydent króla JMć. Jana: na imię Mollo; człowiek godny wielce i kochający Polaków: którym wszelką czynił obserwancyą, i jako mógł, drugich suplementował. Ten dla króla JMći kupił krokodyla żywego; (dał zań talarów bitych dwa tysiące: *propter raritatem*) i różnego ptastwa indyjskiego: które przy nas odesłał morzem do Gdańska. Tam Polacy Lieuważni drażnili się z nim, i uderzył go jeden w głowę —

Zaraz na miejscu został w żelaznéj klatce; a już niemały był. I tak pieniądze daremne; a król kontentować się musiał zdechłym: z wielką swoją żałością.

Gdy tedy do zdrowia przyszedł JMć. ks. wuj, ruszyliśmy się z tego miasta, tak niezdrowego (bo słońca ledwo którego dnia widać było kwadransami: dla mgły ustawicznéj, i z samego torfu palenia dymu). — Najęliśmy sobie barkę morzem do Antwerpiéj i stanęliśmy szczęśliwie w dzień ś. Stanisława Kostki zrana.

Zapłaciwszy szyprowi, co nas przywiózł, gospodę opatrzywszy; poszliśmy na nabożeństwo do OO. Jezuitów: z wielką radością, żeśmy się doczekali dorwać się do katolickiego miasta: kryjąc się po innych miastach z nabożeństwem. Tam zastaliśmy brata JMć. ks. wuja de Ludinghausen, jezuitę: kommunią rozdającego, i ucieszył się wielce JMć dobrodziéj, choć chory był bardzo. Tamże lud wielce nabożny i obserwujący duchowieństwo. Usłyszawszy od Ojców, że Biskupa przyprowadzono, (*alias* przynieśliśmy go w krześle z Kuryłowiczem), zaraz po błogosławieństwo do niego przychodzili i mieliśmy z nim trochy turbacyej, bo kiedyśmy go nieśli: to i po ulicach ludzie klękali, a on ich żegnać musiał.

To miasto wielce piękne i wielkie, obronne, niedaleko morza: *ad ostium* rzeki *Scaldis*, po któréj okręty płyną pod miasto; i niedarmo nazwane: *ocellus christianitatis*: bo żadnéj wiary i sekty niema, tylko *pure* chrześciaństwo. Zamek piękny, katedra wspaniała: z ciosanego kamienia; i wieża z niegoż, przezroczysta, wysoka. Druga mniejsza: *artificiose* murowana. Kollegium *soc. Jesu* piękne i wspaniałe; kościół z marmuru białego i czar-

nego: *sumptu* wielkiego. Dostatki w nim wielkie: w złocie, w srebrze, — i w apparatach. Są i tak wiele zakonów różnych; ale nam się nie dostało widzieć, dla krótkości czasu: bośmy nie bawili nad trzy dni więcéj.

Ztamtąd ruszyliśmy się barkami, po kanałach kopanych, do *Bruxelles*, niepośledniego miasta od drugich, bo to jest sedes vicerejów brabanckich. Tam rezydowaliśmy niemal trzy niedziele, dla słabości JMć. ks. wuja, u mniszek Dominikanek w szpitalu: dla wygody lepszéj JMci, bo tam i doktorzy dobrzy doglądają, i cyrulicy,— a nadewszystko panny te zakonne mają dozór wielki koło chorych. Jakoż wielkie staranie czyniły koło pana, i gdyby ich, i doktorów był słuchał: żyłby był do tych czas. On albowiem chciał się leczyć na kamień w wezyce [26]), którego niemiał, a doktor uznawszy jego chorobę i zrozumiawszy, podejmował się wyleczyć należycie, tylko upór nie dopuszczał, i sroga hypokondrya, na którą zapadł był tu w mieście.

W tém mieście było co widzieć, tylko choroba wuja niedopuściła. Co zamek, kościoły różne; te się splondrowały okiem. Między wszystkiemi najbardziéj mi się podobał OO. Jezuitów: z bogactwa; bośmy trafili na uroczystość ś. Ksawerego, którego *solennissime* obserwują *cum octava*. Co to tam za bogate apparaty: trudno wypisać. — Tu wszystkiego dostanie; osobliwie w rąbkach, płótnach cienkich i koronkach flamskich [27]), kamlotach brukselskich, żadne miasto nie celuje.

Ztąd dla uporu JMć. dobrodzieja, ruszyć się musieliśmy ku Paryżowi: choć i doktor sam nieradził, i owszem prorokował, że kilku dni niedoczeka: umrze w drodze. Najęliśmy karetę zwyczajną: tylko dla samego pana i nas, od której tośmy dać musieli, co ośm osób

---

26) W pęcherzu.
27) Flamandzkich.

płaci; to jest: czerwonych złotych *in specie* czterdzieści. Uwiązaliśmy mu łóżko na pasach; i tak w pierzynce wieźliśmy go bardzo słabego i zsiniałego tak, żeśmy rozumieli, że już kona. Musieliśmy dla téj okazyéj wstąpić do *Mons* [28]) miasta, i dzień jeden odpocząć, a gdy się uspokoił, my też wyszli przypatrzyć s ę miastu, które na górce lokowane, niewielkie a piękne, i obronne. Ma w sobie kościół katedralny i biskupa; jednak kanoników niemasz, tylko fundacya na kanoniczki świeckie, a pod starszą zostające. Wolno iść im za mąż, lub nie; jednak z fundacyej muszą śpiewać *horas canonicas*, jako kanonicy, i w stallach siedzą. Odziane ubiorem kanoniczym; a kwefy na głowach wielkie, przeźroczyste. — Fundacyą mają bogatą wielce; i wielkich domów tylko są panny. To *percipiunt* jako kanonicy; tylko *differunt*: że wolno iść za mąż, — jeżeli chce.

Odpocząwszy tedy w tem mieście, ruszyliśmy się do *Valenciennes* [29]), miasta; ale już w znacznéj słabości JMć był. Tam stanęliśmy dnia 10 Decembra w austeryéj, gościom przyzwoitéj, i ordynaryjnéj [30]), do któréj ledwośmy z karety wynieśli pana wpół żywego, który i sam uznawszy słabość po sobie, żałował, że się ruszył z *Bruxelles*: a niesłuchał doktora perswadującego, i nas życzliwych, — a już darmo. My też uważywszy, że siły ustają: co prędzéj posłaliśmy po kapucynów do dyspozycyéj, którzy z wielką ochotą przybiegli do nas, i należycie dysponowali: nieodstępując, ni dzień, ni noc JMci. *Tandem* przystąpił dzień ostatni dobrodziejowi mojemu, a nam równał się sądnemu: kiedy *d. 17 decembris*, we środę *de media nocte*, ducha panu Bogu od-

[28]) Miasto umocnione i stołeczne Hannowii, prowincyi belgijskiéj, nad rzeką Trouille.

[29]) Miasto i twierdza nad rzeką Skaldą w dawnéj Hanonii francuzkiéj w dzisiéjszym departamencie *północy* (dép. du nord).

[30]) Zwykłéj.

dał. Nas wziąwszy pod opiekę swoją, i dyrekcyą w tak dalekie kraje: zostawił w żalu, turbacyéj i niedostatku, bo wlekąc się tak długo, i bawiąc w różnych miastach, po kilku niedzielach: niemal wszystkie pieniądze, cośmy mieli, strawili. Był to człowiek wielkich cnót, pobożności, dobroci; polityk, — i co pomyślał, wszystko akkomodował należycie. On królowi Michałowi najukochańszy, królowi Janowi do fantazyéj. Samym królowom JMciom w usługach, do ukontentowania, senatorom i braci szlachcie, do rozweselenia politycznym dyskursem; zakonnikom przykładem, a swoim krewnym miłością i dobrze czynieniem. Ukontentowanie osobliwie domowi JMć. pp. Kosów, bo siostrzenica jego najukochańsza za nim była którzy też wszystko po nim pobrali. Umierał z dyspozycyą wielką, bo mu téż pan Bóg czasu użyczył. Na moich rękach skonał, i jam mu oczy z wielkim żalem moim zawierał. Po śmierci eksenterować we dwanaście godzin kazał doktor, a nim cyrulicy przyszli, przystąpiła gwardya od administratora tamtejszego i według zwyczaju cudzoziemskiego (kiedy umrze, wszystko konfiskują na króla; i nam téż tak uczyniono) zabrano wszystko, tylkośmy tak zostali, jako natenczas zastano nas. Co który miał przy sobie; tem się kontentować musiał. Gdy go eksenterowano, znaleziono w nerkach kamienie, takiéj wielkości i kształtu, jako cybuchy tureckie, płuca zeszpecone bardzo, serce małe, i uschłe wielce, *intestina* wszystkie zdrowe, — tłuste: że doktor i cyrulicy wydziwić się nie mogli, opowiadając to: że ten człowiek mógł żyć z jakie sto lat.

Obradziwszy tedy należycie ciało, sporządziwszy trumnę jednę dębową: drugą ołowianą; złożyliśmy za uproszeniem w kościele OO. Kapucynów; *intestina* w katedrze, jako proszono; wodę zaś, co płukano przy eksenteracyéj, wylano w dół u farnego kościoła: przed tąż zaraz wystawionego austeryą. Serce zaś należycie ador-

nowawszy i cyną oblawszy, wzięli z sobą. (Do Pęplina potem odwiezione, jako tegoż zakonu ojcowie prosili).

Po eksekwiach jakie na ten czas wprędce mogły być, prosiliśmy, OO. Kapucynów, abyśmy mogli zabawić się u nich w klasztorze: niemając czem się sustentować, a do tego i wykupić; cośmy się podłużyli tak doktorom, cyrulikom, jako i kupcom różnym, i zostawaliśmy aż do nowego lata na ich porcyach. Było nas dwu: ja i Kuryłowicz, a tym czasem do Paryża z *cambium* kartkę posłaliśmy do JMć. p. Torka prosząc, coby on cokolwiek przysłał pieniędzy, żebyśmy mogli się eliberować z tego miasta. Co z wielką ciężkością uczynił, że dwieście talarów przysłał: a ostatek *cambium* aresztował w pewnym długu, który mu winien był ś. p. JMć. ks, wuj. U tych ojców subtelnie mieliśmy się, bo tylko jabłka suche, a barszczyk jadaliśmy w adwent, w święta téż mało co lepiéj, bo też i oni z jałmużny żyli. A zatem przyszedł weksel z Paryża, który ledwo wystarczył na zapłatę długów, i na drogę do Paryża.

Co z większego tedy zapłaciwszy; w ostatku słowo zastawiwszy u Ojców poczciwych; ruszyliśmy się z *Valenciennes* do Paryża, nie opuszczając przecie i w têm mieście, należytości do widzenia, które nie celuje innych miast; tylko samą fortyfikacyą, która tak wielka jest że ledwo co miasta widać wierzchołków, z wałów. Król francuzki tu był przed tym czasem odebrał hiszpanom przed przyjazdem naszym,— i do tego czasu trzyma [31]).

Tegoż roku agitował się sejm w Grodnie, *die 10 decembris*, w litewskiem księstwie (na którym marszałkował JMć p. Sapieha koniuszy W. X. Lit.) i skończył się szczęśliwie. Jednak memu JMć ks. stryjowi, poznań-

---

[31]) Ludwik XIV, król francuzki, który w wojnie 1677 r. osobiście swojéj armii przywodząc,— zdobył za radą sławnego inżeniera *Vauban*, twierdzę *Valenciennes* szturmem, wśród białego dnia.

skiemu biskupowi, niebył szczęśliwy, kiedy deklarowawszy mu król biskupstwo krakowskie; potém dał je JMci księdzu Małachowskiemu, chełmińskiemu biskupowi; podkanclerzemu Koronnemu.

Roku tedy 1679, *4 januari*, szczęśliwie stanąłem w Paryżu; w austeryéj, gdzie wysiadają: z *Bruxelles* przyjechawszy. Zastałem tam JMci p. Hieronima Załuskiego, wojewodzica rawskiego [32]), który mię wziął z sobą do swojéj gospody; i bawiłem się kilka dni, aż sobiem odebrał *cambium* należyte, które ledwo *ex parte* ustąpił p. Tork, guwerner JMć p. starosty wiślickiego [33]); a potém opatrzyłem gospodę należytą na ulicy ś. Germana, pod obrazem ś. Franciszka. Tam stali pp. Unrugowie, kasztelanicowie gnieznieńscy; JMć pp. Męcińscy, (*teraźniejsi* starosta wieluński i podkomorzy wieluński). Inszych zaś w mieście zastałem, których wypisuję dla wiadomości, że z tak wiele godnemi ludźmi peregrynowałem; a naprzód:

JMć p. Wielopolski, kanclerz koronny; poseł.
„ „ Morsztyn, podskarbi wielki kor. „
„ ks. Brzostowski, teraźniejszy biskup wileński.
„ „ Koryciński, nominat chełmiński, proboszcz miechowski.
„ p. Kochanowski, kasztelan czechowski.
„ „ Lubomierski, wojewodzic krakowski.

---

[32]) Późniéj kasztelana rawskiego, a razem, przez ożenienie się powtórnym ślubem z Ludwiką Wierzbowską, — szwagra autora.
(przyp. wydawcy).

[33]) Denhoffa.

JMć p. Łeszczyński, „ podlaski.
„ „ Bąkowski, „ malborski.
„ „ Załuski, „ rawski.
„ „ Daniłowicz, starosta lubelski.
„ „ Denhoff „ wiślicki.
„ „ Butler „ drohicki.
„ „ Męciński, teraźniejszy starosta wieluński.
„ „ Męciński (brat jego), podkomorzy wieluński.
„ „ Małachowski, teraźniejszy wojewoda poznański.
„ pp. Unrugowie, kasztelanicowie gnieźnieńscy.
„ ks. Wąsowski, kanonik lwowski.
„ p. Gliński, chorążyc sędomierski.
„ pp. Brzostowscy, bracia JMć ks. biskupa wileńskiego.
„ p. Dębiński, chorąży oświecimski.
„ „ Piegłowski.
„ „ Bedliński.
„ „ Kochanowski, kasztelanic czechowski.
„ „ Bidziński, chorążyc.
„ „ Sapieha, teraźniejszy opat paradyski.
„ „ Wyżycki; *grand mousquetaire.*
„ „ Bogatko; *grand mousquetaire.*
„ „ Kącki; „ „
„ „ Trzeciak; „ „
„ ks. Sokolnicki; opat bledziejowski.
„ „ przeor Rokicki, tegóż zakonu [34])
„ p. Zawada.
„ „ Bronisz; teraźniejszy marszałek.
„ „ Opaliński; starosta szremski.
„ ks. Psojecki, kanonik teraźniejszy krakowski [35]).

---

[34]) Cystersów.
[35]) Guwerner kasztelana kr.

„ p. Myszkowski; gubernator JMć p. krakowskiego [36]).
„ „ Trzemeski.
„ „ Łącki.
„ „ Sławuta.

Tego roku wyjeżdżał Jp. Morsztyn, podskarbi wielki koronny, w poselstwie od króla Jana polskiego, do króla francuzkiego, któremu asytowaliśmy wszyscy będący. Jako kto mógł: sporządził się, dla honoru narodu swego. Traktowano *solennissime* w ambasadorskim pałacu przez trzy dni (w Paryżu). Dawano, co komu było potrzeba: *ad satietatem*. Wolno było i tam spać, komu się podobało; miał swoję wygodę we wszystkiem.

Tegoż roku odprawowało się wesele z wielkim kosztem, córki duka *d' Orleans*, a synowicy króla francuskiego: za Filipa króla hiszpańskiego [37]). Było się czemu przypatrzyć, kiedy te oba narody, z strojami i magnificencyą swoją zjechały się.

Roku tego, w wilią ŚŚ. Szymona i Judy apostołów, o godzinie dziewiątéj w nocy, pokazała się kometa w Paryżu wschodząca: bardzo wielka i straszna,— która po wszystkim świecie widziana była. Długość jéj na dwa tysiące mil wdłuż była: jako astronomowie powiadali paryscy.

---

[36]) Jędrzeja Potockiego; her. Piława.

[37]) Filipa V, syna Ludwika, delfina francuzkiego i Maryi Anny, księżniczki bawarskiéj, który atoli powołany został na tron hiszpański dopiero w r. 1700 na mocy testamentu króla hiszpańskiego Karola II.

Jam ten rok strawił na nauce języka, geografiéj, geometryéj, rysowania, tańcowania i fechtowania.

Tego roku siła posłów od różnych królów przyjeżdżało do króla francuzkiego. Jedni *solenniter* według swoich narodów powagi wprowadzeni byli drudzy też *incognito*. Było czém oczy napaść... *et sic transit gloria mundi!...*

Anno 1680, odprawowało się wesele w Saint-Germain [38]), cztery mile od Paryża,— delfina, królewica francuzkiego, z księżniczką bawarską; z wielkim apparatem i aplauzem. Tę damę król przyjmował. Wyjeżdżał na kilka mil z wojskiem. Podarunki wielkie oddawano; Komedye, balety, opery extraordynaryjne nowe wyprawowano. Jedném słowem, było się czemu przypatrzyć.

Tegóż roku JMć ks. Koryciński, nominat chełmiński, proboszcz miechowski, brat mój cioteczny, z Gębickiéj urodzony, przybył do Paryża z Hiszpaniéj: po expedyowanem poselstwie u króla hiszpańskiego, onerowany wielkiemi podarunkami. *Inter caetera* miał otrzymać taki łańcuch, po trzy ogniwa wielkie spajany, długi; żeśmy go wiązali u balki [39]), a kołysali się: kto go rozerwie; a niemogliśmy poradzić. U niego zaś wisiał portret króla hiszpańskiego. Mogę mówić, że było w niem ze czterysta czerwonych złotych. Ten wizytował zakon

---

[38]) **Saint Germain en Laye, miasto w dawnéj prowincyi paryzkiéj (*Isle de France*), a w dzisiejszym departamencie Sekwany i Oazy (*Seine et Oise*), nad pierwszą z tych rzek, z zamkiem monarszym i sławnemi jarmarkami.**

[39]) **Belku czyli stragarza.**

swój, kanoników i mniszki *sepulchri Christi*, których był generałem: tak po Hiszpaniéj, Francyéj, Belgium, jako też i po drodze, gdzie tylko byli. *Fatigatus* tak wielką drogę, zapadł tu, i léczył się; ale się też przyłączyła i choroba cudzoziemska: co mu nos wypadł. Niemógł się wykurować, choć wszystko łożył,— co tylko miał; ale i podarunki nieutrzymały się. Widząc się tedy z obu stron *debilitatum*, tak na zdrowiu, jako i worku; puścił się ku Gdańsku, i tam przyjechawszy,— mało co wytchnąwszy pospieszył *in viam aeternitatis*. Któremu niech Pan Bóg da wieczne odpocznienie!

Tegoż roku 1680 *d. 20 Augusti*; w niebytności mojéj: oblokła habit zakonu cystercyeńskiego [40]) siostra moja rodzona, p. Helena,— w obłoku: za ksieństwa JMć p. Zofiéj Gębickiéj wojewodzanki łęczyckiéj. JMć. p. rodzicielka, a dobrodziejka nasza sprawowała obłóczyny z kosztem niemałym, a z wielką turbacyą i kłótniami. JMć p. Chomętowski Marcin łowczy sędomirski, jako szwagier oddawał klasztorowi.

Eodem anno, JMć. ks. Dobrzelewski, officyał poznański, rezygnował probostwo łaskie, trzymając je dwanaście lat. Po którym nastąpił JMć ks. Marcin Walewski z Buczku, syn JP. stolnika sieradzkiego.

Jam też ten rok mniéj potrzebnie strawił w Paryżu; wolałbym był u inszéj nacyéj. Tylkom na ekspektatywie zostawał *cambium*; bez którego trudno się ruszyć, będąc dłużnym. Przyjąłem sobie sługę od JMć p. Sapiehy p. Sławutę, którego potem zostawić musiał, bo mi ledwie samemu pieniędzy na drogę wystarczyło.

Paryża nie opisuję, bo tak wiele jest woluminów o nim pisanych. To tylko przydaję, że jest miasto wszystkich delicyi pełne. Chcesz być świętym?— Możesz; bo znajdziesz tak wiele okazyj i ludzi, z których wzór

---

[40]) PP. Benedyktynek.

możesz wziąć świątobliwości. Jest tak wiele świątnic pańskich, klasztorów pobożnych, bibliotek, szkół. Sama Sorbona [41]) udoktoryzuje cię. Chcesz być złym?— i tam prędzéj dostaniesz kompaniéj, którą się zepsujesz, i na duszy i ciele okancerujesz. Chcesz oczy napaść?-- Masz ludzie piękne, pałace, ogrody, galanterye, obrazy wyśmienite, roboty przepyszne i delikatne, w subtelności komedye i opery,— a najbardziéj opery i *Versailles* ogród: co [42]) to dwoje aż do zapamiętywania człowieka przywodzi. W skarbcu też królewskim tam, jest na czem oko zabawić. Chcesz słuch naprawić?— Masz wszelkie muzyki, opery, balety,— z nowinami [43]) z całego świata. Chcesz serce napełnić wonnościami?— Masz różne balsamy, wódki zioła przepyszne w ogrodach: że ledwo nie duszą człowieka zapachem swoim. Chcesz w smaku, ukontentowanie mieć?— Masz wszelkie co tylko pomyślisz, potrawy; frukta przepyszne, wina słodkie najprzedniejsze i inne, wódki poziomkowe, malinowe, porzéczkowe, cytrynowe; limoniaty, ciokolaty, herbaté, kaffy; ciasta przepyszne; zwierzynę pańską, a osobliwie skopowinę, co rozmarynem wszystka pachnie; wody *inter caetera* wielce zdrowe. Słowem jedném: czego chcesz i pomyślisz,— masz; tylko Boga chwal, a nieodstępuj przykazań Jego: bo tam prędka okazya jest do tego.— Nie dostajeć w Paryżu samym?— to wyjechać o kilka mil do pałaców różnych; tam znajdziesz co do cielska: ukontentowanie; a co do duszy: *sprawować się dobrze*“ to Niebo ukontentuje wiecznie.

Natenczas gdym ja był, żył jeszcze książe Kondeusz [44])

---

[41]) Najwyższa szkoła paryzka.

[42]) Które.

[43]) Z nowościami.

[44]) Ludwik Kondeusz (*Louis II de Bourbon, prince de Condé, duc d'Enghien)*, zwany, wielki książę z krwi królewskiéj i sławny

u którego bywaliśmy. Wielce był wdzięczen, i kochał się w Polakach, mówiąc i wspominając: „O! gdybym ja był waszym został królem, zrównałbym ja z Francyą; żeby żaden tu nie postał: — mógłby to mieć w ojczyźnie swojéj".

Tandem na początku roku 1681, przysłano mi *cambium*; i miasto dalszéj peregrynacyéj do Włoch, — nazad do domu pośpieszyć kazano. Ale że natenczas karnawał się zaczął i jarmark główny: *la foire saint-Germain*, który trwa aż do Wielkiéj nocy; a zewsząd się kupcy nań zjeżdżają, i z różnemi galanteryami i dziwowiskami; zatrzymałem się, dla ucieszenia się, — i rozerwania na konkluzyą; a potém posypawszy popiołem głowę, ruszyłem się w samą wstępną środę ku Polscze. A że zaraz po mięsopuście niechciał się nikt ze mną puścić: tak z ekstraneów, jako i swoich: musiałem sam jechać, w melancholiéj; a drugi furman, co wiózł karetę do *Bruxelles*, od któréj zapłacić musiałem złotych ośmdziesiąt i sześć paryskich [45]); a nim wyjechał, wsiadając rewidowano rzeczy wszystkie w felejzach, [46]) i od funta wagi po cztery grosze dać trzeba.

Na noc stanąłem w *Petit Lonore* [47]).

D. 19. Na obiad stanąłem w *Senlis* [48]), mieście biskupiem, pod znakiem: *grand cerf*; mil pięć.

---

wojownik francuzki siedmnastego wieku; był współzawodnikiem królów Michała I, i Jana III, do korony polskiéj: w latach 1669 i 1675.

[45]) Zapewne liwrów paryzkich (*livre parisien*) monety przed rewolucyjnéj francuskiéj, któréj 1=2 złp.

[46]) Tłomoczkach skórzanych; z niemieckiego *Felleisen*.

[47]) Dzisiejsza wieś *Louvres*, w departamencie Sekwany i Oazy (*Seine et Oise*) 4 mile od Paryża.

[48]) Miasto w dep. Oazy *Oise* nad rzeczką *Nonnette*; ma jednę z najwyższych wież Francyi, jest rezydencyą podprefektury. O mieście tém czytaj: *Panorama des Universum's Zweiter Jahrgang*

D. 20 februarii: na obiad stanąłem w *Pont* [49]) mieście, gdziem dał złotych dwa, groszy dziesięć. Na noc stanąłem w *Corneille*, pod znakiem; *aux armes de France*,— i tamen południował.

D. 21. Stanąłem na noc w *Roye* [50]) mieście, pod znakiem: *au cheval blanc*; gdziem dał groszy dwadzieścia i pięć.*

D. 22. Stanęliśmy na obiad we wsi. — Na noc stanąłem w *Peronne* [51]), mieście biskupiem, które jest dobrze ufortyfikowane, bo kończy granice francuskiego królestwa: między *Belgium*. Jest tam kościół wielki; ma cudowny obraz,— i święty biskup tam leży.

— Stałem: *au grand cerf*; i rewidowano rzeczy od których zapłacić musiałem i od stołu.

D. 23. februarii, stanąłem na obiad we wsi: pod lilią francuską. Na noc w *Cambray* [52]).

D. 24. Stanąłem we wsi pod ś. Barbarą, na obiad. W *Valenciennes* na noc. Tam niewstępowałem do ciała ś. p. wuja mego, u kapucynów złożonego; bom się bał, aby mię nie przytrzymali za dług Kuryłowicza, co niezapłacił (a przysłano mu z Pelplina pieniądze i na dług, i na wyprowadzenie ciała; a do tego dostał mu się łańcuch szczerozłoty, z krzyżem ametystowym wielkim;— o którym udał, że go musiał na długi obrócić, co nie

---

Prag. 1835 Nr. 28 str. 218 gdzie i rycina tamecznego tumu i wieży się znajduje.

[49]) *Pont saint-Maxence*, miasto w departamencie Oazy (*Oise*), nad rzeką tegoż nazwiska.

[50]) Miasto i twierdza nad rzeką *Arres* w dawnéj Pikardyi, a w dzisiejszym dep. Sommy (*Somme*).

[51]) Miasto i twierdza w dawnéj Pikardyi w tym samym departamencie nad rzeką Sommą niegdyś podle granic Niderlandów hiszpańskich.

[52]) Miasto i twierdza nad rzeką Skaldą w dawnym Kameraku (*Cambrésis*) w dzisiejszym departamencie północnym (*du nord*) stolica podprefektury.

jest tak). — Ztąd pisałem do Paryża, do p. Sławuty, co u mnie był.

Die 25 februarii, stanąłem na obiad we wsi. Na noc, w *Mons* mieście: *au prince d' Aremberg*.

Die 26, stanąłem na obiad we wsi *Soignies* [53]). Na noc w mieście: *Nôtre-dame de Halle* [54]) pod jeleniem

Die 27, stanąłem na obiad w *Bruxelles à l' église d'or* i ztamtąd pisałem do Paryża, do p. Sławuty.

Die 28 februarii pojechałem barką do Antwerpii, od któréj dałem złotych dwa, groszy dziesięć. Stanąłem na noc tamże: *au petit Paris* (mil dwanaście francuskich), gdziem dał złotych pięć, groszy dziesięć.

Die 1 martii, puściłem się barką, morzem do Roterdamu, od któréj dałem złotych trzy, groszy dziesięć.

Die 2 martii, stanąłem w wieczór w Roterdamie, gdziem musiał na barce spać, bo jeszcze ludzie spali. — Jest to miasto wielkie i sławne u lutrów, doktorem ich Roterdamem, którego statua w rynku stoi marmurowa wielka, *in honorem ejus doctrinae*. Tu śledzi wiele się poławia; kupcy są bogaci; miasto ochędożne, jako to w Holandyéj.

D. 3. martii, przejechałem Delft [56]). Na obiad stanąłem w Hadze. Jest to rezydencya książąt *d' Orange*, które [57]) *praeeminet* nad siedmią *provinciis confoederatis*. Tam widziałem dwór tego książęcia, i assystencye wojskowe. Stanąłem niedaleko bramy i pałacu, na przeciwko perukarza, gdziem dał złotych sześć.

---

[53]) Dzisiejsze miasto w Hannowie, prowincyi belgijskiéj.

[54]) Halle miasto w Brabancyi południowéj, prowincyi belgijskiéj, nad rzeką *Senne*.

[55]) Erasmus Rotterodamus.

[56]) Miasto w południowéj Hollandyi, nad rzeką Schie.

[57]) T. j. książe orański niegdyś dziedziczny namiestnik (stadhuder) konfederacyi batawskiéj, obecnie król hollenderski (Autor uży-

D. 4. martii po obiedzie, pojechałem do Amsterdamu barką, od któréj dałem złotych dwa, groszy dziesięć.

D. 5. martii stanąłem o dziewiątéj w Amsterdamie; gdziem się widział z JMcią p. Mollem, rezydentem króla JMć naszego, — i JMcią p. Orzechowskim. Tam niebawiąc, zaraz po obiedzie o pierwszéj, puściłem się pocztą do Osnabrugu.

D. 6. Stanąłem w Derden [58]) mieście, gdziem dał złotych cztery i pisałem do p. Sławuty i p. Materny, — i JMci dobrodziejki, prosząc o supplement.

D. 7. Po obiedzie, puściłem się do Naarden [59]) na noc.

D. 8. Przyjechałem przez Deventer [60]); stanąłem we wsi na obiad. Przejechałem miasto Delden [61]); stanąłem na noc w Teklenburg [62]).

D. 9. Stanąłem i na obiad i na noc we wsi.

D. 10. Stanąłem w Osnabrugu [63]) na obiad, mieście słusznem i pięknem, książąt osnabrugskich stolicy. Na noc stanąłem we wsi, gdziem zastał pannę jednę, która jechała do Paryża.

---

wa rzeczownika „książe“ w rodzaju nijakim, wedle dawnego sposobu mówienia).

[58]) Zapewne: Mujden, miasto i twierdza, nad morzem.

[59]) Miasto warowne nad morzem; leży tak, jak i poprzednie w prowincyi północnéj hollenderskiéj.

[60]) Miasto warowne i handlowe nad rzeką Yssel, w prowincyi hollenderskiéj: Overyssel; sławne wyrabianiem pierników.

[61]) Miasto hollenderskie w prowincyi Overyssel.

[62]) Miasto powiatowe w prowincyi westfalskiéj rejencyi monasterskiéj stolica zmedyatyzowanego i pod panowaniem pruskiem zostającego księstwa Bentheim Teklenburg; niegdyś udzielnego księstwa Teklenburg.

[63]) Miasto w królestwie hanowerskiem; sławne zawarciem przedugodnego traktatu 1648, który poprzedził kończący wojnę Trzydziesto-letnią.

Tegoż dnia rano wywróciliśmy się z wozem; a że nas siedziało osób dwanaście jeden podle drugiego, — na ławeczkach; jam z francuzem siedział, któremu że zimno było, a jam miał kierejkę turecką, od starosty szremskiego, podszytą skórami [64]); użaliłem się go i w jeden rękaw on głowę włożył, a ja w drugi; i tak przed sobą okryliśmy się. Jak się wywróciło na jego stronę, on mnie pociągnął impetem na się, i złamałem mu obojczyk: zaczém musiał zostać w tém mieście, a siebie słusznéj kompaniéj i konfidenta pozbawił. Był to komedyant paryzki.

D 11. martii minąwszy Limburg [65]) miasto, stanąłem na obiad w Minden, biskupiem mieście, które należy do Brandeburczyka. Tam dałem za furę złotych dziewięć, groszy ośmnaście. W téj katedrze jeszcze kanonicy są katolicy; choć biskup luter. Bo tak stanęło *per pacta*' aby ich kanonik objął kanonią, jeżeli w miesiącu ich umrze; bo się podzielili miesiącami. *Januarius* lutersk a *februarius* katolicki *et sic per consequens*. I tak nieniemogą się doczekać, żeby który umarł w ich miesiącu; bo zawsze przeżyje do swego miesiąca. Na noc stanąłem we wsi.

Die 12. stanąłem w Hannover, — księstwie; gdziem się bawił trzy dni, czekając poczty, i jadłem obiad u JMć Grani.

Die 13. byłem na pałacu księcia, gdziem widział wszystkie pokoje i galanterye tego książęcia, i audyencyą uprosiłem sobie u księżnéj; — bo samego nie było: był we Włoszech. *Eodem die* byłem na komedyéj — po któréj byłem traktowany.

---

[64]) Futrem.

[65]) Zapewne: Lübecke; miasto w prowincyi westfalskiéj, rejency Mindeńskiéj.

Die 14. ostałem się [66]) JMcią p. Niemieryczem, który mnie informował w dalszą drogę. — *Eodem die* o dwunastéj, puściłem się na noc do Pejna [67]). To miasto do Koloniéj należy.

Die 15 martii stanąłem na obiad w Brunświku; — mieście, gdzie jest rezydencya książąt tegóż imienia. — Tu zjadłszy, puściłem się na noc do wsi.

Die 16 stanęliśmy w mieście Helmstedt [68]), sześć mil od Brunświku: gdziem zapłacił pocztę aż do Magdeburga. Dałem złotych sześć; groszy dziewięć (*marianos*) [69]). To miasto należy do książąt Brunświckich. — *Eodem die* stanąłem we wsi na noc.

Die 17 martii stanąłem na obiad w Magdeburgu, mieście do brandeburczyka należącém. Tam dla widzenia *raritates*, zostałem się i na noc. To miasto jest piękne i forteca niepoślednia kiedyś. Tylko temi czasy: jako ona, tak i mury w niej nadwerężone przez szweda, — kiedy z brandeburczykiem wojował [70]). Tu jest zamek zrujnowany. Kościół *quondam* katedralny, piękny, staroświecki: Ottona [71]) murowania; który kosztował ośmnaście milionów. W tym kościele był biskup Udo (o którym w „Przykładach" [72]), i tu skarany od

---

[66]) Rozstałem się.

[67]) Miasto w królestwie hanowerskiem, prowincyi hildescheimskiéj; nad rzeką Fuse, — słynne jarmarkami na konie i bydło.

[68]) Miasto w Księstwie Brunświckiem, w murach którego mieścił się niegdyś uniwersytet.

[69]) Pieniędzy luneburskich (marionenses).

[70]) Tu zdaje się zachodzi myłka; bowiem nie w wojnie Szwedów z brandeburczykiem, gdyż dopiero w roku 1680 przeszedł pod panowanie pruskie, lecz w wojnie trzydziesto letniej r. 1631, doznał Magdeburg niesłychanej klęski po zdobyciu go szturmem przez wojska tak zwanej ligi S. pod dowództwem pamiętnego swemi okrucieństwami Jenerała Tilly.

[71]) Ottona wielkiego; cesarza niemieckiego; r. 950.

[72]) *Zwierciadło przykładów*, Kraków u Jędrzejowczyka 1621 fol.

Boga za swoje *delicta*. Znać to miejsce, gdzie go św. Maurycy w kark bił; bo i stoi jego statua w pół chóru małego z mieczem. A ten kamień, na którym klęczał, — okrągły pod statuą; — kiedy go skrobie: to bardziej czerwieńszy, jakoby krew się z niego dobywała. Jest i ten obraz albo statua Matki Boskiej: pana Jezusa na ręku piastującej: po prawéj stronie, w krzyżowéj kaplicy, — w górze; co do niego mówił: „*O Udo! Udo! cessa a ludo.*“ W wielkim zaś chórze jest dziura po prawéj stronie, którędy go rokosznicy [73]) prowadzili; a gdy tam głowę włoży, to wielkie szumy i wołania słychać [74]).

Pokazują tu i drabiny, po których pana Jezusa spuszczał Nikodem. — Pokazają ogień zamknięty oliwny, który jako zapalony: jeszcze niezgasł: bo tylko z boku dolewają, i zapieczentowany: bo jakby zgasł, toby intratę odebrano, co cesarz fundował na ten ogień. — Jest i chrzcielnica potężna, porfirowa, wielkiego waloru: że z jednego kamienia stawiona. — Są tu i po lewej stronie dwoje dzieci zkamieniałych; za przekleństwem rodziców. Ciało w kamień się obróciło, a kości zostały; które *ex parte* wyglądają. — Leżą tu siła biskupów; i wiele nagrobków jest pięknych i bogatych: osobliwie cesarskiego brata Ottona [75]). — W tym kościele muszą śpiewać lutrzy: *horas canonicas*, — i stroić się w ubiór kanoniczy; bo jeżeliby tego nieuczynili: wielki niepokój mają, — i te wsie, które trzymają, musieliby oddać. Tak jest w paktach. — Niedaleko tego kościoła jest klasztór OO. Bernardynów *quondam*; teraz szkoły luterskie. W nim najpierwéj mieszkał Luter, będąc mni-

---

[73]) Rokoszanie.

[74]) *Zwierciadło przykładów.* Przykład XIII str, 978—983.

[75]) Nie brata cesarskiego; lecz samego cesarza Ottona wielkiego, † 973 r.

chem; ukazują jego celę, adornowaną, — z tym napisem: „*Hic Martinus Lutherus, prima cunabula gessit.*“ — Jest i inszych wiele kościołów; tylko czasu nie było, bawić się. A patrzeć też teraz na luterskie oszpecenie bardziej żal; niż konsolacya (że świątnice pańskie i ciała świętych taką obelgę cierpią).

Die 18 martii rano o godzinie siódméj, ruszyłem się na obiad do wsi: zapłaciwszy furę, od któréj dałem złotych jedénaście. — *Eodem die* przejechałem miasto nowe [76]), które od cesarskich jest zburzone. Na obiad stanęliśmy we wsi. — Na noc stanąłem w mieście Gentin [77]).

Die 19 martii, stanąłem na obiad w Brandeburgu [78]), gdziem widział katedralny kościół bardzo piękny. Stolica to książąt brandeburskich i elektorów: od któréj się zowią. — Na noc stanąłem we wsi, cztéry mile od Berlina.

Die 20 martii, przejechałem przez miasto Spandau: gdzie jest niedobyty zamek; do którego, choćby i sam Kurfirszt brandeburski przyjechał musi czekać: aż kommendant rozkaże: a to dla *praejudicium* drugich książąt. Ten zamek dwie mili od Berlina. — Na obiad tanąłem w Berlinie, na ulicy brandeburskiéj u p. Wolffa Ottona. Tam widziałem pałac Kurfirszta i Kurprinca. Kurfirszta samego nie zastałem; wyjechał był do Pocdamu, — przeciwko synowi swemu Ludwikowi, który pojął księżniczkę Radziwiłłownę kalwinkę wielką. — A żem się zabawił; musiałem i przenocować.

Die 21 martii po obiedzie, puściłem sięącztą do Frankofurtu: za którą dałem taler bity; a że na pocztę

[76]) Nowe miasto magdeburskie (Magdeburger Neustadt), pół mili od Magdeburga.

[77]) Miasto powiatowe w Saksonii pruskiej, rejencyi magdeburskiej

[78]) Niegdyś katedra i stolica biskupów brandeburskich.

trafiłem; pisałem do Sławuty do Paryża, — i na pocztę warszawską do JMci dobrodziejki. — Na noc stanąłem w Neudorf, wsi.

Die 22, stanąłem na obiad w Fürstenwald [79]). To miasto murem obwiedzione i wałem; ale samo puste w sobie. — Na noc stanąłem w Frankfurcie.

Die 23. — Byłem przez ten dzień cały w Frankofurcie, bo niedziela była, — niechciano puścić. *Eodem die* pożyczyłem dziesięć talerów bitych u kupca pewnego, który ze mną jechał do Poznania: p. Leiten-Mauperris, z Brunświku.

Die 24, tamże strawiłem czas, i widziałem się z p. Wejerem i z p. Unrugiem, i z Rothkirch ślązakiem. Ten Wejer był ze mną, w drodze do Paryża jadąc; aleśmy go zostawili w Amsterdamie chorego: i ztamtąd wrócił się do JMci p. generałowéj Wolffowéj.

Die 25 martii stargowałem sobie furę do Poznania: za talerów pięć; groszy dziesięć.

Die 26, puściłem się rano do Neudorf [80]), wsi JMci p. Międzyrzeckiego. — Na noc stanąłem w Bledzejowie opactwie Imci ks. Opalińskiego, nominata poznańskiego.

Die 27, puściłem się na obiad do Rokitny, gdziem został i na noc. Tam mi ojcowie byli radzi: osobliwie ks. przeor, który w Paryżu ze mną był, — razem z ks Sokolnickim, opatem. — Potém

Die 28, puściłem się do Międzychoda, miasteczka JMci p. Unruga. Tam dla wielkiéj niepogody musiałem zostać na noc.

Die 29, ruszyłem się na obiad do Pniew, miasta; pod którem potkałem JMci p. starostę Osieckiego. —

---

[79]) Fürstenwalde, miasto w marchii brandeburskiej; rejencyi frankfurckiéj, — nad rzéką Spreą.

[80]) Włość w dzisiejszej rejencyi Poznańskiéj, powiecie międzyrzeckim; podle granic brandenburskich.

Na noc stanąłem we wsi, która należy do biskupstwa poznańskiego.

Die 30 martii, stanąłem na obiad w Poznaniu, u jednego jurysty; gdziem mieszkał przez dwa dni.

Die 1 aprilis, zgodziłem się z furmanem do Sieradza: za złotych trzydzieści. Tegóż dnia byłem na pogrzebie u OO. Bernardynów, JMci p. Błeszyńskiego i JMci p. Krzyckiego, kasztelana poznańskiego. Chciałem być u JMci ks. Sufragana; ale go nie było. Tegóż dnia byłem u OO. Jezuitów na dyalogu.

Die 2 aprilis puściłem się ku Kaliszowi. — Stanąłem na noc we wsi.

Die 3 aprilis, stanąłem w Kaliszu na noc drugą. Tam zabawiwszy przez dzień jechałem do Ołoboka. Stanąłem w sam wielki czwartek rano; i tam świętowałem. Ucieszywszy się z ciotką JMcią p. ksienią Gębicką, z siostrą i z drugiemi znajomemi i pokrewnemi; ruszyłem się po świętach do Łasku, gdziem ekspedyował furmana; a JMć p. ksieni odesłała mię swoją karetą do Łasku. — Gdym przyjechał niepoznał mię nikt. Trafiłem na pogrzeb Rogawskiego syna. Z kościoła poszedłem do dworu; ale mię i podstarostwo Mietelscy niepoznali, aż nierychło. Rozgościwszy się; z Niemcem się porachowawszy, — oddałem (mu) pieniądze, co mi porzyczył i odesłałem go do Wrocławia. Który był wielce kontent; ale ja bardziej, że mię doprowadził na miejsce.

Na tem się kończy opis *Peregrynacyi* Stanisława Wierzbowskiego.

Jan Konrad Załuski.

O ŁAŹNIACH W KRAKOWIE.

Najwięcéj może z miejsc-opisów w naszéj historycznéj literaturze zajmowano się Krakowem — jako najważniejszą i najdłuższoczesną stolicą Polski — a najmniéj pono zebrano wiadomości do tego odnoszących się miasta.

Nie małe też to było i jest zadanie chcącemu coś dokładnego o niém wystawić. Kraków bowiem był stolicą królów, środkowiskiem działań, a ztąd promiennikiem stosunków religijnych i politycznych — siedzibą i ogniskiem władz narodowych, z których rozliczne inne na cały rozbiegały się kraj — daléj, Kraków mieścił matkę nauk umiejętności i sztuk głośną

niegdyś swém słowem w Europie — był domowiskiem największych i najzamożniejszych dostojników Rzeczypospolitej i znakomitych obywateli — był niemałą targownią ruchu przemysłowego, kupiectwa itd. itd. dość powiedzieć, Kraków był stolicą państwa w najznamienitszéj dobie dziejownictwa polskiego! Jakże ogromne i bogate pole dla dziejopisarza!... Aby zobrazowáć to — odpowiednio do powyższych i innych względów — i mnogich trzeba zasobów i górującego mieć w sądzie i przenikliwości ducha.

Nim ku temu przyjdzie, nim się kto do tego zabierze, po trochu trza przysparzać materyjałów — zgromadzać czego trzeba i co się nadarzy. Jak w ogóle tak w szczególe wiele przedmiotów i okoliczności, pod rozmaitemi kierunki miasta tego dotyczących, nie jest jeszcze do tyla opisanych, ileby sobie w jakiejś przecie całości życzyć należało — niektóre może nawet nie napomknione. Czemu to przypisać? Najłatwiejsza pono do dania, a najtrudniejsza do przyjęcia odpowiedź, żeśmy się do zbierania materyjałów późno kwapić poczęli, a zacząwszy, ustawali, od czasu do czasu pojedynczo się do tego zapędzając. — Mnogo więc do zrobienia!...

Szacowny już jest wprawdzie — z nowoczesnych — opis Krakowa jak i drogocenne zbiory z różnych rozrzuconych zapisków, do niego się odnoszące, nagromadzone przez p. Ambrożego Grabowskiego — wielowarty jest obraz tegoż miasta z rozmaitemi przydatkami przez pana Józefa Mączyńskiego — chwalebne pomniejsze zbiory p. Józefa Łepkowskiego itd. ale

to wszystko — jak ciż sami wyznają — jest dopiero wskazówką, jak wielki jest obszar do zajęcia i jak wiele uzupełnień z rzeczy i z ducha nie dostaje.

Przeto wydobyty i przydany jaki szczegół przyczynić się może do wyjaśnienia niejednéj rzeczy. Z ogłoszeniem takiego spieszyć się każdy winien, bo to słuszna, aby — kiedy nam tego lub owego brakuje, kiedy nam chodzi o tyle różnych przedmiotów do całości, kiedy każda z ubiegłych wieków drobnostka do żywego nas zajmywa, zwłaszcza gdy każda w wiadomościach do całości przydatną, a niejedna jakby zawiasą związku się staje — aby, mówię, nietylko potrzeba, ale miłość, ta jedyna sprężyna ruchu, pobudzała nas do wiadomości działań i zasług Ojców naszych, i do okazania wdzięczności, chociaż tak spóźnionéj.

Jakże przyjemnie byłoby czytać, jak przyjemniéj jeszcze chlubić się wielkobrazem przeszłości! A jakże nam daleko do tego! Bo gdzież mamy przynajmniéj historyję dawnych tynów, późniejszych grodów, zamków? — dawnych teremów a późniejszych pałaców, tak tych jak owych będących własnością dostojników państwa różnorako czasem znamienitych? gdzie ich historyopis? gdzie ich, gdzie po nich pamiątki? — daléj, gdzie historyja domów znakomitych obywateli, którzy z powyższymi miewali związki? — gdzie historyja budynków publiczno-politycznych, gdzie się odbywały wieca, roki, rady, sejmy, obiory, posiedzenia poselskie, hetmańskie, trybunały, sądy, magistratury? — gdzie wiadomości choć mniej-więcéj zupełne o gmachach publiczno-dobroczynnych, publiczno-naukowych

(a tego rodzaju prywatnych) (*) następnie o budowlach przemysłowych, rękodzielniczych itd.? — gdzie historyja dawnych chramów, kontyn, bożnic, cerkwi (**) późniejszych świątyń, kościołów, klasztorów ze wszystkiemi ich bogactwy sztuki w rozmaitych rodzajach itd. — gdzie tego wszystkiego obraz całości przedstawiony w sposób szczegółowy i poglądowy?? — Wszystko to jednak było związane z sobą, a tém samém w pewien sposób stanowiło całość; — wszystko to sprzęga się z opisem miasta, cóż dopiero stolicy Krakowa — wszystko się to kojarzy z wizerunkiem oświaty narodowéj!..

Pojedynczo wprzódy skreślone obrazy powyższych i innych jeszcze przedmiotów (na gatunki nawet rozdzielić się mogących), krom strony politycznéj, do któréjby wiele przydały wyjaśnień, rzuciłyby niejakie światło albo wydobyły dobitniéj już historyję zwyczajów i obyczajów, sztuk, przemysłu i tym podobnych zawodów na wielkim warsztacie życia spółeczeńskiego w arcy-obszernéj pracowni ducha zapadłych czasów.— Abyśmy zaś do tych częściowych obrazów doszli, do szczegółów nam się uciekać należy, umieć ich szukać, poczem właściwie rozumieć, niespuszczając z oka poglądu wyższego, ogólnego; — za czém tém więcéj ubiegać się wypada, gdy nie tajno, że wielu rzeczy zaledwo krótkie rzuty o kilku słowach, o kilku wier-

(*) Części w tém względzie przygotowali pp. Głębocki Łukaszewicz Józef, Muczkowski Józef.

(**) W Kochanowskim jeszcze znajdujem miano cerkiew za kościół.

szach posiadamy. Dotąd historyja nasza jest raczéj na sposób zachodni ogólnikowana, właśnie dla braku źródeł (mogących się jeszcze wydobyć) lub trudnéj ich dostępności (mogącéj się ułatwić) — stąd słusznie powiedziano, że historyi jeszcze nie mamy! Inna rzecz, czekać na gieniusz krajowy, historyczny!...

Ubodzy-śmy sami przez się, bo mało czynim kwoli temu śledzeń aby przyjść do czego, a mało dzierżym mocy aby przy czem ostać; bo przypadek raczéj niż wola naprowadza nas na co — wprawdzie z przypadku dobrego cieszyć się możemy, ale wola przyniosłaby nam stałe pożytki i chlubę. Z przypadku każdy może się przyczynić dodatkiem do jakich wiadomości, do zaznajomienia nas z pomnikami dziejów; — ale gdy to zawsze nie było i nie jest dosyć, należałoby tym, którym pora i inne okoliczności służą po temu, obiera sobie szczegóły jakie do zajęcia, do obrobienia. Jak błogiem będzie to, co się z przypadku znajdzie, tak cennem to, do czego poświęcenie i praca doprowadzą. Przy poszukiwaniach z umysłu nie raz nadybuje się na szczegół do ram przedsięwziętych obcy — takowego nie pomijać, bo lada chwila uronić go może: ileż-to już rzeczy niepowrotnie tym sposobem przepadło może! Prócz tego wszystkiego, oby, co kto już ma, że tak się z przeproszeniem wyrazimy, u siebie tylko nie dusił!... W takim razie — Archeologia, Historya, wiele zyskają. A gdy opiekuńczy Rząd dał wolny popęd poszukiwaniom, środki najważniejsze już ułatwione. Obojętność jak jest w religii grzechem zabijającym duszę, tak w historyi grze-

chem niszczącym ducha, związki familijne, zabijającym społeczeństwo cywilnie.

Choć wspomnieliśmy kilką słów o pracy szczegółowéj historycznéj skutecznéj (co nie jest dziś nic nowego — nowém nie jedno dla nas, do czego się wracamy przez pokolenia), to nikomu nie przymawiamy: bo wspomnieliśmy to z okoliczności znalezionego przypadkowo a podającego się tuż zaraz do wiadomości publicznéj przywileju króla Michała na Łazienki w Krakowie; bo powiedzieliśmy to z okoliczności, że gdyby nie ów traf nadybania go (*), to byłby zniknął niezawodnie ze świata wiadomości naszych (jeżeli się gdzie w pierwo- lub odpisie nie znajduje); bo powiedzieliśmy z powodu, aby się na przypadek nie spuszczać (gdy dla przypadku dość nam już przepadło) skoro pragniem znać przeszłość, skoro siła do dokładnego jéj obrazunku nie dostaje; tém samém przypomnieliśm jeno aby zachęcić i zachęcić się do poszukiwań, zwłaszcza gdy nawet trafunki dają nam często spotkać się z niejedną ważną wiadomością, z niejedną pamiątką historyczną nieznaną.

Napomkniony ów przywilej wydan jest na założenie Łaźni w Krakowie na Piasku przez króla Michała, a przez następnych potwierdzon królów. Prócz

(*) Udziel ł mi przywileju p, Cercha, podjąwszy go z pomiędzy świstków, papierków na śmieci przeznaczonych.

tego niniejszem dodatku do wiadomości powszechnych o Krakowie użytecznego, ważnym ten przywilej jest tąd: że pono pierwszy dochodzi nas (po wielu zagubionych może); daléj, że przyczynia zasobu do traktatu o łazienkach oddziału leczebnictwa zewnętrznego praktycznego — i do dziejów zdrowioskazu (hygieny) publicznego w Polsce w tym mianowicie względzie, że nad tym przedmiotem powszechnego dobra się tyczącym władza urzędnicza państwa opiekę swą rozciągała. Z przywileju tegoż dowiadujem się, iż miasto Kraków nie było ubogie w tego rodzaju zakłady, gdyż przed Michałem królem było ich trzy; że tam, gdzie były, śladu ich na dziś nie ma. Łaźnie wprawdzie znane od najdawniejszych czasów — to potrzebą było pojedynczego człowieka, tem więcéj potrzebą spółeczeństwa; ważniejszą atoli każda okoliczność, ile razy władza państwa ją organizuje i w porządek spółeczeński wprowadza; — toż ma się tu rozumieć i z zakładem Łazienek. Przywiléj ten — sądzić trzeba — nie jest pierwszym. Łaźnie były rzeczą korzystną — łaźnie obchodziły zdrowie publiczne, porządek i obyczajność publiczną (gromadnie używano ich); wcześnie więc rząd musiał zwrócić uwagę na podobny zakład, ztąd przywileju nań użyczał; a że był korzystnym akt podobny, więc nim nagradzał obywateli, których zasługi oceniał (jak niniejszy o tém namienia).

Z tego przywileju nakoniec zaznajamiamy się ze szczegółem, ze sposobem dawania znaku na Łaźnię, tojest z biciem w miednicę, (rodzaj dzwonu?); a co nas naprowadza na myśl, że termin kąpiel był stały,

że według dawnego zwyczaju łazienkowanie odbywano gromadnie, że jakaś w tém była gospodarność albo czuwanie nad porządkiem, albo wreszcie, że odbywano jakie wizyty lekarskie.

Na zapytywania dowiedziałem się od starych wiekiem ludzi, że przed 60 laty podobne dawanie znaku ›bicie w miednicę‹ odbywało się jeszcze w Krakowie.

Jan Radwański.

PRZYWILEJ

(DO HISTORYI „O ŁAŹNIACH W KRAKOWIE)."

AUGUSTUS II. DEI GRATIA REX POLONIAE, MAGNUS DUX LITHUANIAE, RUSSIAE, PRUSSIAE, MASOVIAE, SAMOGITIAE, KIJOVIAE, VOLHYNIAE, PODOLIAE, PODLACHIAE LIVONIAE, SMOLENSCIAE, SEVERIAE, CZERNICHOVIAEQUE, NEC NON HAEREDITARIUS DUX SAXONIAE ET PRINCEPS ELECTOR [1]).

Significamus praesentibus litteris nostris, quorum interest, universis et singulis: reproductas coram nobis esse litteras pergameneas manu Serenissimi olim Joannis

---

[1]) „August II z Bożéj łaski Król polski W. ks. litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, kijowski, wołyński, podolski, podlaski, inflancki, smoleński, siewierski, czernichowski — tudzież dziedziczny książę saski elektor".

„Oznajmujemy, niniejszym naszym listem, wszym i po szczególe, komu na tem zależy, iż przedłożono Nam list na pergaminie podpisany niegdyś ręką Najjaśniejszego Jana III poprzednika naszego i obwarowany pie-

Tertii praedecessoris nostri subscriptas, sigilloque *m... oris* [2]) Cancellariae regni, pensili, communitas confirmationem privilegii super exstructionem *Balnei ad fluvium Rudawa*, in suburbio cracoviensi, siti, spectabili Joachimo Jacobi, incolae cracoviensi, dati, in se continentes, sanas, salvas ac illaesas, omnique suspicionis nota in se carentes. Supplicatumque est nobis, ut easdem litteras authoritate Nostra regia approbare, confirmare et ratificare dignaremur, quarum litterarum tenor sequitur, estque talis:

Jan III z Bożéj łaski Król polski, Wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, kijowski, wołyński, podolski, podlaski, inflancki, smoleński, siewierski i czernichowski itd.

Oznajmujemy niniejszym listem naszym wszym w obec i każdemu z osobna, komu o tém wiedzieć należy: produkowany jest przed Nami przywilej na pergaminie pisany, ręką Najjaśniejszego Michała króla antecessora naszego podpisany, i pieczęcią większą koronną zapieczętowany, zdrowy cały, i nienaruszony, ani żadnego podejrzenia w sobie nie-

---

częcią większą wiszącą kancellaryi królestwa, zawierający w sobie potwierdzenie przywileju na wybudowę Łaźni położonéj przy rzece Rudawie na przedmieściu krakowskiem, danego sławetnemu Jachymowi Jakobiemu mieszczaninowi krakowskiemu, zdrowy, cały nienaruszony i wszelakiego podejrzenia wolny. Proszono Nas zarazem, abyśmy ten list powagą naszą królewską zaulichwalić, potwierdzić i wzmocnić raczyli — którego listu brzmienie tu następuje i jest takiem itd: (*tekst łaciński po polsku*).

---

[2]) Tąk jest na akcie z którego podajemy; przepisujący widać z oryginału nie mógł dobrze wyczytać — *m* zostawił za *magno*; za *oris* powinno być może *caereo*,

mający, *pozwolenie na zbudowanie łaźni w Krakowie za fortą Szwiecką przed Piaskiem* sławetnemu Jachymowi Jakobiemu mieszczaninowi krakowskiemu zawierający — i suplikowano Nam, abyśmy ten list mocą i powagą naszą ztwierdzić i zmocnić raczyli, którego istność od słowa do słowa, taka jest:

Michał z Bożéj łaski Król polski, W. książe litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, inflancki, kijowski, wołyński, podolski, podlaski, smoleński, siewierski i czernichowski.

Oznajmujemy, tym listem i przywilejem Naszym, wszym wobec i każdemu z osobna, komu o tém wiedzieć należy, osobliwie panom Radnym wyższego i mniejszego prawa i wszystkich sądów egzekutorom, obywatelom miasta Krakowa, tak na cłach Naszych i Rzeczypospolitéj będącym, jako też różnych praw miejskich, przedmiejskich, i wszelakich administracyj koronnych i niekoronnych przestrzegającym: iż My = mając wzgląd i osobliwy respekt nie tylko na wierne i życzliwe zasługi sławetnego Jachyma Jakobiego *ad praesens* (temi czasy) mieszczanina i obywatela krakowskiego, które za najjaśniejszych Antecessorów Naszych Władysława IV i Jana Kazimierza wiernie i życzliwie jako sługa — będąc w rzemiośle swojem krawieckiem *bene peritus* (znamienicie biegły) —przez lat kilkanaście wyświadczał; ale bardziej doznawszy [3]), pod czas teraźniejszego w Ojczyznie ze wszystkich stron zamięszania po-

[3]) Może się omylono, bo stoi *doznaliśmy* niezgrabniej nie-

winnéj cnoty i w inkursyę szwedzką w miasto Kraków — choć po cudzoziemcu — dostatecznéj wiary, kiedy, nie udając się pod żadne inszych monarchów — będąc cudzoziemcem — protekcye, wolał wszystkie swoje fortuny postradać, aniżeli w wierze ku Nam i Rzeczypospolitéj jaką makułę mieć; a chcąc go jeszcze tem bardziej do dalszych Naszych i Rzeczypospolitéj — jako sługę Najjaśniejszych Antecessorów — zachęcić usług; widząc przytém potrzebną miastu Krakowowi i przedmieściom jego wygodną rzecz = przyłożyliśmy chętnie wolę naszą do tego, abyśmy onemu, jako słudze naszemu, w mieście krakowskiém osiadłemu, na gruncie jego własnym *na przedmieściu za fortą Szwiecką przed Piaskiem* nad rzeką Rudawą leżącym, *łaźnią* dla wygody różnych tu mieszkających i przychodzących ludzi *publiczną* kosztem jego zbudować, i w onéj wszystkie przynależyte do łaźnie sprzęty, jakoto kocieł, koryta, kadzi i inne, mieć pozwolili i dopuścili, jakoż niniejszym listem i przywilejem Naszym pozwalamy i dopuszczamy. Ponieważ zacisk wielki i niewygoda o jednéj łaźni w mieście Krakowie znajduje i pokazuje się, tudzież też że za Antecessorów Naszych bywało *extra urbem* (poza miastem) łazien trzy i teraz *ante incursionem sveticam* (przed wtargnięciem szwedzkiem) za fortą ś. Anny jedna zagubiona, — dajemy tedy dostateczną moc i władzę sławetnemu Jachymowi Jako-

---

czytelniéj. Wiele przywilejów widziałem bardzo dobrze napisanych, od takowych lub podobnych pomyłek stylu wolnych.

biemu, słudze naszemu, *omnibus* [4]) *juribus, privilegiis, praerogativis, libertatibus, et immunitatibus, quibus caeteri reales servitores nostri gaudent libere fruendi absque quarumvis contributionum publicarum et privatarum solutione, et aliis servitiis civilibus, sine quavis quarumocunque personarum contradictione, praepeditione aut molestatione vel militarium stativarum angarizatione* [5]).

Ma i wolen będzie pomieniony sławetny Jachym Jakobi, mieszczanin i obywatel krakowski, sługa nasz, wzwyż przerzeczone dobra, jako swoje własne, na się zbudowawszy i objąwszy, spokojnie trzymać i używać i wszelakich ztamtąd, jako na gruncie swojim przymnażać pożytków. Wolno mu też będzie dać, darować, przedać, zastawić, zamienić i *pro libitu suo* (według ulubienia swego) jako swoją własnością dysponować wiecznemi czasy, tojest, on sam, żona jego Teresa, córka Magdalena i dzieci wszelkiej płci, potomkowie i sukcessorowie ich i po nich następcy, żadnej ztamtąd, jako wyżéj jest, nie pełniąc powinności i wymyślnych podatków, ale które zwyczajnie i z dawna w prawach miejskich albo przedmiejskich są opisane — zarówno z drugimi tamże grunty swoje ma-

[4]) „Ze wszystkiemi prawy, przywilejmi, swobodami, wolnościami od danin — czem istotni nasi cieszą się słudzy — ku dobrowolnemu używaniu, bez żadnego opłacenia poda-

*) Zdaje się wyjątek dosłowny z dawnych tego rodzaju przywilejów dla powagi przywiedziony, i tu po łacinie wtrącony.

jącymi — odprawować i płacić będą powinni. Pozwalamy też sławnemu Jachymowi Jakobiemu słudze naszemu, małżonce i potomkom jego, do tejże łaźnie łazienników według potrzeby i wygody ludzkiéj, cyrulika wiecznemi czasy chować; — w miednice na łaźnie — według zwyczaju — tak po przedmieściu jako i w mieście samem Krakowie bić i dawać znać; — przytém likwory różne do picia szynkować i sprzedawać bez wszelkiej prepedycyi miejskiej i Cechowych, obiecując po Nas i po Najjaśniejszych Sukcessorach naszych przywileju tego nie kasować. Co, że i Najjaśniejsi Sukcessorowie nasi prawu temu nadanemu i pozwolonemu przerzeczonego Jachyma Jakobiego sługi naszego, małżonki i potomków jego, *ex lumbis eorum procedentium* (z bioder ich pochodzących) przeczyć i annihilować nie będą raczyli, utwierdzamy. Na co dla lepszéj wiary, ręką się naszą podpisawszy, pieczęć wielką koronną przycisnąć rozkazaliśmy.

Dan w Krakowie d. 25 mca Października r. p. 1669 panowania naszego roku I

Michał król.

Miejsce pieczęci koronnej.
Hieronim Pinocy.
JKM. Sekret mp.

---

tków publicznych i prywatnych, bez żadnych służebności cywilnych, bez żadnych od jakichbądź osób sprzeciwieństw, przeszkód albo utrudzeń, i bez żadnego wojskowych leż podejmowania.“ *(tekst łaciński po polsku).*

My tedy Jan król do pomienionej supliki, jako słusznej, łaskawie się skłoniwszy, wyżéj opisany list albo przywilej we wszystkich onego punktach, klauzulach, kondycyach i obowiązkach ztwierdzić i umocnić umyśliliśmy — jakóż ztwierdzamy i umacniamy tym listem Naszym, mieć to chcąc, iż ten list powinną wagę, ile prawo pozwala, będzie miał. Na co dla lepszej wiary, ręką się naszą podpisawszy, pieczęć koronną przycisnąć rozkazaliśmy.

Dan w Krakowie d. 11 mca Maja r. p. 1676 panowania naszego II r.

Jan król

(Locus sigilli pensilis)
(Miejsce pieczęci)
Mikołaj Szulc
JKM. Sekr. mp. [6])

Nos [7]) itaque Augustus rex huic supplicationi, uti justae, benigne annuentes, praeinsertas litteras in omnibus ea-

[6]) Zaadresowanie na przywileju było takie:

„Konsens na zbudowanie łaźni w Krakowie za fortą Szwiecką przed Piaskiem sławetnemu Jachymowi Jakobiemu mieszczaninowi krakowskiemu, kosztem jego“ — potem podpis: *Stephanus Hankiewicz secretarius regius civtis* (o ile się wyczytać dało).

[7]) My więc August król do téj prośby, jako słusznej, łaskawie przychylając się, uważaliśmy za potrzebne przytoczony list we wszystkich jego miejscach, zastrzeżeniach, częściach, i warunkach zauchwalić, potwierdzić i znów wzmocnić — jakoż zauchwalamy potwierdzamy i znów wzmacniamy niniejszem pismem Naszem (ile prawa w tem jest i o ile używanie tego pozwala) wy-

rum punctis, clausulis, articulis et conditionibus approbandas, confirmandas et ratificandas esse, duximus; prout quidem approbamus et confirmamus et ratificamus praesentibus litteris nostris (in quantum juris est et usus earum habetur) decernentes, easdem vim et robur debitae firmitatis obtinere debere. In quorum fidem praesentes manu nostra subscriptas sigillo Regni communiri jussimus.

Datum Varsaviae d. 18 mensis Julii — anno Domini 1720 regni vero Nostri 24 anno

Augustus rex

(*Locus sigilli*)
Michael Mauritius Suski
venator terrae Lomzensis
Sae Rae M. Secretarius

---

rażając, że ono tęż samą moc i pełnię należnéj sobie ważności trzymać powinno. Na wiarę czego, toż ręką naszą podpisawszy, pieczęcią królestwa obwarować rozkazaliśmy.

Dan w Warszawie d. 18 mca Lipca r. p. 1720, panowania zaś Naszego 24 r. (*tekst łaciński po polsku).*

August król

(Miejsce pieczęci).
Michał Maurycy Suski
Łowczy ziemi Łomżyńskiéj
J. K. M. Sekretarz.

(*Zaadresowanie:*) Confirmatio confirmationis privilegii super Balneum in suburbio Cracoviensi ad fluvium Rudawa spectabili Joachimo Jacobi dati.

(*Toż po polsku:*) Potwierdzenie potwierdzonego przywileju na Łaźnię na przedmieściu krakowskiém przy rzece Rudawie danego sławetnemu Jachymowi Jakobiemu).

MŁODE SERCE.

(Powieść).

(*Dokończenie*.)

XI.

Po niejakiem czasie ukończywszy w Warszawie interesa, w towarzystwie przyjaciela pośpieszał Zygmunt do skromnéj wioski i sędziwéj matki, któréj naprzód z prawdziwą radością ze szczęścia swego zwierzyć się zamyślał. Wszystko dlań przybrało jakby inną postać, złote pola, i łąki zielone, i cieniste gaje, i słońce i niebo wszystko było cudniejsze, wszystko szczęśliwym być kazało! Same nawet kłęby kurzu podniesionego na gościńcu szybkim przelotem powozu, które Stanisław klął energicznie marszcząc się i czmychając nosem, miały dla Zygmunta swoją pewną, fantastyczną poezyę.

Patrz zeszyt styczniowy i lutowy.

Pomimo pośpiechu i niecierpliwości rosnącéj w miarę zbliżania się do celu, nasi podróżni nie mogli przed wieczorem drugiego dnia zdążyć do znajoméj nam wioski, słońce ostatnim swym promieniem dawno już było rozlało purpurę po niebie, kiedy okurzony powóz toczył się z gościńca na krętą dróżkę wiodącą manowcami do lubego Zacisza, kędy pani Zacnowska niecierpliwie wyglądała syna, a zmierzch już osłaniał okolicę, gdy się powóz zatrzymał przed znanym nam domkiem.

Szczęście pospolicie bywa wynurzające się, wymowne; to też śród czułych powitań, niejednokrotnie Zygmuntowi przychodziła chętka przyśpieszenia chwili wylania się przed matką. Ale przytomność Stanisława, domowników, rozruch spowodowany powrotem pana i przywiezieniem gościa, wreszcie sama czynna i gościnna troskliwość pani Zacnowskiéj, wszystko to nasuwało bezustanne przeszkody. Zygmunt nigdy niemówił nikomu o swojem uczuciu, niewspominał prawie o poznaniu Idy, a choć przezorność matczynego serca odgadła była może połowy tajemnicy, szczere i otwarte onéj wyznanie miało w sobie coś tak uroczystego, że wymagało stósowniejszéj pory, swobodniejszéj chwili; wciąż więc sobie powtarzał: jeszcze nie teraz, zaczekajmy trochę— będzie dość czasu.

Tak zszedł wieczór, a nim zdołał upatrzyć chwilę, nalegania szanownéj matrony zmusiły go do udania się wraz z przyjacielem na spoczynek po znojach dopiero odbytéj podróży; ale przed rozejściem się, w jedném z tych natchnionych poruszeń serca, które rozum ani przewidzieć, ani wyrachować, ani uprzedzić zdoła, jedno jaśniejsze spojrzenie, jedno czulsze niż zwykle ściśnienie i ucałowanie ręki, powiedziało matce wymownie, że jéj jedynak wrócił uleczony, szczęśliwy!— Podczas gdy ona z przepełnionem wdzięcznością sercem, na klęczkach dziękowała Bogu za tę pożądaną zmianę. Zygmunt

swobodny, lekki, uściskawszy towarzysza, otwierał drzwi swego pokoju, w którym po tylu cierpkich chwilach miał nareszcie bez świadków oddać się marzeniom uszczęśliwionego serca.

Otworzywszy okno aby się do woli napoić cichą muzyką przyrody śród uspokojenia nocnego, wsparł głowę na ręce i całą swą istność zlał w jedno niewysłowione uczucie, a wyobraźnia jęła przedstawiać najmilsze widziadła, snuła mu sen złoty, niebiański, i coraz bardziéj czarujący i coraz ponętniejszy, i coraz mniéj anielski i coraz więcéj ziemski....lecz sen, sen to był tylko, sen z otwartemi oczami z przytomnością umysłu, ale sen, tylko sen...i nic więcéj jak sen...

Na zegarze wybiła północ! i kur zapiał gdzieś zbudzony na dworze. Zygmunt przypomniał zalecenia matki aby dobrze wypoczął po drodze, przypomniał że wkrótce ranek zaświta — chciał się położyć, ale zapalając na biórze stojącą świecę, ujrzał list pod swoim adresem, poznał rękę Bronisława, ucieszył się, a żadnéj do snu nieczując jeszcze ochoty, rozpieczętował i czytał. Wiemy po części co list ów zawierał, lecz pominąwszy szczegóły żadnéj z rzeczą, która nas obchodzi niemające styczności, przytoczymy zeń wyjątek dla jaśniejszego pojęcia nastąpić mających wypadków.

„Nic ci niepowiem o tem co się nas bliżéj tyczy, ani o wieściach krążących w naszéj okolicy; stugębna *fama* roznosi ich jak zaw ze tysiące, o ile zaś w nich prawdy, przesady lub fałszu, o tem sam podobno lepiéj od nas w tym razie osądzisz. Będąc pono jednym z najlepszych sąsiadów *najjaśniewielmożniejszéj* Wojewodziny *** musisz wiedzieć mniéj więcéj o wszystkiem co się święci w jéj *arcy arystokratycznych* progach; słyszałeś zapewne o romansowem spotkaniu się tych dam z jakimś *zaczarowanym księciem*, o burzy, o piorunach, o pożarze, o ratunku danym nieszczęśliwym, o spaleniu koni,

powozów, stangreta i kamerdynera i o tysiącu tym podobnych bohaterskich czynach, słyszałeś o przyjemnem życiu jakie się odtąd pędzi w pałacu pani wojewodziny i o wielu rzeczach jeszcze i jeszcze, będących lub być mogących, przypuszczanych, układanych, kartowanych i uskuteczniany ch, może należysz do szczęsnéj liczby wybranych, godnych bliższego obcowania z prześwietnem towarzystwem, może nawet uczestniczysz w przechadzkach i podwieczorkach, i używasz w pełni wiejskich przyjemności z ludźmi wielkiego świata, może nawet miałeś już zręczność przekonać się z przejętego w lot spojrzenia zachwyconego przypadkiem półsłówka, z dostrzeżonego ukradkiem uśmiechu, jak się to rzeczy robią na świecie, czem są uczucia i o ile na nie rachować możemy..... Ale wpadam podobno w śmieszność i exageracyą, gniewam się niewiedzieć za co i na kogo, na podstawie...... bańki mydlanéj! — przecie wolno każdemu tak postępować jak mu się podoba — każdy dla siebie ściele szczęście w przyszłości a jak sobie pościele tak się i wyśpi — filozofia to stara jak świat — wolnoż zatem i mnie było chcieć czegoś innego, choć nie dla siebie w prawdzie: ale głupi byłbym gdybym się trapił, kiedy ci o których mi głównie chodziło, ani trochę się nie frasują tem że jest jak jest, a nie tak jakem ja sobie w mądréj głowie ułożył — co bądź to to bądź, żegnam Cię, zapewne prędzéj póżniéj do widzenia się, może i na *prześwietném* weselisku..... a tymczasem życzę ci tysiącznych przyjemności i t. d. i t. d.“

Słowa te nieco problematyczne, aż nadto jednak Zygmuntowi wyjaśniły rzecz główną, ukazując mu najniespodzianiéj, nieprzyjaciela w twierdzy którą już miał za zdobytą, z któréj posiadaniem, acz nie śmiało jeszcze, lecz z tém większym zapałem, dopiero co myśli swojéj był pozwolił trochę się popieścić — odczytał cały ten ustęp raz jeszcze drugi i trzeci i powiedział sobie

— Tak jest — rzecz wyraźna — od wyjazdu z Warszawy zaszły nieprzewidziane okoliczności — poznała kogoś i ten ktoś bawi z nią na wsi od parę tygodni, widuje ją co dzień i o każdéj porze... ma wszystko za sobą... musi się podobać... czyżby inaczéj Bronisław w taki sposób o całéj téj rzeczy się odzywał, i to do mnie, do mnie właśnie!... poczciwiec chciał czego innego... wiedziałem o tem... widać że jest coś mniéj więcéj pewnego... ależ Stanisław? miałżeby się tak grubo mylić? to co wyczytał niedowodziłoż żem na tem młodem, prawem sercu zrobił silne wrażenie? tak łatwom temu uwierzył!... bo i jakże było niewierzyć?... a jeżli to prawda, jeżli wrażenia tego koronacya ze wszyskiemi ponętami błyszczącego świata zatrzeć niezdołała, jeżli o mnie w tym odmęcie nawet wspomniała, jakże przypuścić żeby ktoś obcy zupełnie, świeżo poznany, teraz mógł je zniszczyć dorazu? To niepodobna! — Czemu? W Warszawie, w wirze właśnie tego wielkiego świata, gdzie ją wszystko jako nowość tylko bawiło, a każdy mniéj więcéj sobą był zajęty, mógł nikt nie zająć wyłącznie istotę tak pełną życia i serca, tu zaś... kto wie? okoliczności, osoba... może ten *zaczarowany* jak powiada Bronisław *książe* doprawdy wart tego, może łączy w swéj osobie potrzebne zalety, a jeżli ją pokochał... O, pokochał!... gdyby to główne stanowić miało prawo do serca jéj, to i któżby go mógł mieć więcéj odemnie? kto silniéj, głębiéj, prawdziwiéj kochał jak Zygmunt? Ale czy ona o tem wiedziała? — Nie; niewiedziała i wiedzieć niemogła, chyba przeczuciem, a któraż kobieta skromna, niezarozumiała, ośmieli się w téj mierze zawierzyć własnemu tylko przeczuciu? przypisując nawet żem ją zrazu zajął, że uległa wpływowi jakiejś skrytéj niewytłómaczonéj sympatyi, gdyby mię bliżéj poznać i częściéj widywać miała sposobność, żaden inny może odtąd by już podobać się jéj niemógł,

alem się niezbliżył powtórnie, nie dałem się poznać, nie starałem się pozyskać jéj ufności, jéj serca... trzymała się czas jakiś może biedaczka, żyła ostatkami pierwszego wrażenia, bo serca kobiet wrażeń potrzebują, a gdy to się wyczerpało, zjawił się inny, miał czem zająć młodocianą wyobraźnią, miał w swéj osobie to wszystko czego mnie niedostawało... i serce w ten sposób przygotowane, przygotowane przezemnie, obrażone może, boktóż wie czy pozorna obojętność, usunięcie się moje, miłości własnéj kobiety w dziewczęciu młodem nie obrażało? zabrał jak swoje. Walczyć o nie do ostatka sił by mi starczyło! ale jakim prawem? kim jestem i co jéj dać mogę, by się mierzyć z takim przeciwnikiem?.... kocham! to cała moja godność, to moje tytuły! Gdybym wiedział żem jest kochany... to co innego! Ale ona ona już może kocha tamtego... musi być coś takiego; inaczéj by mi Bronisław o tem nie wspominał — a jeżli tak jest, to ona dla mnie stracona... stracona powtórnie, stracona dobrowolnie: ale stracona! Powinienem był się spodziewać że inaczéj być nie może... szczęście nie dla mnie!

Noc bezsenną jak się tego już każdy domyślił w tém pasowaniu się z własném sercem i własném rozumowaniem strawiwszy, skoro tylko słońce ukazało się na niebie zerwał się z posłania i wyszedł na podwórze; świeżość poranku objęła go, zatrzymał się chwilę w ganku, odetchnął głęboko, obejrzał się w koło a skłoniwszy głowę na piersi, powolnemi kroki poszedł ku stajni. Gdy tylko drzwi jéj otworzył, klacz jego gniada, ztęskniona za panem którego od dawna nie widziała, odwróciła głowę od żłobu, zaświeciła białą gwiazdką na czole, i głosem dała znak ukontentowania, znak że go poznała.

— Poczciwe, wierne stworzenie! wymówił Zygmunt nieco z przyciskiem i jął ją głaskać po kruczéj grzy-

wie, po szyi, po piersiach, a ona nie posiadając się z radości, to nogą kopie w powietrzu, to usty swemi delikatnie zerwie panu z głowy czapeczkę i rzuci o ziemię, jakby kokietka szukająca zaczepki. Zygmunt do niéj przemawiał, sam ją opatrzył na wszystkie strony, sam osiodłał, a wyprowadziwszy ze stajni dosiadł jéj i popędził w pole.

Słońce w całym przepychu dobywając się z po za mgły porannéj, zapowiadało dzień jasny, pogodny— trawa perliła się srebrną rosą, ptaszyny świegotały wesoło— wszystko w naturze brzmiało hymnem dziękczynnym za byt swój, za życie, ku Stwórcy wszech rzeczy. Co się działo w sercu Zygmunta? co było w jego duszy? pytać o to nieśmiemy — serca pospolite, doznany zawód, boleść osobista kurczy i zamyka w ciasnym obrębie samolubstwa, przekształcając je jakby w grobowiec wszelkich szlachetnych uczuć i nadziemskich rozkoszy, serca szerokie i prawe, otwiera bardziéj jeszcze na świat, na życie, w najrozleglejszem słowa tego znaczeniu, i wznosi wyżéj, wyżéj w górę, zbliża do nieba... lecz czy od razu? lecz czy w pierwszéj chwili?...niewiemy, jest walka, musi być walka, kiedy jest zwycięstwo — lecz walka ta się odbywa między sumieniem a Bogiem.

Zygmunt siedział jak przykuty do konia, sadził przez rowy i strome urwiska niepilnując drogi, wiedział jednak dobrze dokąd zmierza i poco, bo stanąwszy we wsi, przed chędogą chatą zeskoczył z siodła, konia do płotu uwiązał i zajrzał w czyste okienko, przez szyby którego z garnuszka wyglądały starannie w wodzie ułożone polne bławatki, żółte nagietki i pąsowe maczki— kilkoro drobnych dziatek wybiegło na jego spotkanie; zapytał o matkę, wyszła była w pole wraz z całą pracowitą gromadką— usiadł więc pod lipą na ławie, patrząc machinalnym wzrokiem przed siebie, jak kiedy duch na chwilę z więzów ciała jakby oswobodzony, bu-

ja gdzieś daleko, zostawiwszy je prawie nieczułe na to co je otacza.

Tymczasem jedno z dzieci poznawszy go, pobiegło przez ogrody i łączki oznajmić Matce że dobry pan co na pogrzeb ojca dał pieniędzy i aptekę zapłacił i krowę przysłał i na dalsze gospodarstwo dał zapomogę, przybył na pięknym koniu i o nią pytał. Na tę wiadomość młoda i hoża jeszcze kobieta, porzuciła robotę i najkrótszą drogą pobiegła do domu. Spostrzegłszy Zygmunta rzuciła mu się do nóg, a nim jej to wzbronić potrafił, kolana i ręce jego oblała gorącemi łzami, wdzięczność swą wynurzając w prostych a tkliwych wyrazach. — Ale nie po to przybył Zygmunt — chciał się wywiedzieć o jéj teraźniejszym bycie, o jej widokach na przyszłość, chciał dodać zachęty, dobréj rady, a gdyby tego było koniecznie trzeba, i materyalnej jeszcze pomocy. — A przytem... któż wie?... tak trudno człowiekowi nawet przy dobrym uczynku zapomnieć o sobie... chęć powzięcia pewniejszych wiadomości... potrzeba przekonania się zkąd inąd jeszcze niż z niedostatecznego listu Bronisława o prawdzie tego co mu donosił, kierowała może po części dzisiejszą jego ranną przejażdżką. Wieś w któréj się znajdował należała do posiadłości pani Wojewodziny — Bartoszowa często chodziła do dworu i z powziętych tam słuchów rzucić mogła jeszcze jakieś światełko na to co biednego Zygmunta tak blisko dotykało. W tym też celu, nagadawszy się dostatecznie z kobieciną o jej interesach, jął się Zygmunt do odwiązania konia od płotu i niby od niechcenia wrzucił stósowne zapytanie, na które też otrzymał spodziewaną a jednak jakby cierniem kaleczącą serce odpowiedź. W samej istocie we dworze od niedawnego czasu książe jakiś młody, piękny, bogaty, razem z panią Wojewodziną przybyły, bawił w najlepsze —

była z nią i panienka także ładna, młoda, bogata i nikt w całéj wsi niewątpił że będzie w krótce wesele.

— Ale dodała Bartoszowa — chociaż to książe, jednak dla niego tej panienki szkoda... oj co szkoda to szkoda... ja bym ją innemu oddała... bo ona jak anioł ładna i trzebaby jéj męża dobrego jak anioł.

Niewiemy czemu posłuszna zwykle i łagodna Strzała, dzisiaj była nie w humorze — bądź że się podczas niebytności pańskiej w stajni została, bądź że ją z wzrastającym upałem bąki zaczynały niepokoić, wciąż oganiała się ogonem, tupała nogami, parskała i niecierpliwiła się stojąc na miejscu — a teraz bardzo niechętnie za Zygmuntem wolnym postępowała krokiem — gdy zaś ten mimowolnie w lasku się zatrzymał słuchając poczciwéj wieśniaczki, a na ostatnie jéj słowa ze znaczącym uśmiechem wyrzeczone, które mu Bóg wie ile wymuszonego nie bez trudności pokoju pomięszały w sercu, włożył nogę w strzemię by już koniec położyć rozmowie,—dała kilka kroków w tył, potem ogromnego słupa i pomknęła z kopyta w niezwyczajnych skokach. Bartoszowa krzyknęła z przerażeniem, a Zygmunt znikł za drzewami na zakręcie drożyny — tylko głuchy tentent kopyta w rozhukanym pędzie czas jakiś dał się słyszeć i wkrótce ucichł w dali.

— O Boże mój, Boże! koń go uniósł, koń go zabije! — wołała kobieta załamując ręce — i pobiegła do wsi jakby wołać ratunku, a echa tylko usłyszały jej skargę. Tylko echa? oj, nie; cała ta scena miała świadka! z pomiędzy krzaków i zarośli, dwoje obcych oczu ciekawie śledziło każdego poruszenia rozmawiających, z min i giestów usiłując odgadnąć rozmowy — po pewnem zaś dość zrozumiałem tychże bezecnych oczu mruganiu, łatwo można było się domyślić w jaki sposób z góry rzecz całą sobie wykładały....... ....

....

Był to kamerdyner księcia, próżniak sobie zwyczajnie, który znając i naśladując pana z najgorszéj tylko strony, szukał czem go ubawić jak się obudzi i powstać zechce z miękkiego posłania. Nieomieszkał też opowiedzieć przygody, a nawet z dodatkami; widząc zaś że to bawi i zajmuje pana, z jego własnego polecenia, nietracąc czasu, zręcznie się wywiedział kim był ów jeździec napotkany przypadkiem, jakie były jego stosunki w sąsiedztwie, nie przepominając i o hożej wdówce, któréj wdzięczność i opiekę nad nią Zygmunta, potrafił wytłómaczyć wcale po swojemu.

Słońce tymczasem wzniosło się wysoko — w Zaciszu dawno było po śniadaniu, a Zygmunta nikt jeszcze nie widział — wiedziano tylko że przed piątą jeszcze był wyjechał konno — Pani Zacnowska nie pojmowała syna, ale go nie obwiniała — musiał mieć słuszność, bo Zygmunt nigdy nic bez powodu nieczynił. — Gdy jednak godzina ósma, dziewiąta i dziesiąta minęła, a jego jeszcze nie było, smutne jakieś przeczucie ogarnęło jej serce i wkrótce zmieniło się w niepokój, a następnie w trwogę — od książki, od roboty nad którą siedziała ustawicznie oczy jej zwracały się ku oknom, ale napróżno — Zygmunta nie było widać.

— Nie będę patrzała, to prędzej przyjedzie! — powiadała sobie — i śpiesznie wiązała siatkę, licząc oczka i pilnie wyciągając iglicę — lecz zaledwie szelest jaki dał się słyszeć, odwracała głowę. W końcu nie mogąc już dłużéj w tym stanie gorączkowéj niepewności wytrzymać, powstała z miejsca swego, a udawszy się wgłąb pokoju, upadła na kolana — przed zawieszonym nad łóżkiem krucyfixem i błagała Syna Bożego, jedynaka Maryi, aby jej jedynaka strzegł od przypadku i złego wszelkiego — jeszcze nie była skończyła, jeszcze nie podniosła ukorzonej głowy, gdy dziedziniec zatętniał dobrze znanym odgłosem kopyta, a po nim

dało się słyszeć pod oknami zwykłe klepanie po spienionych końskich członkach, na znak porozumienia się i zgody między rumakiem a jezdcem.

— To on — zawołała pani Zacnowska — ach! Bogu dzięka! kamień mi spada z serca! i pośpieszyła na przeciw wchodzącego syna. — Ale już to nie ten Zygmunt co wczoraj — zawsze poczciwy, uściskał wprawdzie Matkę z uszanowaniem, śmiał się, żartował nawet opowiadając swoją przygodę i niepospolite wybryki *Jejmości*, jak czasem swoją piękną Strzałę nazywał, dla poskromienia, których postanowił był zmęczyć ją do ostatka — ale już to nie to wczoraj—słuchając go biedna Matka mówiła w sercu swojem: „Mój Boże! co mu się też stało?“ — Po chwili lekkiej rozmowy, Zygmunt starannie dzisiaj unikając tego czego wczoraj żądał gorąco, osobnéj z Matką rozmowy, udał się do siebie i zamknął się w swoim pokoju.

Oddawna pragnął on zwiedzić obce kraje, to zaś w celu wcale różnym od tego który od lat tylu wygania młodzież naszą do Paryżów, Londynów, do Włoch, a choćby do Niemiec tylko, kiedy dalej nie można. — Poświęciwszy się od młodości zawodowi naukowemu z wytrwałością zbyt rzadką w naszym kraju i obok ukształcenia ogólnego posiadając jeszcze znajomości specyalne w sztuce lekarskiej, której oddać się zupełnie odtąd było jego zamiarem, długo pielęgnowaną chęć zwiedzenia celniejszych europejskich zakładów postanowił teraz przyprowadzić do skutku. Dotąd znajdując dosyć zajęcia w domu i w kraju do którego wiązała go miłość prawdziwie dziecięca, odkładał był wykonanie ulubionego zamysłu z roku na rok, pewien że im dłużéj przed tem będzie sam z sobą pracował, tem obfitszy owoc przyniesie mu podróżowanie. — Ale dzisiaj niemógł dłużéj zwlekać; czuł że praca jedynie, praca szlachetna i użyteczna, mogła odtąd zapełnić próżnię,

która się boleśnie otwarła w sercu jego, i zabezpieczyć go od upadku na duchu — czuł także, że dłużéj w sąsiedztwie pani Wojewodziny pozostać nie mógł, bez narażenia na szwank hartu swej duszy i wszystkich swych pięknych postanowień — czuł że go to sąsiedztwo zabijało, czuł że uciekać musi aby odzyskać swobodę i być człowiekiem — wiedział wprawdzie że Matka będzie cierpiała nad tem rozłączeniem, może długiem, może zupełnem na ziemi, ale wiedział także że cierpiała by więcéj widząc go nie takim jakim być chciał i jakim być był powinien — a zatem jechać, jechać koniecznie, czem prędzej... tak kazał rozum, tak kazał obowiązek człowieka,.... choć sercu ciężko rozstawać się z tem co miłuje na ziemi!

Gdy zastukano do drzwi z oznajmieniem że już obiad na stole, Zygmunt wyszedł z wypogodzonem obliczem.

Dni upływały, a Stanisław niepomału zaczynał dąsać się na tę gnuśność przyjaciela. Pewnego ranku gdy mu już niestało cierpliwości, przez wonny dymek hawanny, burczał sobie pod nosem:

— Na honor, niech mię porwą kaci, jeżli tu cokolwiek rozumiem! zdaleka palił się jak żak, jak niewiniątko jakie — a teraz ma ją przecie pod nosem i siedzi tu jak ślimak w swojej skorupie, jak żeby to niewarto było zachodu! — I ten człowiek mógł się podobać! jakiem prawem? jakim porządkiem? prawdziwy kaprys kobiecy... zrozumiejże te istoty panie Stanisławie! — Z tem wszystkiem końcam ciekawy... Żebyż przynajmniej zabawnie było w tem Zaciszu! Ale to wszystko nakręcone gdyby zegarek... Panią Zacnowską szanuję najmocniej, lecz szósty krzyżyk szalenie ciężyjéj na karku i spijam smaczną kawę z wybornemi sucharkami, to prawda — lepiej by mi wszakże smakowała żeby zamiast téj pomarszczonej gdyby pieczone jabłko Tomaszowéj, przynosiła mi ją tutejsza wiejska

piękność, świeża jej Jagusia. Ej, doprawdy, zaczynam czasem myśleć że nasz pan Zygmunt... Hej! Janku!— zawołał na służącego — podaj mi drugie cygaro!

— Słucham panie.

— Widziałeś Jagusię?

— Nieszpetna... ale zawsze nie to co panny hrabianki Johasia.

— A! znasz się z Johasią?

— Za pańskim przykładem.

— Słuchaj śmiałku...

— Chcę mówić, zwyczajnie pan do pani, sługa do sługi — po staremu.

— A wiesz, że pani i sługa ztąd tylko o milę?

— Widujemy się niekiedy.

— Oho! tęgi z ciebie chwat jak widzę — i cóż tam przecie?

— Ot, zwyczajnie panie...

— Naprzykład?

— Nic dobrego!

— Bah!

— Oj, tak, niedostanie pan teraz panny hrabianki!

— Błaźnie! nie o to pytam — lecz zkądże przecie ta wiadomość?

— Zastępuje bo pana nie lada panisko — a jak słychać u niego nie walą się zamki, — a suta strawa dla psów, koni i ludzi — dopiero to służba!

— Zuchwalcze! ostrożnie...

— Jak się panu podoba; pan sam kazał mówić, a ja niewinien, że książe pan bogaty!

— Książę? oho! jakiż tam książe?... ale wykurzę go z tamtąd, wykurzę, choćby był paszą tureckim czy szachem perskim — do stu katów wykurzę! — no i cóż tam jeszcze?

— Pan nie będzie łajał?

— Mów!... albo ci język rozwiązać potrafię! —

— Wola pańska — wesołe bo tam teraz życie u pani Wojewodziny — codzień podwieczorki, spacery, muzyka, choć nikt z gości nie bywa, a Johasia powiada, że i panienka już się odtęskniła za Warszawą i...

— Dobrze; dość tego. Ruszaj sobie; ale pamiętaj nikomu o tem ani pół słowa! bo jeżeli piśniesz...

— Rozumiem! — a wychodząc burknął pod nosem: nie głupim żebym mówił kiedy niepytają i służył kiedy nie płacą! Żal mi cię wprawdzie biedne panisko, ale wybaczaj! pierwszą miłość od siebie; bywai zdrów i nie daj Boże, abyśmy się kiedy spotkać mieli!

Jeszcze Stanisław zżymał się i piorunował, kiedy wszedł Zygmunt życząc mu dnia dobrego — u czapki miał wiązkę świeżych polnych kwiatów i w ręku podobną trzymał od niechcenia.

— W porę przychodzisz — zawołał Stanisław — miałem do pomówienia! — I już z przechadzki jak widzę? straszliwie ranny z ciebie ptaszek, jakaż to leśna Nimfa jeżeli wolno o to pytać tak cię przyozdobiła, bo to choć na kobierzec z temi bukietami.

— A widzisz! — odparł Zygmunt uśmiechem odpowiadając na te przekąsy poczciwego Stanisława z któremi znał się od dawna — a gdybyś widział moją Strzałę, jaki miała wianek na szyi!... ale musiała go w biegu gdzieś stracić po drodze — wszystko to dary moich przyjaciół, dzieciaków wiejskich, biednych sierotek! —

— Czy i Jagusia sierota?

Zygmunt spojrzał mu w oczy zdziwiony.

— A cóż? jedziemy przecie do Wojewodziny? — zwrócił zręcznie Stanisław.

— Po co?

Stanisław odskoczył w tył na trzy kroki.

— Dajmy temu pokój — dodał Zygmunt obojętnie wyglądając oknem.

— Za pozwoleniem, niesłyszę....

— Dajmy temu pokój — powtórzył Zygmunt — niech się dzieje wola Boża!

— Zwaryowałeś chyba! wola Boża! patrz go! wola Boża! nie ma co się na nię spuszczać mój bracie kiedy ludzie chcą inaczéj — nie wiesz co się tam święci.

— Wiem owszem, i dla tego właśnie raz jeszcze powtarzam: dajmy temu pokój!

— Wiesz? wiesz? — zawołał Stanisław odchodząc od siebie — i nic mi nie mówiłeś? i nie wściekasz się ze złości? i w łeb sobie czy jemu nie strzelisz? i siedzisz, i śpisz spokojnie...

— I jadę za granicę — dokończył Zygmunt z gorzkim uśmiechem. — Drwij sobie ze mnie jeśli ci się podoba; jestem słaby, ponieważ uchodzę z placu — jestem bezsilny, gdyż zostać tu dłużéj nie mogę — pasport, tłomoczek, wszystko gotowe — przyszedłem właśnie to ci powiedzieć... podziękować ci sercem całem. O, ciężko opuszczać kraj, matkę, wszystko co się kochało... może na zawsze.

Ale Stanisław jakby nic z tego nie słyszał, biegał od okna do pieca, od łóżka do kanapy, aż w końcu zawołał:

— Najniższy sługa assendzieja!

— Cóż to znaczy?

— Upadam do nóg!

— Uciekasz?

— Jużciż każdemu wolno mieć swoje interesa; ten spieszy w lewo, ów w prawo — widzę rzeczy wzięły nieprzewidziany obrót — lecz *kiedy odjeżdżasz, bywaj zdrów — o naszéj przyjaźni dobrze mów.* — Szczęśliwéj podróży!

To mówiąc, porwał za czapkę i ku drzwiom zawrócił.

— Stój! tak się nierozstaniemy zawołał Zygmunt — to nie porą żartować! nie rozjątrzaj głębokiéj rany....

— Otóż masz! *pathos*, sentymenta! — W samą porę powiadam że nie mam czasu i takem go tu już aż nadto stracił!

— Czekajże... biedną matkę moją tobie polecam... bądź dla niéj synem... lepszym odemnie...

— A! ten człowiek powiadam usadził się na moją zgubę!

I na nic już niezważając, pędem wyleciał z domu.— Zygmunt wtenczas opuścił się na kanapę, splótł ręce na twarzy i po raz pierwszy w téj sprawie... podobno zapłakał.

XII.

W wigilią dnia o którym mówiliśmy przy końcu zeszłego rozdziału, przed godziną pani Wojewodziua towarzystwu zebranemu w jéj salonie życzyła dobréj nocy; z okien pałacu jedne po drugich znikały światła, aż ostatnie zgaśnięciem swém obwieściło, że anioł snów wzlatując po nad świat ukołysany, zaczynał już zsyłać jednym krótkie wytchnienie z bied, trosków i niedoli żywota, drugim zaś przedłużenie szczęścia w złotych, błogich jak brzask jutrzenki jasnych marzeniach. Już rozkoszne wonie, urocze dźwięki, cudowne widziadła i jakieś nieziemskie uczucia, wplecione w snów czarowną równiankę, słodko łudzą drzemiących; przed ich zawartemi powiekami zabłysły inne światy, gdy tymczasem ów rzeczywisty spoczął pod tajemniczą osłoną nocy. W koło pałacu czerni się obfity w krajowe i zagraniczne krzewy ogród; niebotyczne drzewa rozpościerając

szerokie konary, poprzybierały dziwaczne kształty — a lada szelest liścia, ruszenie się gałązki, w ciszy zda się jękiem niewidzialnych duchów, zaklętych bóstw jakichś powietrzną rozmową.

W tem z lekka zadzwoniło jedno z pałacowych okien i ktoś stanął na balkonie; bądź że go znęcił wdzięk samotnej pory, bądź że mu natrętne myśli sen odganiały od powiek, stanął, a wsparłszy się o poręcz żelazną misternéj roboty, zdał się cały zapomnieć w dumaniu. Ale po chwili szelest jakby lekkiego ostróżnego stąpania zciągnął jego błąkającą się uwagę — zwrócił się w stronę zkąd słyszeć się dało, i rozpoznał bielejącą postać kobiety. Cofnął się, przytulił do ściany, a ona przeszła, niespostrzegłszy go wcale — twarz miała obwieszoną zasłoną, w któréj za zbliżeniem się jéj — o dziwo! rozpoznał ten sam bareżowy szalik w któren się Jda dziś jeszcze na spacerze otulała. Postać krokiem szybkim zmierzała ku szpalerowi wiodącemu do furtki ukrytéj w zaroślu — rychło i bez namysłu spuścił się Włodzimierz do ogrodu i niepostrzeżony, za pomocą krzewów i nocy, postępował w ślad za nią w niejakiem oddaleniu. W krótce u furtki ozwało się lekkie krząknięcie i podobneż odpowiedziało z za kraty kędy przechodził gościniec, pokręcono klucza, skrzypnęły zawiasy i ktoś się wsunął do ogrodu. Rozmowa była żwawa lecz cicha; próżno podsłuchujący wytężał uszu, dolatywały go tylko oderwane wyrazy, które tem bardziéj ciekawość jego zaostrzały — chcąc się bliżéj przysunąć, nieszczęściem spłoszył sowę, która narobiła szelestu — przestraszona para zerwała się z miejsca — szepnął coś jeszcze kawaler i zemknął za furtkę — panna zaś znikła w zaroślach.

Gość pani Wojewodziny w ten sposób zostawszy panem sceny na któréj się przed nim odegrał akt niezrozumiałéj dlań jeszcze komedyi nadszedł, by ją rozpo-

znać z bliska, a zmierzając ku furtce zawadził o coś leżącego na drodze — schylił się by podnieść rzecz znalezioną — był to pugilares.

— Otóż i rozwiązanie zagadki! — Wyrzekł sam do siebie z niepospolitem zadowoleniem — los który się mną widzę opiekować nie przestaje, składa je w moje ręce! wybornie!.... *c'est une trouvaille* jakich mało i przydać się może w potrzebie.

To mówiąc znaleziony pugilares schował do kieszeni.

Nazajutrz przecudnie świeciło słońce, gdy się Jda zbudziła ze snu — i lubo jéj było w sercu, bo we śnie była zwiedziła Topolówkę, widziała ciotkę, siostry, brata, kącik swój, ogródek i jeszcze coś, i jeszcze kogoś a wszystko piękniejsze, milszc, lepsze jeszcze niż na jawie i tak jéj się zdało wyglądajac oknem w śliczny Boży świat, że się jéj dziś koniecznie coś miłego przytrafić musi.

W pałacu jeszcze było cicho, wybiegla więc do ogrodu; zaledwie stopy dotykając ziemi i chciałaby obiedz tak świat cały, całe powietrze wciągnąć w swoje piersi, całem życiem żyć, całem sercem kochać, całem czuciem czuć! Ani się spostrzegła jak stanęła u furtki, a ujrzawszy ją tylko przymkniętą, klasnąła w dłonie i wybiegła na gościniec z radością dziecka uciekającego przed ferułą nauczyciela, ptaszyny co się wyrwie z klatki, lub motyla bujającego po łące. — Biegła tak biegła, skacząc gdyby sarneczka i niepatrząc przed siebie, gdy tuż, tuż pod nogami spostrzegła równiankę z bławatków porzuconą na drodze, jakby cząstkę rozerwanego wianka— podnosząc ją, zoczyła tuż przy kwiatach świeży ślad końskiego kopyta — rzecz nader prosta na gościńcu!— a jednak.... na widok ten serce głośniéj zapukało w piersiach, a żywszy rumieniec wystąpił na lica — Oj, bo też to nie ślad zwyczajny... on ma swoją jakąś osobną fizyonomię... on przemawia do wyobraźni....

a kto wie, może i do serca!... Co za myśl pusta! może i pusta, ale znać także miła, bo się Jda uśmiecha, a rzewność zabłysła jéj w oczach — dzieciństwo! — dla czego?... Jest pewne jasnowidzenie, jest domyślność serca — któż je pojąć, wytłumaczyć, lub kto odnucić zdoła?

Pod wpływem uroku takiéj domyślności Jda wracała do ogrodu, gdy nieuszedłszy i stu kroków, spostrzegła zdala księcia Włodzimierza; nie rada tak rannemu spotkaniu w téj chwili zwłaszcza, chciała zwrócić w stronę — lecz on tak zręcznie zaszedł jéj w drogę, że bez niegrzeczności niepodobna było go ominąć.

— Pani dobrze spała? życzywszy dnia dobrego.

— Wyśmienicie, jak zawsze.

— To pani szczęśliwsza odemnie, bo ja długo zasnąć nie mogłem — wieczór mieliśmy wczoraj prześliczny...

— I przechadzał się książe do późna?

— Tak, trochę...

— I dostał może kataru?

— Niezupełnie... A pani nie boi się kataru?

— Jak czasem — ale jakże dzisiaj ręka?

— Doskonale! gotówbym zacząć na nowo.

— A niech pan Bóg broni!

— Pojedynek panią przestrasza?..... Ale cóżto za prześliczne miejsce! te kaskady, te drzewa, te krzaki...

— Alboż to je książe widzi po raz pierwszy?

— Po raz pierwszy może... w takiem usposobieniu, do admiracyi;

— To pan widać ma katar wesoły!

— Ależ ja niemam kataru, przeciwnie węch mój wyśmienity, upewniam panią.

— Przepraszam, zdawało mi się że chodząc po rosie zamoczył pan nogi.

— Wcalem tego nie mówił — czy to te kwiatki dają pani tyle roztargnienia?

—Być może — niezmiernie lubię bławatki.

— Żałuję, żem wprzódy o tem niewiedział, mógłbym się był pani przysłużyć. I któż to ten szczęśliwy co mię uprzedził?

— Jeśli książe odgadnie, to więcéj będzie wiedział odemnie — znalazłam je po prostu.

— Hem, czasem można znaleść bardzo szczęśliwie — a da mi pani kilka tych bławatków?

— Bardzo żałuję, ale nic z tego nie będzie.

— Dla czego?

— Bo one wszystkie mnie się dostać były powinny.. odrzekła Jda dosyć nieuważnie.

— Więc pani wierzy w przeznaczenie?

— Niezupełnie...

— Jednakże troszkę — i tak np. znalazła pani te kwiatki, bo je ktoś rzucił z intencyą abyś je pani znalazła?

— Jeśli to książe mówi, aby mię ich koniecznie pozbawić, to wcale niepięknie! Ale! zatrzymuję pana, a pan zapewne bez śniadania?

— I owszem, i owszem — otóż i pani nawzajem nieudało się zręcznie mnie się pozbyć. Bez żartu, wie pani że życie jakie tu pędzimy — to rzecz przewyborna! nigdym się tego niespodziewał w głębi królestwa, na głuchéj wsi, znaleść tyle *resursów*!

— Wyznanie szczere, choć niekoniecznie grzeczne —

— Mnie się zdaje że przeciwnie, ponieważ skutek przeszedł oczekiwanie! I tak naprzykład, porobiłem arcy zajmujące odkrycia!

— Nawet odkrycia!

— Pani jak widzę, wcale nie jest ciekawą — ale ja dziś niezmyśloną mam ochotę zabawić panią — to mi się tak rzadko zdarza!

— Myli się książe doprawdy!

— Zdaje się doprawdy, że sobie drwi ze mnie — powiedział sobie w duchu Włodzimierz, a głośno dodał: pani tu niezna nikogo?

— I owszem.

— Ale bo o tych kilku przedpotopowych sąsiadach co regularnie w niedzielę po mszy przybywają z attencyą i submissyą do pani Wojewodziny, wielce mościwéj ich pani i benefaktorki, mowy między nami być niemoże — to zamarynowane muzeum przeszłości — oryginały! —

— Prawda, godni i poczciwi ludzie!

— Dajmy im pokój; widzę nigdy nie przyjdę do rzeczy — z panią trzeba chwytać sposobność oburącz, — chcąc umieścić stósowne słówko — przepuścić chwilkę już całkiem co innego na placu. Więc tedy pani niewie o nowinkach okolicy.

— Wyznać muszę że nowinki niemają szczęścia mię obchodzić.

— A mnie bardzo bawią — zły to gust zapewne ale mój własny — to też udało mi się niewiem czy zrządzeniem ślepego trafu, czy téż skutkiem szczególnéj jakiejś opieki losu nademną, nazbierać doskonałych. Między innemi odkryłem nieocenionego sąsiada o którym się przecie pani nieśniło a niebezpieczniejszy stokroć od samego Turka, Tatarzyna, Baszy egipskiego i wszystkich ich złączonych razem. — Jest to, jakże mam pani powiedzieć w naszym twardym polskim języku? szczęśliwy człowiek! — to jeszcze niezupełnie to, ale coś w tym rodzaju — jakby machina parowa poruszająca swą siłą serca wszystkich w krąg piękności! Zorza wszystkich sąsiednich parafij! zefir ożywiający wszystkie wschodzące, tlejące i gasnące nadzieje! Magnes sciągający serdeczne uściski ojców, protekcyonalne uśmiechy matek i słodsze nad wszystko spojrzenia córeczek — nakoniec, uważ pani, złote jabłko niezgody, między boginiami okolicy!

— Dziwię się doprawdy — przerwała Jda, któréj cała ta rozmowa niezmiernie ciężyła — zkąd pan w tak krótkim czasie posiadł tyle tak dokładnych wiadomości o téj *głuchéj wsi z głębi królestwa*...

— Kiedy pani, co przecie jesteś kobietą, córką Ewy, niewiedziałaś dotąd o istnieniu tego Don Żuana, ztąd tylko o milę mniéj więcéj? — Czy dobrze skończyłem myśl Pani? — Otóż to właśnie dla tego, że pani jesteś kobietą i... ale nie o to chodzi — my bo mężczyzni, widzi pani, to wcale co innego — mamy nasze przywileje, wiemy wszystko, i niemylimy się nigdy — jest to korzyść wielka i niezaprzeczona, któréj też nam panie nieraz zazdrościcie — teraz na przykład założyłbym się, że się pani nieposiadasz z ciekawości usłyszenia potężnego nazwiska mego bohatera? nieprawdaż?

— Trafnie dziś książe zgaduje, niema co mówić.

— Spodziewam się! — Gdybyś mię pani poprosiła pięknie... ale gdzież tam! co to panią obchodzić może. że jakiś tam wiejski adonis zawraca głowy, wszczyna pożary, zapala wulkany, a sam — uważ pani dobrze, *car voilà le piquant de la chose* — sam nad prozaiczny kłopot wyboru z pomiędzy tylu bogactw przekłada idylliczne westchnienia pod strzechą, *l' amour dans une chaumière* — jak to rozczulające! *n' est-ce pas?*

— Nierozumiem pana doprawdy.

— Nie moja w tem wina! inaczéj przecież tego wytłómaczyć nie mogę; zresztą o gustach niema sprzeczki, nieprzeczę że i chałupa może mieć swoje powaby dla kogoś co lubi piękności natury, przechadzki przy świetle księżyca, tak jak np. pan Zygmunt... Zacnowski... Ach! — zawołał Włodzimierz z udanem przerażeniem, jednę rękę kładąc na usta, a drugą podejmując parasolkę którą upuściła Jda — stało się, wymówiłem się, otóż i po sekrecie.

Trudno wyrazić co się działo z Jdą — sto młotów uderzyło jéj w serce, krew ledwie niewytrysła twarzą, oddech zatamował się w piersiach — a gdy przemówić chciała, głosu niestało. Włodzimierz ze swéj strony dostrzegłszy wrażenie które sprawił, zawahał się trochę— ale coraz żywszą miotany ciekawością, niemogąc pogodzić jedne z drugimi uzbierane spostrzeżenia i domysły, wręcz zapytał:

— Czy pani nigdy o tém nazwisku niesłyszała?

— Nie... i owszem... to jest... słyszałam — odparła Jda z pomięszaniem, na próżno usiłując stłumić w głosie wzruszenie.

— Znasz je pani?

— Znam...

— A!... i to z najlepszéj strony zapewne?

— Tak jest.

— Naturalnie!.... nicem też takiego niepowiedział, coby temu panu nieczyniło największego honoru.

Spojrzenie Jdy pełne wzgardy było całą odpowiedzią na słowa te; ale Włodzimierz odrzekł z uśmiechem:

— Widzi pani, że najzupełniejszą miałem słuszność mówiąc że się ten człowiek pod szczęśliwą gwiazdą urodził, kiedy nawet pani się ujmuje za nieznajomego...

— Nie tyle jak się panu zdaje...

— Otóż i prawda jak oliwa wyjdzie zaraz na wierzch pomyślał sobie Włodzimierz, a Jda kończyła z wzrastającą śmiałością:

— Znam pana Zacnowskiego.... to jest widziałam go... ale są co go lepiéj znają odemnie i... bardzo... bardzo szacują...

— Wierzę, wierzę najzupełniéj... odrzekł Włodzimierz przygryzając wargę.

— Że jest tak bliskim sąsiadem pani Wojewodziny, tegom niewiedziała... ale się bardzo cieszę... dodała z gorączkowym pośpiechem.

— I ja niemniéj się cieszę, że mi się nakoniec udało tak miłą donieść pani wiadomość — wtrącił książe z przekąsem — Ale *à propos*, zapominam o tém właśnie dla czegom pani szukał po całym ogrodzie — czas śliczny.... mam napięty projekcik dalszéj nieco przejażdżki — właśnie mi wczoraj przyszło wszystko na com tak długo czekać musiał... powóz, szory itd. itd. pozwoli dani spròbować?

— Wszakże to pani Wojewodzina...

— Pani Wojewodzina — przerwał Włodzimierz — da się nakłonić, za to ręczę!

— Więc mnie nie warto i pytać — odrzekła Jda sucho i szklannemi drzwiami weszła do pałacu.

Książe stał jeszcze, patrzał za nią, muskał sobie wąsy, a skoro znikła, zawołał:

— Bodajem wisiał na szubienicy, jeżeli tu cokolwiek rozumiem! ale ja to wszystko wyświetlić muszę — Jużci że to niebyła ona, to kwestyi nie podlega — znam się przecie cokolwiek na tych rzeczach!... lecz aby niewiedziała o czemś i niebyła w tę sprawę wplątana... temu niewierzę. W kobiecie i najniewinniejszéj na pozór, djabeł nie śpi, wiem o tém z doświadczenia... Jak to mię ona z początku zbywała!... wyraźnie byłem natrętny w téj chwili... ale dla czego? — A potem znowu, jak się zmieszała, usłyszawszy nazwisko mego szczególnego bohatera.... ale przyznała się do znajomości, dosyć.... tak, dosyć naturalnie... rzecby można z odwagą... więc trzeba było odwagi?... obruszyła się nawet... cha, cha, cha... to znowu dowód niewinności i cnoty! — Jest w tem coś, jest jakaś tajemnica, to pewna; tem lepiéj; gdyby nie te intryżki co ubarwiają życie, nie warte by ono było i złamanego szeląga! — O szacowny pugilaresie! muszę cię przejrzeć raz jeszcze — *bon*! notaty gospodarskie! idylliczny pasterz jak widzę niegardzi i prozą — recepty doktor-

skie! cha, cha, cha — napiszę ja ci receptę mojego rodzaju — wexle na zagranicznych bankierów — patrz go!.... na nieszczęście tylko dwie litery na okładce, Z. Z. — i nic więcéj. — Zygmunt Zacnowski, *c' est ça*— żadnego z resztą listu, żadnego *billet doux*, coby mię mógł naprowadzić na pewniejszą drogę — do djabła z tą ostrożnością! Ale trafiła kosa na kamień — pokażę ja ci mój panie, że niebezpiecznie na kilku stołkach siedzieć. — Oto zaraz zróbmy plan, ułóżmy taktykę strategiczną — przejażdżka naprzód, a potem... potem jak potem — okoliczności sprzyjają — czas i ja zrobimy resztę! —

Tymczasem Jda wpadłszy do tego samego pokoju z którego przed godziną, szczęśliwa, tak ochoczo była wyskoczyła, rzuciła się na krzesło z razu jakby bez sił i czucia, aż powoli przychodząc do siebie rozpłakała się biedaczka z żalu, wstydu, gniewu, goryczy.

— On więc tu, tu, niemyliło mię przeczucie! — mówiła sama z sobą — i ani się zbliżył, ani spróbował, ani raczył!... i jeszcze... O, co to, to nieprawda, to kłamstwo, to potwarz — temu niewierzę, nieuwierzę nigdy! — A jednak on tu, i niechciał mię widzieć! Co znaczą słowa księcia? i jak śmiał je wymówić przedemną? — Zkądże on wie? zkąd on to wie?... Ale wie, więc to prawda!... niegodny, szkaradny! — I ja, ja, mogłam myśleć że on nie taki, że lepszy od innych!... gorszy, stokroć gorszy raczèj... teraz wiem, teraz rozumiem dla czego niewrócił do Topolòwki, dla czego nieprzybył do Warszawy — a ja szalona! Bóg wie jakie zasługi ztąd wywodziłam... Ale wczas wyszła prawda na jaw... pogarda będzie moją zemstą — jeżli co było w sercu, o tém nikt nigdy się nie dowie... nikt? a Jadwiga, a mąż jéj, a ciotka, a brat, a ja sama?... Co za hańba, co za upokorzenie! — Gdybyż choć wart był moich łez, mego wspomnienia! gdyby wart był abym

się z jego łaski dręczyła!.... Ale oto los kobiety na świecie! każdemu wolno z jéj serca robić sobie igraszkę! wrzucić słówko, rozniecić uczucie... i zadrwić zeń sobie, daléj nie pytając o nic.... Gdyby mu kto powiedział teraz że cierpię, ruszyłby może ramionami i zadziwiony zapytałby: dla czego?... — Dla czego?... o, prawda!... prawda że niema czego żałować, nie ma się czego smucić! — niedozwolę nikomu takiego tryumfu nad sobą aby mógł kiedy pomyśleć że schnę dlań z miłości gdy on niedba o mnie! — Świat, życie, wszystko przedemną... dopókim wierzyła w ludzi... niczegom nie pragnęła i niegardziłam niczem... dzisiaj chcę, tak, chcę tego czem gardzę, chcę jaśnieć, chcę panować, chcę pokazać czem jestem, czem być mogę!, chcę, sama niewiem czego! — Ten książe Włodzimierz, dziś mógłby być u nóg moich... ale cóż mi po nim?.... jam nie kokietka! nie, nie, kokietką być nie mogę... To nie on, nie on! gdybym go zobaczyła... gdyby mi powiedział jak wtenczas... O, ja biedna, biedna!

I twarz zakryła rękami — i łzy popłynęły gorące. Gniew, zemsta, wyniosłe widoki, grzeszne postanowienia, wszystko to były tylko słowa... w sercu zaś miłość i cierpienie! Może kto powie że to za silne wyrazy na określenie uczuć tak pospolitych, spowodowanych tak błahemi wypadkami.... Być może. Ale, co boli to boli, czy to ukłócie szpilki czy cięcie miecza je spowodowało — a zbyt częste cierpienia które wyobraźnia nam przyczynia dotkliwszemi są jeszcze, a przynajmniéj dotkliwszemi się być zdają od tych, które zawdzięczamy rzeczywistości. Jakkolwiek bądź, gdy tak biedna Jda w żalu pogrążona, garderobiana jéj drzwi otworzywszy zawołała głośno:

— Jezus Marya! cóż to panience? — czy nie głowa boli? —

— A tak... głowa! — odpowiedziała z cicha.

— Może wody przynieść?... to czasem pomaga....

— Przynieś Johasiu...

— Biegnę! i oczy przemyć nie zawadzi, inaczéj co bo to ludzie pomyślą?... Gdyby panienka wiedziała co ja wiem?...

— Wody, wody prędzéj... przerwała Jda.

Wybiegła przecie służąca, a pani jéj zawstydzona że słabość któréj z razu powściągnąć nie była w stanie miała tak niepotrzebnego świadka, postanowiła odtąd mieć się na baczności i znosić wszystko ze spokojném obliczem — a może też mimowolnie w miarę jak słabło pierwsze oburzenie, z cicha odzywała się nadzieja któż potrafi zajrzeć aż do dna serca ludzkiego i pochwali się, że je poznał z gruntu?

Johasia wróciła z wodą i oznajmiła zarazem, że pani Wojewodzina już czeka w salonie.

— Konie przed gankiem — mówiła narzucając na plecy swéj pani ów nam już znajomy bareżowy szalik, kapelusz jéj wkładając na głowę, parasolkę, rękawiczki wsuwając w ręce — pani Wojewodzina kazała zawołać panienkę. —

I to mówiąc uwijała się po pokoju, niby uprzątając, otwierając i zamykając szuflady, bez żadnéj istotnéj potrzeby — Jda znudzona tém natręctwem powstała z energią i zeszła na dół do salonu,

— Książe tak grzeczny że nam dziś powóz swój na przechadzkę ofiaruje — przemówiła Wojewodzina ujrzawszy wchodzącą.

— I pani Wojewodzina przyjęła? — odrzekła Jda, niewiedząc prawie co mówi.

— A czemużbym niemiała? — jedziemy!

— Przepraszam... czybym niemogła zostać?... nieznośny ból głowy...

— A, to go właśnie przejażdżka i świeże powietrze rozpędzą.

Wiedziała Jda że na to niebyło odpowiedzi — umilkła więc. Za krzesłem Wojewodziny stał Włodzimierz z miną prawdziwego zdobywcy — przykrym byl widok jego Jdzie — a jak na złość w lepszym niż kiedy zdawał się być humorze i z tą pewnością którą nadają powodzenia oparte na korzyściach urody, dowcipu, towarzyskiego położenia itd. tonem lekkim, salonowym, prowadził bawiącą panię wojewodzinę a nieznośną tym razem dla Jdy rozmowę — pierwsza była zadowolona, drugiéj zaś serce coraz to bardziéj się ściskało.

XIII.

I cóż to z tego będzie? Czyż Bóg pozwoli aby się rzeczy tak coraz daléj i daléj gmatwały? czyż doprawdy Zygmunt wyjedzie za granicę z niczego się nie wytłumaczywszy, a Jda będzie się gryzła niewiedzieć czemu, i kórtyna zapadnie na wewnętrzny dramat ich uczuć — przed jego rozwiązaniem któreby mogło wszakże nastąpić ku powszechnemu dobru i zadowoleniu?... ha!... Alboż mało dramatów zaczętych, nierozwiniętych, niedokończonych, po których przebolało serce, przepłakały oczy w skrytości, niewiadomość zagrzebała na wieki, gdy wszystko zdawało się mówić że powinny były skończyć się inaczéj, że mogło było być lepiéj, gdyby.... gdyby... jednem słowem, gdyby rzeczy były szły od początku nie tak jak poszły! dla czego?

Dwie igły magnesowe wiodą ludzi przez świat i życie — jedną z nich rozum, a drugą uczucie — jeżliby

żadna z nich nigdy ani na chwilę nie zboczyła z właściwego sobie kierunku, obie zarówno w końcu do jednego celu, do szczęścia możeby doprowadziły — o ile tu szczęścia być może — lecz nie tak się dzieje... pod nieprzychylnemi wpływami obie chwieją się bez ustanku, rzadko kiedy na środkowym punkcie się zatrzymując — i dla tego też ten sobie i drugim popsuł los i życie że niedosadził, ów że przesadził w uczuciu — ten że nierozważył, tamten że przerafinował — to pewna że, czasem trzeba umieć pomyślność zdobyć przebojem... a to nie każdemu dane. — Zygmunt jak widzieliśmy nie chciał czy nie mógł walczyć z okolicznościami.... Już się rozmówił z matką, już otrzymał jéj błogosławieństwo na drogę, już kazał konie zakładać... a więc wszystko skończone — za chwil kilka niebędzie go w Zaciszu.

XIV.

Pysznów, któregoś Lipca 1829go r.

Powiedz mi Tereniu czy to prawda że żyję, że mi serce bije, że tu siedzę, że północ się zbliża... i że do ciebie piszę choć mi spać kazano?... ale ja nie mogę... płaczę, śmieję się... smutno mi i wesoło... i nie pojmuję jak się to stało, i nie wierzę że się to stało — Pisałam do ciebie kilka dni temu... ale listu tego nie otrzymałaś i nie otrzymasz nigdy... przez pomyłkę nie odesłałam go na pocztę i nie odeślę już teraz... będziesz miała inny... ale cóż to list, co znaczą te

słowa martwe, przytem co się czuje! Gdyby to można w tęczy maczać pióro!... ale ten kałamarz zawsze czarny!... słuchaj jednak co ci powiedzieć jakkolwiek muszę. Wczoraj książe Włodzimierz, który tu jak wiesz po drodze do Karlsbadu od kilku tygodni przesiaduje, namówił panią wojewodzinę aby się przejechała jego nowym ekwiparzem. Czas był prześliczny, przed ganek zajeżdżał kocz zielono lakierowany, którego odło żone pudło ukazywało wnętrze wybite perłową sajetą, konie parskały niecierpliwie przy powtarzaném klaskaniu z bicza. Chiński zegar w przedpokoju zagrał kuranta przed wybiciem jedenastéj godziny, książe podał ramie pani wojewodzinie i wyszliśmy wszyscy na ganek, choć mnie dnia tego było nie do ludzi i nie do zabawy... —„Podawaj!— zawołał kamerdyner księcia, stangret palnął z bicza raz jeszcze, a w tem jakby echo z lipowéj ulicy, odpowiedziało mu drugie klaśnięcie. „Co to jest?— zapytała wojewodzina— „gość jakiś niespodziany?— „Rychło wczas!“ zawołał książe z niecierpliwością, a nimeśmy się obejrzeć zdołali, wleciała na dziedziniec bryczka zaprzężona tęgiemi gniadoszami i wyskoczył z niéj... zgadnij kto?— „Ależ to pan Stanisław!“ -- zawołałam prawie uradowana, i w saméj rzeczy Stanisław wbiegł szybko na ganek i powitał ciotkę. „A zkądże tak panie synowcze?— zawołała wojewodzina, kto późno chodzi sam sobie szkodzi!“— dodała ciszéj, „że wszakże drugie przysłowie niesie: *mieux vaut tard que jamais*, tym razem masz przebaczenie, tylko za pokutę będziesz nam zaraz towarzyszył; wszak, prawda mój książe? Mój bratanek; książe Włodzimierz. *Messieurs, vous etez cousins.*“ Zdawało mi się że obaj ci panowie skłonili się sobie nawzajem trochę zimno, jak gdyby książe pomyślał w duchu: niekoniecznie potrzebny! a Stanisław: bodajeś pękł jeźli etc. etc. etc. trwało tó zresztą tylko chwilkę, książe zajął się spro-

wadzeniem i wsadzeniem do powozu pani wojewodziny a pan Stanisław z pośpiechem przystąpił do mnie i podał mi rękę.

„Zkądże pan tu tak niespodzianie?“— „Nie tak zbyt jak się zdawać może“ — odrzekł z cicha — „oddawna bawiłem w sąsiedztwie“ — dodał bystro patrząc mi w oczy — „u osób.... znajomych pani podobno trochę... i wyglądałem tylko sposobnéj chwilki... *mieliśmy* tu być, ale“... tchu mi nie stawało słuchając, czułam że się rumienię po same białka. Stanisław to dostrzegł i śpiesznie dorzucił: „Jeżeliś się pani niezmieniła od wyjazdu z Warszawy, to polegaj śmiało na mojéj... przyjaźni!“ — Nierozumiałem dobrze znaczenia tych słów, ani pojmowałam zkąd się one wzięły w ustach jego, dnia tego wszystko dla mnie od rana było zagadką, męczącą nawet zagadką, ale w mowie poczciwego Stanisława tyle było szczerości i życzliwości, że do razu uległam jego dobroczynnemu wpływowi, serdecznie odpowiedziawszy na uścisk podanéj mi ręki spokojniejsza daleko z uczuciem opieki jakiejś nademną, usiadłam w koczu obok pani wojewodziny.— „Cóż to mój książe, nie siadasz z nami?“— zapytała matrona; gdy ten zaprosiwszy grzecznie ale zimno Stanisława do środka, kazał zamknąć portyerę. Włodzimierz odrzekł, że całą odpowiedzialność przyjąwszy na siebie, dla większego bezpieczeństwa usiądzie na koźle pod czas gdy kamerdyner jego obok lokaja pani wojewodziny stanie za pojazdem.— „Ależ upewniłeś mię że konie spokojne!“ — przerwała matrona nieco przestraszona.— „Jak dzieci! ale na ten raz raczy pani pozwolić, to moja fantazya!“— „Tylkoż powoli na miłość Boską, bo karku kręcić nie widzę potrzeby“... —„Ależ pani dobrodziko czy bym śmiał narażać“..... — „No dobrze, dobrze, jedźcież już tylko ostrożnie!“— I ruszyliśmy. Czas był, prześliczny; świeży wietrzyk chłodził upał lipcowego

słońca, tysiące ptasząt świegotało w gęstych powietrznych altanach— a myśli moje Tereniu luba, myśli moje splątane od rana, rozbiegły się jak błędne owce, krzyżując się na wszystkie strony — nic mi jasnem nie było — i gdyby nie jakieś niepojęte zaspokojenie z obecności pana Stanisława, czuję że zwaryowaćbym mogła— niesłyszałam co w koło mnie mówiono i anim się spostrzegła jak powóz tocząc się szybko po równym gościńcu, minął ogród, lipowy szpaler i zdążył w otwarte pole gdzie się już było rozpoczęło żniwo. Tam zwolniono kroku, bo pani wojewodzina, owa dumna białogłowa, co spanoszałego szlachetkę, bogatego półpanka zbywała zimną i pogardliwą miną, kmiotków lubiła, poufale z nimi przestawała i teraz żniwiarzy dobrem słówkiem, łaskawem życzeniem: „Dopomóż Boże!“ starała się zachęcać i pokrzepiać w ciężkiéj i mozolnéj pracy. — „Ta patryarchalna kondescendencya Ciotki Dobrodziejki — wtrącił Stanisław aby ożywić zapewne mdlejącą rozmowę — przypomina mi bardzo prototypy naszych tak zwanych arystokratek, stare francuzkie od stopy do głowy heraldyczną dumą nadziane markizy.“— „Cóż przez to assendziéj rozumiesz, panie synowcze?“ zapytała łaskawie matrona. —„Że pani *de Criqui* np. podczas rewolucyjnego więzienia różańce i koronki odmawiała podobno z prostą wieśniaczką, która prawda już ani wątpiła iż za przewodnictwem modłów *grandessy hiszpańskiéj* i jéj niegodne prośby do stóp Pana nad pany dolecieć potrafią, lecz oburzyłaby się niezawodnie na samą myśl podobnéj spółki z taką któréjby nuż przyjść mogła zarozumiała chętka ubiegania się z nią o pierwszeństwo zdrowasiek.“ —„Ta, ta, ta, ta, widzę zakrawa na dawną sprzeczkę, zgoda! występujże w szranki przeciw staréj ciotce! zapowiadam wszakże z góry iż stracisz całą swą łacinę i nieprzekonasz nikogo.“ — —„Miałżeby pan stawać w obronie tyle wy-

marzonéj i wysławionéj *równości?*“ — zapytał książe z niejakim przekąsem.— — „Chimera, urojenie!“— zawołała pani wojewodzina z niezwykłą sobie żywością, „a gdyby się gdzie indziéj niż w przewróconym mózgu jakichś tam połgłówków ostać mogła, byłaby wierutną niesprawiedliwością; bo jużci tyle z arytmetyki pamiętamy wszyscy, żeby wiedzieć choćby z *reguły trzech* iż z prawa i porządku rzeczy każdy wedle wniosku swego i zasług odebrać powinien.“ — „To też to właśnie“ — podchwycił Stanisław— „wedle zasług, a zasług rzeczywistych, proszę też uważać różnicę jaka jest między tą chimeryczną równością, którą już przed wiekami dostatecznie zbił zręczny apollog tego... tego... jakże to się on nazywał? — — Menenjusza Agryppy“ powtórzył w zapale Stanisław— „a równością praw do osiągnienia téj koniecznéj w społeczności wyższości, którą Ciocia dobrodzika raz na zawsze, wyłącznie, przyznała kilku tylko, czy kilkunastu wybranym i mniéj więcéj zkoligaconym z sobą rodzinom.“ — „Bo się im z prawa i odwiecznego porządku należy. Doprawdy miłoby widzieć to całe od wczoraj powstałe plemię, przodkujące naszemu narodowi! ślicznie by się wydali na świeczniku Pietrusińscy, Serewiczowie, Ptremdziszewscy *et compagnie*“... —„Za pozwoleniem, i bez nich znaleźli się na świeczniku tacy co nad kraj swój przełożyli coś innego; a kiedy ci których tarcze nieodwczoraj jaśniały nieprzyćmionym blaskiem dumali nad Targowicą, tysiące na zawsze zagrzebanych Imion, krwią swoją zlewało racławickie pola!“— „Cześć im i chwała! a niepamięć ....! nie idzie wszakże za tem“... — „To też był tylko przykład, stwierdzony, niestety! okropnem doświadczeniem, na poparcie mojego zdania. Lecz uderzmy w inną stronę; wszak Ciocia dobrodzika liczy się do rzędu najżarliwszych córek Kościoła, całe godziny trawi na modlitwie i rozmyślaniu, przestrzega-

jąc ściśle wszystkich religijnych praktyk?“ — „Zapierać się tego niemyślę; lecz cóż to dowodzi? moje *ultra arystokratyczne* jak je zowiesz twierdzenia, bynajmniéj dewocyi niezawadzają; ażeby cię o tem przekonać powiem tylko że“... — „Bardzo przepraszam! pryncypia które się w zastosowaniu praktycznem przeradzają w lekceważenie a nawet w pogardę czyjéjkolwiek osoby, chociażby przybrane w najpiękniejsze formy, sztucznie nawet płaszczem pobożności odziane, niewiem jakby się sumiennie pogodzić dały z religią całkiem opartą na pokorze i miłości chrześcijańskiéj.“— —„Pleciesz trzy potrzy panie synowcze! powiadam ci wszystko co mówisz nie ma sensu, a co gorsza, w gruncie opiera się na pysze wygórowanéj, która będąc pierwszym z grzechów głównych, jakto przecie wiedzieć musisz, jeszcze jawniéj sprzeciwia się przepisom świętéj religii, któréj, przytoczeniem ni w pięć ni w dziewięć, jak z procy chciałeś mię obalić.“— „Ależ zrozumiejmy się proszę!“— zawołał Stanisław. — „Że bije serce na wzmiankę pięknemi czynami niegdyś wsławionego Imienia, że dobrze uprzedza blask otaczający potomka przed wiekami krwawo Ojczyźnie zasłużonéj rodziny, na to wszystko zgoda! chociażby nawet ów potomek, jak się dziś często widzieć daje, niegodnym był sławy Ojców — ale gdzież znowu byłaby sprawiedliwość, gdybyśmy dla zasług przodków naszych, w których żadnego osobistego udziału niemieliśmy, ani też nam one za wewnętrzną wartość stanąć mogą, gdybyśmy mówię dla takich powodów, mieli patrzeć z góry na kogoś co *niczem* będąc z *ojców*, *wszystkiem* jest z *siebie samego*? Pani naprzykład“— dodał zwracając się do mnie— „odrzuciłażbyś, potępiłażbyś tego, którego całą winą byłoby że nie historycznym i niezamożnym zdawna rodzicom winien życie?“— „Tylko dla tego?... nigdy!“— zawołałam ze zbyteczną może skwapliwością— pani Wojewodzina spoj-

rzała na mnie, płomienie buchnęły mi do głowy, a Stanisław kończył ze wzrastającym coraz zapałem i wymową i uczuciem jakich w nim dotąd nigdy niewidziałam:— „Przyznaj pani sama, istotną wyższość nie stanowiż mniéj czczy blask rodu niż szlachetność uczuć, zdolności, wychowanie człowieka? — te zaś niemogąż być zarówno udziałem, nawet i w naszym kraju czasem, prostego szlachcica, a choćby i nieszlachcica, jak i potomka książęcego domu?“— Nos pani Wojewodziny nieco się przedłużył, usta prawie znikły, to były z rzadka i w nadzwyczajnych tylko razach objawiające się oznaki jéj nieukontentowania; ale wprzód jeszcze nim je dobitnem słówkiem wyrazić zdołała, książe wtrącił zwracając się ku nam z wymuszonym nieco uśmiechem: — „Czyjąż to sprawę tak gorliwie popiera pan hrabia? a doprawdy, tyle wymowy musi koniecznie skłonić panie do zawołania: niech żyją dorobkowicze!“ — Ale pfe, pfe mój książe“ — przerwała Wojewodzina — „zmiłuj się cóż to za szkaradne brzmienie! — *Un parvenu*, dorobkowicz! — to śmierdzi żydem, dziegciem, smołą i Bóg wie czem jeszcze“...— „Gdy przeciwnie pargaminy i dyploma — odwieczne, pachną pleśnią... nato zgoda!“ — dokończył Stanisław, śmiejąc się, ale jakoś gorzko. — „Mniejsza o pargaminy, o dyploma — odparła z surową powagą Wojewodzina — to tylko dowody panie synowcze; ale zasługi, zasługi! to święta spuścizna, to dziedzictwo nieoszacowane! i biada temu kto skarbu tego oceniać nie umie.“ — „O, prawda —!“ — ośmieliłam się znowu wtrącić — „Ale ten skarb, tę spuściznę, te zasługi przodków, można strwonić tak, jak i majątek“....— „I *vice versa* nabyć dla potomności swojéj“ — zawołał Stanisław — „a jeżli..“ Tu, o nieba! serce zamiera w piersiach na samo wspomnienie — wrzawa piekielna niedała mu dokończyć; dwóch potężnych brytanów od pasącéj się w bliskości

trzody, przyczaiwszy się za płotem, wypadło na drogę i sunęło się zajadle do koni, w chwili właśnie gdyśmy zjeżdżali ze stroméj i kosej góry. Zniecierpliwione oddawna powolną jazdą rumaki, prędsze od błyskawicy rzuciły się wbok, i z dzikiem rżeniem, nastrzępioną grzywą, zadartym ogonem i rozwartemi nozdrzami, czwałem poniosły przez pola, góry i doły. — „Na miłość Boską stójcie!“ — krzyczała pani Wojewodzina — „w ręce twoje polecam“....— „Na prawo, kieruj na prawo! tam przepaść, rzeka, rzeka mówię“... wołał Stanisław do stangreta — „Matko Boska, ratuj nas“— modliłam się w duchu siedząc bez tchu w miotanym na wszystkie strony powozie — ziemia zdawała się umykać przed nami, a konie leciały jak opętane — w tem, wszystko się przewróciło w mych oczach i kocz runął o ziemię.... myślałam że już po nas.... i czas jakiś nieśmiałam otworzyć oczu — opamiętawszy się nareszcie i nieczując ani nóg końskich ani kół pojazdowych na sobie, znalazłam się niewiem jakim sposobem o kilkanaście kroków od głównego teatru téj straszliwéj sceny, tak mocnym był impet, który mię wysadził w powietrze— i ujrzałam konie zatrzymane, a przy nich Stanisława już na nogach — księcia Włodzimierza skrzywionego bardzo z oszarpaną twarzą, stangreta jęczącego z połamanemi żebrami, kamerdynera ze zwichniętą ręką... a panią Wojewodzinę, o biedną panią Wojewodzinę najgorzéj, bo tuż, tuż przy powozie zemdloną i bladą jak śmierć.... Rzuciłam się do niéj aby ją cucić, zaczerpnęłam w pobliżu wody w obie ręce i twarz jéj sędziwą zlałam obficie, umaczałam chusteczkę i obłożyłam jéj skronie... nic nie pomogło —. wtenczas dostrzegłszy wioskę w pobliżu, pobiegłam tam szukać ratunku — uderzyła mię jedna z chat najbliższych staraniem i porządkiem jakie około niéj dostrzegłam; jakiś blask poczciwości bił od chędogiego okienka; za-

stukałam doń, a gdy wyszła kobieta schludnie przybrana, opowiedziałam jéj nieszczęśliwą przygodę; kilku ludzi zwołanych naprędce, natychmiast pobiegło na miejsce przypadku, a poczciwa kobieta za mną zdyszaną zwolna postępując, nieprzestawała ubolewać nad losem swojéj biednéj pani! — zapytałam o doktora — odpowiedziała mi, że po *prawdziwego* doktora o kilka mil chyba posyłać. — „Ale“ — dodała — „gdyby pan z Zacisza nie był wyjechał, on-by lepiéj od wszystkich doktorów w świecie poradził!“ — Z Zacisza!.... to nazwanie nie było mi obcém — a pan z Zacisza!.... kobiecina nieznajdowała wyrazów na wysłowienie jego miłosierdzia i umiejętności... nie trudnoby mi było poznać kim był ten jéj dobroczyńca, gdyby go nawet nazwać nie umiała.. O, gdybyś wiedziała Tereniu co się działo w sercu!... Pojechał... z pewnością wiedziała że miał dziś rano jechać... i dokąd? Ach! daleko... daleko... i nie wrócić prędko.... nie wrócić może nigdy!..... smutnym był od jakiegoś czasu... wypytywał o mieszkańców Pysznowa i z zajęciem słuchał o pani Wojewodzinie, o księciu, o... droga moja, czy jest przeznaczenie na świecie? — Sama niewiem jak doszłam na miejsce kędy na sporządzonych w prędkości noszach, wysłanych świeżem sianem i poduszkami od kocza, złożono panią Wojewodzinę, która skutkiem moich ablucyj już była otworzyła oczy — spostrzegłszy mię, wyciągnęła do mnie rękę, lecz nie rzekła i słowa i znużone powieki zamknęła na nowo. — Smutny nasz pochód podobniejszym był do konduktu żałobnego niż do powrotu z wesołej i ożywionej przejażdżki — nimeśmy się ruszyli z miejsca wspomniałem Stanisławowi o naglącej potrzebie pomocy doktorskiej. — „Już posłałem“ — odpowiedział mi na to — „posłałem śpiesznie konnego i spodziewam się że wkrótce przybędzie.... oby tylko nie zapóźno!“ — Serce mi się jeszcze bardziej ścisnęło —

wszelka wiara, wszelka nadzieja pociechy odstąpiła mię do razu — nieśmiałam pytać dokąd posłał i po kogo — ale łzy mi się z oczu gradem posypały — widząc to Stanisław, po bratersku ujął mię za rękę mówiąc: „Uspokój się pani, da Bóg może się to wszystko lepiej skończy niż się nam teraz zdawać może.... tylko płakać nie trzeba.... bo i ja także mógłbym się rozczulić... nad losem biednego księcia np. z ktorym sumienie mi wyrzuca że nie dość grzecznie się znalazłem, i jego połamanego kocza..... a to jednak teraz byłoby nie w miejscu“. — To mówiąc niby żartobliwie, z oka jednak nie spuszczał Wojewodziny — słowa zaś któremi usiłował pokryć niespokojność swoją nie oszukały mię bynajmniej... a jednak jakoś podniosły nieco ducha mego. — Panią Wojewodzinę złożyliśmy nareszcie na jej własnem, wygodnem łożu, starannie zasunąwszy firanki u okien sypialnego pokoju — lecz bladość jej lica i wyraz cierpienia rozlany po twarzy, boleścią i trwogą przejmował serca przytomnych. Usiadłam w nogach jej i z gwałtownie bijącem sercem liczyłam minuty do przybycia doktora — a gdy nareszcie po dręczącem nad wszelki wyraz oczekiwaniu, które mi się zdało wiekiem, usłyszałam turkot powozu zajeżdżającego przed ganek.... potem zbliżające się do drzwi sypialni kroki.... i nareszcie w półświetle komnaty ujrzałam wchodzącego... nogi mi zdrętwiały, serce zabiło gwałtownie zapragnęłam powietrza... i więcéj nic nie pamiętam— — — — — Gdym na światło dzienne otworzyła oczy, leżałam na sofie w gabineciku pani Wojewodziny, Johasia octem odcierała mi skronia, Stanisław proszki jakieś mieszał z wodą, a za puls trzymał mię siedzący przy mnie na krześle... Tereniu! Zygmunt — pan Zygmunt! on sam! z tym swoim poczciwym wzrokiem, z tą samą powagą.... tylko bledszy, poważniejszy jeszcze.... spojrzenia jego niewytrzymałam, spuściłam

oczy, ale nie zemdlałam tym razem — a on przemówił do mnie jak doktor... zapytał jak się czuję teraz?... Na te słowa Stanisław przybliżył się z proszkami i podał mi je z komiczną troskliwością, mówiąc: „Maszże teraz pani na swoje usługi nie tylko doktora ale i aptekarza, a zatem chorować, mdleć, słabieć... niewolno! nieprawda kollego? Na twoją odpowiedzialność zostawuję te damy; spodziewam się że ich nieodstąpisz— sam zaś ruszam opatrzyć księcia, jego ludzi, jego konie itd. itd. — Winien mu to jestem ze wszech względów, albowiem sumiennie nie mogę przyznać, abym tu dzisiaj z życzliwości dla niego przybył... ale los więcéj mi usłużył niż bym tego mógł życzyć.... a zatem do widzenia!“ — Zaledwie Stanisław drzwi zamknął za sobą, pan Zygmunt powstał i chciał się oddalić... a ja, niewiedząc — prawie co czynię, wybacz mi to Tereniu, przypominam sobie że składając ręce zawołałam błagalnie: „O, zostań pan, zostań! bo doprawdy dzisiaj zwaryować mogę.“ — Na to nie odrzekł i słowa, lecz w milczeniu przybliżył się znowu i usiadł na swojem miejscu — ja się zawstydziłam bardzo i milczeliśmy oboje.... milczeliśmy bardzo długo... nareszcie głosem który mi niechciał przejść przez gardło, zapytałam: „Cóż pan myśli o stanie pani Wojewodziny? — „Nie dobry! w jej wieku przypadek taki grozi wielkiem niebezpieczeństwem — trzeba spokojności i pilności — ale przy pomocy Boskiej, spodziewamy się że rzeczy lepszy wezmą obrot!“ — „Pan tu zostaje?„ — dodałam nieśmiało. — „Zostaję dzisiaj ... i dopóki tylko będę potrzebny.“ — Znowu milczenie, uciążliwsze jeszcze niż przed tem — tysiąc rzeczy pragnęłam się dowiedzieć, o żadną pytać niewypadało — tysiąc innych chciałam powiedzieć, a milczeć musiałam. Nareszcie Zygmunt cichszym i łagodniejszym tonem zapytał: „Jak że się teraz pani czuje?“— „Lepiéj, daleko lepiej“ — odrze-

kłam śpiesznie. — O, jak pana przepraszam za trud którego mu tak niepotrzebnie przyczyniłam..... za to moje dziwaczne zemdlenie.... ale doprawdy nie moja wina... tyle wzruszeń... gdybyś pan wiedział"... Tu strumień łez przerwał mi mowę. — Zygmunt nic nie mówiąc ujął mię znowu za puls i bardzo długo, bardzo pilnie słuchał — a potem już i niesłuchał, a rękę moją z ręki swojej niewypuszczał... Niewiem moja Tereniu jak do tego przyszło, ale mowa nam się rozwiązała..... co mi mówił, com mu odpowiadała, tego ci niepowtórzę — dość że już teraz wiem wszystko i jestem nad wyraz szczęśliwa!.... Tysiąc rzeczy mam ci jeszcze do powiedzenia, ale to już na jutro odłożyć muszę — co mówię? na dzisiaj! niestety! wszak to już dnieje, a ja do ciebie piszę jeszcze... piszę choć komuś przyrzekłam że będę spała spokojnie!

Nazajutrz.

Poznał że niespałam! musiałam przyznać się do winy i naturalnie otrzymałam przebaczenie — jakżeby inaczej być mogło? — Z panią Wojewodziną ciężko idzie..... powiedział mi to dziś Zygmunt wychodząc z jéj pokoju po rannem opatrzeniu — czatowałam nań w gabineciku ażeby się o tem upewnić — ma się rozumieć że dalej nieposzedł — zagadaliśmy się w oknie. — „Wyrzucam sobie“ — powiedziałam — „że się nie dość smucę z przypadku co pani Wojewodzinie tyle sprawił cierpienia; i kiedy łza nawet w oku czasem się zakręci, ja się jéj prawie wstydzę bo mi się zdaje że to łza krokodylowa — bo gdyby odemnie zależało cofnąć co się stało... nie mogę dokończyć, bo to niegodziwie!“ — „Bardzo niegodziwie w saméj rzeczy!“ — odparł Zygmunt z uśmiechem. — „Ale ja nieżartuję wcale; gdyby nie ten przypadek.... pan

byś był wyjechał... może trochę smutny“... — „Może!... i trochę!“ — powtórzył Zygmunt, a ja kończyłam: „Potem byś się pocieszył .. potem zapomniał zupełnie.... a tu, tymczasem“.... — „Posłuchaj mię pani chwilkę“ — przerwał Zygmunt — a zobaczysz że nawet żartem takich rzeczy mówić się nie godzi. Niedalej jak zawczoraj mówiłem sobie: Są w życiu pewnych ludzi fatalności których dociekać i z niemi walczyć próżna — gdzie siły nierówne, gdzie wyższa moc zdaje się jakby umyślnie mięszać nasze zamiary, tam upieranie się i dobijanie swego, nie jest już dowodem męstwa, ale zuchwałością—zrodzonemu pod taką gwiazdą, pozostaje tylko skłonić czoło jakkolwiek gotowe postawienia desperackiego oporu przeciwnościom, a skłonić je przed tą przeważną myślą, iż Opatrzność co naszym losem kieruje, Opatrzność co czuwa nad wybranemi swojemi, dla dobra, dla szczęścia ukochanych nam istot, dla tego szczęścia które stokroć nam droższe nad własne, takie zewsząd położyła tamy zbyt zuchwałemu naszemu pragnieniu. Wprawdzie gdy rozważałem potęgę uczucia, pytałem czyli ono niezdolne zastąpić korzyści do których pospolicie przywiązujemy wyobrażenie szczęścia na świecie? pytałem czyli miłość prawdziwa, nieuszczęśliwia także? — Ale gdyby i tak było — mówiłem sobie — na cóż się to dziś przydać może? dla mnie już wszystko skończone... a dla niej wschodzi zorza przyszłości do której jest powołaną — dla niej szczęście będzie wszędzie, bo je wszędzie będzie w koło siebie siała hojną ręką! — Pod wpływem jakiejś fatalności przyszedłem na świat, spędziłem dzieciństwo, młodość...... a w końcu poznałem tę która nie dla mnie, choć ona jedna przypaść by mi mogła do duszy! Gdy spojrzę w przeszłość, nie widzę w niej tych nęcących oazów na którychby oko z upodobaniem spocząwszy, choć wspomnieniem zatarło pamięć obecnéj, do-

tkliwéj chwili — dziecię, nieznałem nieoględnych uciech właściwych mojemu wiekowi — umysł wyprzedzając lata obrzydzał mi zabawy które z powinności podzielać musiałem — w szkołach czekały mię inne niesmaki — skłonniejszy z natury do samotnych dumań niż do hucznych i swarliwych zabaw, uczyłem się dużo, bawiłem się mało — u nauczycieli byłem pierwszym u uczniów ostatnim — wyrządzano mi psoty, wymyślano przezwiska — ja za to płaciłem pogardą, a zgubne to uczucie wzmagało we mnie chęć wyniesienia się umysłowego, wzmagało dumę — i przez jednę z tych dziwacznych sprzeczności serca ludzkiego co sprawują, iż się ostateczności mają ku sobie, wzmagało zarazem i dręczącą nieufność w powierzchowne zalety mojéj osoby, i tę tak niewdzięczną, tak upokarzającą nieraz w mężczyznie nieśmiałość. Takie to okoliczności wpłynęły na charakter młodzieńca — a chociaż dojrzalszy rozsądek i głębsza znajomość ludzi zmodyfikowały dużo z razu powzięte wyobrażenia, zostało mi ich dosyć aby walczyć do końca. Jak dzieciństwo tak i młodość przeszła bez tych radośnych zapałów, bez tych szaleństw może wybaczonych, któremi młodzież zwykła obchodzić swoje wyzwolenie. Odziedziczywszy dosyć znaczny majątek, ujrzałem się wprawdzie w możności dogodzenia sobie w nie jednem zachceniu... alem bez zasługi z mojéj strony, pozostał wierny zasadom jakiemi mię od pieluch napoiła nie tylko bogobojna ale roztropna i wyrozumiała, słowem prawdziwie mądra i prawdziwie kochająca Matka — i byłem obwołany dziwakiem, oryginałem, odludkiem, cnotliwym przez pychę, rozsądnym przez miłość własną, sensatem przez chęć odróżnienia się od innych — gdyby wiedziano jaki tam wulkan wrzał w moich piersiach, gdyby wiedziano że aby wzniecić pożar straszliwy dosyć byłoby jednej iskierki elektrycznej, mniejbym zapewne miał niepojmujących mię zgo-

ła podziwiaczów, a więcéj może prawdziwych przyjaciół! — Tak mijały lata, żadnego wyraźnego odbicia, żadnego obrazu niezostawując po sobie w mej duszy— pewien że się podobać niemogę, stroniłem od wszystkiego coby mi się podobać mogło — o mało niestałem się mizantropem — kiedy trafem któremu zawczoraj jeszcze nazwy dać nieumiałem, przybyłem do Topolówki... wszystko co mogła młodość nieroztrwoniona, nierozproszone uczucie, wszystko to zlało się w jedną całość, w jedno życie — poznałem że i ja także mógłbym być szczęśliwym stokroć od najszczęśliwszych — ale wnet ludzie, okoliczności, jakaś wyższa siła, jakaś wyższa wola jak mniemałem, wyorały przepaść pomiędzy mną a rajem co mi się nagle uśmiechnął— gdybym — mówiłem sobie jeszcze — był tak ubogim jak niegdyś mój Ojciec, może gardząc wszelkiemi zawady, ufny tylko w potęgę mego uczucia, odważyłbym się stanąć na równi z najpierwszemi i z najpierwszemi walczyć o pierwszeństwo. — Ale.... nawet ubogim nie jestem! Odtąd na ciemnem mojem niebie dwie jasne gwiazdy tkwić będą — jedną jest anioł o którym że moim będzie marzyłem raz we śnie zuchwałym, a drugą Matka sędziwa, kochana, godna lepszego losu, szczęśliwszego syna — a ty, która się uczuć moich ani domyślasz, żyj szczęśliwa, kochana — kochaj, uszczęśliwiaj na wzajem — to twoje posłannictwo, to twoja anielska missya na ziemi — ja także idę wypełnić przeznaczenie— świat szeroki, życie krótkie — a Bóg sprawiedliwy! — A teraz, powiedz pani sama, czy zapomnieć mogłem?...“

„Ale — dodał po chwili spostrzegłszy zapewne wzruszenie moje — to wszystko było za wczoraj... dziś już bym tego niepowiedział.... nie miałbym już siły wyrzec się ciebie... chybabyś kazała sama, chybaby koniecznie tego trzeba było dla twojego szczęścia“...

Tereniu, całe życie poświęcić na uszczęśliwienie takiego człowieka, to jeszcze za mało! — A jednak widzicie, on nie książe, nie hrabia, a mnie się podobał — i jak jeszcze! — On jest synem ubogiego niegdyś szlachcica, wiem o tém bardzo dobrze i upewniam ciebie, upewniam ciocię kochaną, że żadne mitry i korony świata, ani na włos wartości-by mu w oczach moich nie dodały — ja cenię człowieka, człowieka podług serca mego, gdziem go znalazła — harmonia w uczuciach, w gustach, w wykształceniu, w sposobie myślenia, oto grunt, przy imieniu poczciwém — gdyby ojciec był szalbierzem, niecnotą, złodziejem — a, to co innego! nie mówię żeby to mogło mi być obojętném — żeby majątek jego był źle nabyty... o, niech Pan Bóg broni! Ale wtenczas i syn niemógłby być takim, to darmo — bo jak sobie chcąc: *niedaleko pada jabłko od jabłoni.* Zatém sądząc po jabłku, dobrze tuszę o drzewie i pewną jestem, że ojciec Zygmunta najgodniejszym musiał być człowiekiem. — Ale jakto musiał? — wiem przecie że nim był — wiem że od młodości służył, tak *służył* na dworze ojca pani Wojewodziny, jako zaufany rządca, doradca, przyjaciel, prawie krewny, bo dawniéj nie było wierniejszego przyjaciela nad wiernego sługę — dawniéj słudzy do rodziny należeli! — potém bił się pod Kościuszką i był raniony, potém ożenił się ze śliczną panienką, sierotą, z jakim takim fundusikiem, wychowaną starannie na tym samym dworze — potém, gdy ze śmiercią dobrodziejów rzeczy zaczęły iść inaczéj, nie mogąc już nic doradzić naprzeciw szumiącemu potokowi, usunął się z żalem i o własnym chlebie pracować zaczął — wioseczkę w Krakowskiém już mając po żonie, nadarzyło mu się jeszcze kupno dość znacznych, ale zrujnowanych dóbr gdzieś w głębi Litwy, które przyprowadziwszy ładem i skrzętnością do porządku, syt lat i pracy, szacowany powszechnie, bogobojnie zakoń-

czył życie. Oto jakim był ojciec Zygmunta; a matka jego, o, dla téj to on nie umie dobrać wyrazu; codzień ją odwiedza aby uspokoić, pocieszyć, uszczęśliwić... i wraca punktualnie o naznaczonéj godzinie — oto i teraz go tu niema, pojechał do matki na chwilkę — ona tak kocha swego jedynaka!... i o mało nie straciła go z mojéj przyczyny!... czy mi to wybaczy?... Jakżebym chciała ją poznać!... Gdybym tylko wiedziała że mię pokocha!... gdybym wiedziała także jak się to wszystko skończy!... w pierwszéj chwili nie myślałam o tém... zapomniałam że pani Wojewodzina, a szczególniéj pan Referendarz, znacznie wpłynąć muszą na moje postanowienie, i że bez ich pozwolenia, rozrządzać sobą nie mam prawa... poczciwy, kochany Stanisław, zaraz napisał do pana Referendarza o zdarzonym przypadku — zapewne lada dzień nadjedzie. — O, moja droga, proś Boga, aby rzeczy szczęśliwie poszły, bo teraz już ani pomyśleć mogę, aby się nie stało to, co ze wszech względów stać się powinno — niech tylko pani Wojewodzina wróci do zdrowia.... o nią teraz przedewszystkiém się boję... a już tam potém Bóg dopomoże — nieprawda? — Twoja

Ida N.

P. S. Zapomniałam powiedzieć, że Stanisław, który w dzieciństwie był powierzony troskliwym staraniom pani Zacnowskiéj, zkąd téż i dawna jego zażyłość z Zygmuntem urosła, doprawdy mię rozczula — podobno w dzieciństwie i późniéj nieraz mu dokuczył, a teraz zdaje się, że wszelkiemi środkami usiłuje mu to wynagrodzić — ale naturalnie, zawsze po swojemu — Zygmunt na wszystko pozwala, uśmiecha się i zdaje się ze wszystkiego szczęśliwy — wyobraź sobie co za myśl! nie prosząc o pozwolenie, nie pytając nawet Zygmunta, odrazu przedstawił go księciu i Wojewodzi-

nie, pod wymyśloném jakiemś nazwiskiem, i wymaga koniecznie dochowania sekretu — ta komedya prawdę mówiąc, nam się nie podoba — uważałam, że na to konto Zygmunt trochę drażliwy — ale cóż począć? — opierać się niepodobna — niech się bawi... choćby naszym kosztem — winniśmy więcéj poczciwemu Stanisławowi! — co to za złote serce! — przy ciotce nocami czuwa naprzemianę z Zygmuntem — a jak widzę, nie żartem się téż zajął myślą szczęśliwego doprowadzenia do końca głównéj naszéj sprawy... gdyby to wszystko od cioci kochanéj tylko zależało!... Ma się rozumieć, żem już do niéj napisała o wszystkiém.

XV.

Cóż się tymczasem dzieje z panem Referendarzem?

Oto przeprowadziwszy panią Wojewodzinę o mil kilka od Warszawy, jak to nakazywała głęboka attencya dla czcigodnéj matrony — wrócił był spiesznie do stolicy, gdzie go przytrzymywały naglące interesa. Ważne też nader chyba przyczyny zdołały go skłonić do opuszczenia zręczności serwantowania damom, w długiéj i uciążliwéj podróży. Jakiego rodzaju były te interesa? o to teraz mniejsza; dość że je ukończyć musiał nadspodziewanie szczęśliwie — albowiem wsiadłszy po dwóch tygodniach mozolnego trudu, do swojéj żółtéj karetki którą się puszczał na wieś, wesoło pogwizdywał aryjkę: „Partant pour la Syrie“ — co było oznaką tem większego zadowolenia że ostatniemi czasy zmienił się był

do niepoznania! parę razy sfukał burgrabiego, żądał rachunków staréj klucznicy — a dawni słudzy nieprzyzwyczajeni do takiego porządku, gubili się w domysłach jakaby być mogła przyczyna téj nagłej zmiany pańskiego humoru. Napróżno zręcznie ciągnięto za język starego kamerdynera, pana Berlińskiego — próżno panna Szafrańska zapraszała go wieczorkami na maryasika, próżno stary burgrabia częstował tabaczką — wierny Berliński huczał: „Ze dwudziestu! ze czterdziestu! — bił kralkę tuzem, tuza pamfilem — zatapiał palce w Kościuszkowską tabakierę — ale, noszony ptaszek, nic a nic niewyśpiewał.

W parę godzin po wyjeździe Referendarza, przyniesiono do jego mieszkania list ze spiesznym nadpisem. Nowy powód do ciekawych domysłów i szerokich narad między dwoma starcami.

— Od kogo by to było panie Burgrabio?

— Co tu robić, poradź mi aśćka?

— A czyjaż pieczęć, panie Burgrabio?

— Hę... pani Wojewodziny, moja mościa panno.

— No, to odesłać pod nową kopertą, — panie Burgrabio.

— Masz aśćka racyę, panno Kunegundo.

I stary burgrabia dwa dni rozmyślał, dwa dni robił na wierzch nową kopertę, bo się nieudawała, dwa dni nadpisywał, i dwa dni niósł na pocztę, nim się nareszcie odważył wypuścić pismo z rąk swoich, niczego się niedowiedziawszy.

W taki sposób doniesienie Stanisława o zdarzonym przypadku nieprędko doszło do wiadomości pana Referendarza — z daty zaś listu miarkując, że od chwili w któréj był pisany, zajść musiały wielkie odmiany na tę lub ową stronę, pełen troskliwego niepokoju, wnet puścił się w drogę.

Pod wieczór dnia trzeciego, znajoma nam żółta karetka wjechała nareszcie w bramę pysznowskiego podworca — badawcze oko śledziło z niéj z niepokojem, azali niedostrzeże niezwykłego ruchu po którymby można poznać co słychać w pałacu — w sercu starca ozwała się boleśnie żyłka młodocianego wieku — Wojewodzina w dawnéj krasie stanęła przed jego oczami, a okrutna niepewność rozdarła mu serce, gdy się kareta zatrzymała przed wysokim gankiem.

Podług dawnego zwyczaju punktualny kamerdyner widząc przybywającego, zszedł aż na ostatni stopień, by gościa w dom swéj pani wprowadzić; a zapytany skwapliwie o jéj zdrowie, odpowiedział przecie, że pani Wojewodzina z łaski Najwyższego miała się daleko lepiéj, i że dziś właśnie po raz pierwszy pozwolono jéj wyjść ze swego pokoju.

Biedny Referendarz odetchnął; a płaszcz z pośpiechem zrzuciwszy z ramion i niepoprawiwszy nawet misternéj kokardy u halsztucha, choć się w drodze była zmięła, pospieszył na pokoje. Pani Wojewodzina słaba jeszcze, zmęczona i blada, jakby jéj od razu lat dziesięć przybyło, siedziała w ogromném krześle — przy niéj książę coś jakby trochę kwaśny i znudzony — daléj Jda krzątała się obok herbatniego stolika, przy którym nie dziw że ją po raz pierwszy spotykamy, bo po raz pierwszy o herbatniéj porze mamy zaszczyt być na wsi u pani Wojewodziny — Stanisław jéj pomagał, czy może przeszkadzał w najlepsze — Zygmunt zaś na to wszystko spoglądał z daleka, przerzucając książkę. Pani Wojewodzina zoczywszy sunącego się żwawo ku niéj przyjaciela młodości, wyciągnęła doń rękę zdaleka, wołając:

— Otóż to przyjaźń na świecie! zapomniałeś o nas mój Referendarzu! a o włos niezobaczylibyśmy się aż chyba na Jozafatowéj dolinie!

— Niechciéj assendźka dobrodzika obarczać mię zdesperowanego tak srogiemi wymówkami — odrzekł sta-

rzec drżącym głosem, usta swe pokilkakrotnie przyciskając do drogiéj ręki — Bóg mi świadkiem iż dopiero wracam do życia.

— I ja się też tem samem mogę pochwalić, mój Referendarzu!

— Dzięki niech będą łaskawéj Opatrzności co nam raczyła zachować dni tak nieocenione! Lecz gdzież ten trzpiot Stanisław? gdzie moja kochana wnuczka? gdzie nadewszystko mąż biegły którego staraniom winniśmy dzisiejszą radość naszą?

Tu Jda rzuciła mu się na szyję — a Stanisław pod rękę przywiódł Zygmunta.

— Toście przecie, wszyscy zdrowi i weseli! — A!— zawołał pan Referendarz przecierając oczy — i pana tu znajduję panie Zacnowski — wyśmienicie!

— Zacnowski? — powtórzyła Wojewodzina z zadziwieniem.

— *Diable! je n' y comprends plus rien* — bąknął Włodzimierz i wyszedł do drugiego pokoju.

— Syn poczciwego Zacnosia?... a cóżeś mi tam naplótł panie synowcze?

Stanisław całując kolana ciotki, rzekł do niéj ze wszelkiemi pozorami doskonałéj skruchy:

— Już to raz ostatni!

— Ale i owszem, i owszem — straciłam ich była z oczu i teraz podwójniem rada zdarzeniu co mi nastręcza sposobność odwdzięczenia synowi...

— Za pozwoleniem assendźki dobrodziki — pospieszył wtrącić Referendarz — wcale innego rodzaju obowiązki...

— Panie Referendarzu, proszę Pana... przerwał Zygmunt usiłując przeszkodzić mówiącemu.

— To mój doktor, Referendarzu!... dobry, poczciwy doktor! wyznaję że gdyby nie on.... podobno nie widzielibyście mię tu dzisiaj!

— A ja powiadam jeszcze — zawołał pan Referendarz w upojeniu szczęścia — że gdyby nie on... dzisiaj, w mojéj osobie widzielibyście przed sobą... bankruta....

— Bankruta! — krzyknęła Wojewodzina.

— Wielki Boże! — pomyślała Jda, nierozumiejąc jeszcze co to wszystko znaczy, ale domyślając się czegoś.

— Tak jest... on mię ratował... on siwiznę moją od hańby ochronił... zawierzył mi, gdy inni tylko szarpać chcieli... a teraz jeszcze...

Zygmunt widocznie nie rad téj scenie usiłował położyć jéj koniec — w czem dopomagając mu Stanisław, odprowadził Referendarza na stronę i szepnął mu ze znaczącym uśmiechem:

— Gdybyś pan dobrodziéj mego przyjaciela chciał mieć na zawsze dłużnikiem, jest jeden sposób, najprostszy i najłatwiejszy, a który nam zrazu nie przyszedł do głowy.

Tu się i Zygmunt zbliżył do okna przy którem stanęli i po krótkiéj konferencyi nastąpiły serdeczne uściski — Wojewodzina pewną była że rzecz się toczy o interesach — ale Włodzimierz z drugiego pokoju lepiéj wszystko rozumiał — Biedna Jda stojąc za krzesłem swéj opiekunki, podobna była w tej chwili do marmurowego posągu. Nareszcie Referendarz, Zygmunt i Stanisław, postąpili ku damom — a ostatni zawołał ze zwykłą swoją żywością:

— A więc kochany Referendarzu, wyrzekłeś słowo: zezwalam!

— Ale z całego serca! jeżli tylko moja wnuczka chce jeżli ona życzy, ja nic a nic niemam przeciw temu.

— Ale cóż to jest? o cóż tu chodzi? — dopytywała Wojewodzina.

Jda objęła jéj kolana a pan Referendarz przemówił.

— Pan Zygmunt Zacnowski prosi o rękę... chciéj zatem assendźka dobrodzika łaskawie raczyć...

— A cóż to do mnie należy? — sucho i zimno przerwała dumna matrona.

— Droga ciociu — szepnął błagalnie Stanisław — nie wzbraniaj się proszę.

— Ale ja niemam żadnego prawa w to się mięszać! jestem twoją ciotką a nie panny Jdy, ani pana Zacnowskiego — a ponieważ nie pytano mię dotąd...

— Chciéj się assendźka dobrodzika łaskawie zastanowić — wtrącił mocno zafrasowany Referendarz — że to dziecię... nieumiało sobie doradzić...

— Ja to winien jestem wszystkiemu, — przemówił Zygmunt ze skromną godnością i powagą — bom dotąd pani Wojewodziny turbować takiemi rzeczami nie pozwolił....

— Widzisz assendźka Dobrodzika!... a przeto w dniu tak radosnym niechciéj nas dłużéj dręczyć niepewnością.

I Referendarz schylił się do pocałowania ręki Wojewodziny, która nareszcie zmiękczona błagalnym wzrokiem starego przyjaciela, wyrzekła:

— A! kiedy tak... ponieważ dziad pozwala... jakże ja mogłabym bronić? — Róbcie już sobie co chcecie — niech się dzieje wola Boża!

— Wiwat! nasza wygrana! — zawołał poczciwy Stanisław — a teraz moje dziatki, niechże was Bóg błogosławi!

I z komicznością którą usiłował pokryć własne rozrzewnienie, a może jeszcze i resztki czegoś więcéj... wzniósł obie ręce ponad głowy uszczęśliwionéj pary.— W tem do Zygmunta przystąpił książe Włodzimierz.

— Jeśli się nie mylę, — miło będzie panu odzyskać rzecz którąś zapewne miał za straconą; wdzięczen też jestem wybornéj myśli przybranego nazwiska, któréj

winienem sposobność wyrządzenia panu téj małéj przysługi w chwili tak drogiéj dla jego serca.

To mówiąc wręczył Zygmuntowi znaleziony pugilares.

— W saméj rzeczy moja to własność — lecz niepojmuję jakim sposobem...

— Takim właśnie zapewne jakim ją zgubiono — nic prostszego; rozumiemy się teraz.

— Cha, cha, cha! szalenieś się wplątał mój książe— zawołał Słanisław trzymając się za boki — bowiem ów nieszczęsny pugilares, znikł był w towarzystwie mego najlepszego płaszcza i najgorszego famulusa!

— *A propos* — wtrącił pan Referendarz w samą porę przywożę ci zbiega kochany Stanisławie, owego wielkiego nicpotem Jana, którego u mnie na włóczęgostwie zdybano — niezawadzi jegomości porządnie wytrzeć kapitułę — ślicznych mi wyśpiewał rzeczy! — A zwracając się do Wojewodziny: Między nami mówiąc, trzebaby odprawić pannę Johannę — te miastowe sługi to nic do rzeczy!

Książe Włodzimierz zbity z tonu, kwaśnym był przez resztę wieczoru i źle odpowiadał na wszystkie koncepta któremi Stanisław na waletę ubawić go usiłował — Referendarz nie odstępował Wojewodziny, która otoczona czułą troskliwością dawnego przyjaciela, powoli zupełnie się udobruchała.

Narzeczeni zaś, jak zwykle narzeczeni, o Bożym świecie zdając się zapominać, najwięcéj rozmawiali z sobą. W jednéj z tych pogadanek, na oddanie których z całym ich straconym dla słuchaczy urokiem kusić się wcale nie myślimy, zapytała Jda Zygmunta z figlarnym uśmiechem, czy i dzisiejszy wypadek przypisywał fatalności co to go niby ściga od urodzenia? — Zygmunt się uśmiechnął:

— Będziemy się kłócili? — powiedział.

— Całe życie!

— Otóż i skutki fatalności!

— Jedna rzecz jednak mię frasuje — odrzekła Jda po chwili milczenia.

— I cóż by to takiego naprzykład?

— Oto... że niejesteś ubogim!

— Co za myśl dziecinna!

— O, tak; powiedziałabym wtenczas; masz głowę, ja mam ręce — pracujmy; niema smaczniejszego chleba nad ten cośmy winni własnéj, uczciwéj pracy.

Zygmunt ocenił całą delikatność słów tych płynących z serca — uczucie nieokreślonego szczęścia wzrok jego rozpromieniło.

— Dzięki Niebu i pamięci mego czcigodnego Ojca— odrzekł biorąc w ręce swoje rączkę narzeczonéj — możemy korzystać w pełni z owoców takiéj pracy, nie będąc narażeni na smutne nieraz a zawsze mozolne jéj koleje — pamiętajmy tylko cośmy komu winni i.... bądźmy szczęśliwi.

— Zawsze, zawsze! — zawołała Ida w pelni przekonania.

Nazajutrz rano książe Włodzimierz, nieczekając dłużéj na pana Franciszka, pożegnał Wojewodzinę i ruszył do Karlsbadu, gdzie mu wkrótce cała przygoda wyparowała z pamięci. Wojewodzina się ułaskawiła; a choć przy zdarzeniu niezapomniała wtrącić że świat dzisiejszy przewrócony do góry nogami, polubiła Zygmunta, a nawet oświadczyła się z chęcią przypomnienia się pamięci pani Zacnowskiéj. — Zapyta kto może, jakim sposobem dwie te kobiety z dawien dawna sobie nie obce, które wspomnienie przeszłości ściśle łączyć było powinno, sąsiadując o milę, od tylu lat nie wiedziały o sobie? Na to odpowiemy, że pani Wojewodzina nie co rok do Pysznowa przyjeżdżała, a i matka Zygmunta najczęściéj w Litwie przesiadywała — rozmijały się zatém od

lat kilkunastu i więcéj — czyż tak nie bywa na świecie nieraz z najbliższemi? — W tym roku jednak pani Zacnowska niezawodnieby się wybrała do Pysznowa gdyby wypadki ją niepowstrzymały — skoro więc tylko otrzymała uprzejme zaprosiny Wojewodziny, pośpieszyła ją odwiedzić. Jda zarumieniona wybiegła na jéj spotkanie, a szanowna niewiasta ze łzami w oczach powitała przyszłą synowę, którą gdy raz przycisnęła do serca, już ani na chwilę o szczęściu Zygmunta nie wątpiła.

Doczekawszy się zupełnego ozdrowienia pani Wojewodziny, Jda z panem Referendarzem w owéj żółtéj karetce która ją do Warszawy wywiozła, wróciła do Topolówki, dokąd rychło za nimi pospieszył uszczęśliwiony Zygmunt. — A Stanisław?...poczciwy Stanisław! na weselu być i pannę młodą do ołtarza prowadzić najsolenniéj obiecał... i zapewne dotrzymał słowa.

Maryan Dobrowolski.

DO MOJEGO GRAJKA.

Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży,
I basista nie najgorzéj;
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im pan Bóg błogosławi.

Miły Janek dobra dusza
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju
Gdy wędruje po swym kraju.

Za nutami — jedna, druga
Ta kruciuchna, a ta długa,
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianożęci...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek, na tę stronę.
Przepióreczka pomkła w proso,
Śpiewa dziewcze z jasną kosą,
Bo to dziewcze pozna żywo
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo.
Zabłąkane nuty chwyta,
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia za kłopoty...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

A zawracaj od komina
Czapka na bok, ostra mina,
Z przewieszoną tedy połą
Pomaluchno ano w koło,
Potem rażno na odsibkę,
Bodajże cię za tę skrzypkę...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby w koło,

Za drugimi, za gromadą,
Maciéj sąsiad za sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem;
Za płotami jako mogą
Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą źrebce
Dziecko śmieje się w kolebce,
Kędy spojrzeć radość wszędy,
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na drągu na wysokim,
Przygląda się jedném okiem.

Stara wierzba głową chwieje
Niewiedząca co się dzieje,
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża.
Wszyscy skaczą jak najęci,
Aż tak sobie mówią święci:
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Zmarnowana bieda z nędzą
Jak szalone ze wsi pędzą.
Po lipowym starym moście
Na wesele jadą goście.
Jedzie matka dobra wola,
Aż się złocą od niéj pola.
Suknia na niéj jak na pani
Złotem tkana, przewabiana.

Na przyjęcie siostra cnota
Otworzyła stare wrota,
Pokłoniły jéj się pługi,
Stary żóraw też jak długi.
Potem z izby buchła para,
Zaśmiała się szczęsna wiara:
Bywaj z nami z wieśniakami
Stara matko bywaj z nami!
A któż w świecie was ugości
Jeśli nie my ludzie prości?

Teraz grajku miły Janku,
Mokre piwo w starym dzbanku,
Zagrajcie nam tego co to,
Co to wiecie, a z ochotą
Tak okrutnie żeby cała
Nasza ziemia usłyszała,
Tak już przez moc wszelką siłą,
Żeby raz już dobrze było!. . .

Od Warszawy do Krakowa
Już nam się złe nieuchowa,
Od Krakowa do Górali
Od Górali jeszcze daléj. . .

Danaż moja dana, dana,
Od wieczora aż do rana.
Grajże grajku bo daremno,
A ty Baśko kręć się zemną.
Jak się Mazur puści szczerze,
Niech się świat za głowę bierze,

Jak się Mazur rozochoci
Co na drodze to wygrzmoci.

Zagrajcie mi grajku proszę
Wysypię ci w skrzynkę grosze,
Więc i dziewcze szczere licho
Podśpiewuje jeszcze cicho:
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Biały ranek gwiazdy gasi,
Pospali się ludzie nasi.
Po weselu cicho wszędy.
Tylko kogut zfrunął z grzędy,
I na śpiących snem głębokim
Przygląda się jedném okiem.

Teofil Lenartowicz.

PRZYJACIELE ARTYŚCI.

Komedya oryginalna w 2ch aktach

napisana

w miesiącu Lutym 1858 r.

przez

B. SZELUTĘ.

OSOBY:

HRABINA wdowa.
ANIELA jéj córka.
PAN ANTONI) artyści.
WŁADYSŁAW)
PIERWSZY) młodzież
DRUGI) zwiedzająca
TRZECI) Tatry.
WŁOCH faktor.
BASTIANO) rybacy
PIETRO) Weneccy.
SOBEK) górale.
JĘDREK)
KOZIARZ, stary góral.
Goralki dziewczęta.
Lokaj hrabiny.

Rzecz dzieje się w akcie 1szym w Wenecyi, w akcie 2gim, w dwa miesiące po pierwszym, w Tatrach.

BR. S. [591]-[592]

Dobry wieczór Władysławie!

PRZYJACIELE ARTYŚCI

AKT I.

SCENA I.

Rzecz dzieje się w Wenecyi. Wnętrze chaty rybaka.

WŁADYSŁAW (*sam, składając paletę i pędzle*).

Nie! — to już nad moje siły: — obraz jéj tak wszędzie mię ściga że mi się zdaje, iż przenosząc jéj rysy, patrzę na nią; a jednak niemogę wydać tego niebieskiego wdzięku, téj anielskiéj duszy, téj spokojności, jakich mi się razem w jednéj osobie widzieć nie zdarzyło. — Jakże się upokorzonym czuję! — Ha! — próżne usiłowanie; chcieć w dzieło sztuki wlać cały urok przedmiotu, jest to chcieć naśladować Stwórcę, jest to zuchwałą i nierozsądną chęcią. (*słyszy nucącego Antoniego*). Ach to Antoni! (*zdejmuje obraz ze sztafeli i chowa go do szuflady stolika, a na miejsce jego stawia inny*) — mój przyjaciel! — a jednak nie mam odwagi wyjawić mu, czem myśl moja cała zajęta.

SCENA II.

WŁADYSŁAW I PAN ANTONI,

PAN ANTONI.

Dobry wieczór Władysławie!

38

WŁADYSŁAW.

Dobry wieczór Antosiu! cóż cię sprowadza do mnie o niezwykłéj godzinie? —

PAN ANTONI.

Czy moja obecność jest ci w czém na przeszkodzie?

WŁADYSŁAW.

Nie, wcale; — wszak wiesz że między nami nie ma żenady; możemy sobie rozmawiać, a ja będę kończył moje malowanie; zresztą i wieczór się zbliża.

PAN ANTONI.

Ależ jesteś widzę jakiś pomięszany, coś ci brakuje możeś od wuja złą wiadomość odebrał.

WŁADYSŁAW.

Przeciwnie, żadnéj dawno już nie miałem.

PAN ANTONI.

Może ci się sakiewka wypróżniła, — no! powiedzże przecie, wszakże chętnie zawsze dzieliłem się z memi przyjaciołmi, czém tylko mogłem, a tém bardziéj tobie niczegobym nie odmówił.

WŁADYSŁAW. (*wzdychając ściska go za rękę*)

Dziękuję ci, znam twoją dla mnie życzliwość, ale nie jestem jeszcze w potrzebie: oto, myślę porzucić. .

PAN ANTONI (*przerywając*).

Wenecyą?

WŁADYSŁAW.

Nie — myślę porzucić widoki, a wziąść się do portretów, — tamto niewdzięczna praca, dla paniczów zabawa, i widzę, że chleba z niéj jeść nie będę: zresztą, jakoś mi to nie idzie, zdaje mi się nawet, że wstecz idę, i ciebie nie doścignę.

PAN ANTONI.

Żartuj sobie, kochany Władysławie! (*wpatruje się w jego pejzaż*), jeżeli moje pejzaże mają jaką wartość, to winienem tobie (*wpatruje się znowu w pejzaż*) — ależ bo musiałeś teraz coś innego malować (*dotyka palcem obrazu*), zaschłe, a paleta w ręku? — oho! braciszku! kryjesz się przedemną, to się nie godzi (*szuka w około*) — no! pokażże mi przecie coś dzisiaj malował; — pewnie szkicę jakiéj kompozycyi: przy twoim szczęśliwym talencie, wszystko ci się udać powinno, wszak portrety twego pędzla powszechnie się podobają, widoki malujesz jak Marko, czemużbyś nie miał przedsięwziąć utworów własnego pomysłu? — Artysta z takiem jak ty uzdolnieniem, z taką łatwością władania pędzlem, nie powinien rzucać żadnego rodzaju malowania, choćby nawet jeden z nich za główny sobie obrał; bo wszystkie inne przychodzą mu w pomoc. — Ja sam byłem dawniéj innego zdania, napojony fałszywemi zasadami mego nauczyciela, który same tylko głowy malował jako tako...

WŁADYSŁAW (*przerywając*).

A gdy sobie kto życzył mieć portret z rękami, ubierał je w rękawiczki, przekonywając wymownie, że osoby dystyngwowane, nigdy z gołemi rękami malować się nie powinny.

PAN ANTONI.

O pejzażach twierdził, że są daremną chęcią naśladowania natury: niechże kto, mówił, odmaluje drzewo w czasie wichru, kiedy gałęziami jego chwieje na wszystkie strony; — niech wyda w obrazie ruch skrzydeł lecącego orła, lub fałisty ruch jeziora i srebrzysty połysk pluskającéj się ryby; przecież to, mawiał, nikomu się dotąd nie udało, jakimże więc sposobem widok do jakiéjbądź doskonałości da się doprowadzić? — czy będziesz malował jeźdźca stojącego w miejscu, czy skałę nieruchomą? lub krowy i pasterza śpiącego na trawie? wartoż talent swój poniżać do tego stopnia, aby malować liche zwierzęta i chcieć przedstawiać nieruchomą naturę, która jednéj chwili nie spoczywa? — tak mawiał mój szanowny nauczyciel, i dla tego téż...

WŁADYSŁAW (*przerywając*).

I dla tego dawał uczniom do malowania przedmioty nieruchome, kartofle, kawałek zmiętéj bibuły, kurze jajo w siedmiu pozycyach, jakeś mi to nieraz opowiadał, a uczniom kończącym naukę pod jego przewodnictwem, dawał płatek aksamitu dla wprawy w wydaniu draperyi.

PAN ANTONI.

Albo nos z gipsu odlany któregoś z greckich filozofów, wprzód zaś przez kilka godzin czytał historyą życia tego sławnego człowieka, co takim sławnym szczycił się nosem: dziś poznaję, że mój wielki mistrz był oszustem i zabójcą młodych talentów, a przy twojéj pomocy więcéj się przez rok nauczyłem, niż u niego przez cztery lata zmarnowane na niczem. Ale dajmy już temu pokój. (*spogląda w około*). No powiedzże mi Władysławie, gdzieś schował swieże malowanie?

WŁADYSŁAW.

Ja... (*zająkując się*) ja rzeczywiście dopiero się zabierałem do roboty, właśnie kiedyś nadszedł.

PAN ANTONI.

Nie wykręcisz mi się przyjącielu, — pozwolisz? — to ja znajdę.

WŁADYSŁAW.

Ha! szukaj kiedy mi wierzyć nie chcesz.

PAN ANTONI (*wyciągając szufladę*).

A toż co łaskawco? widzisz, jaki mam węch artystyczny, — jakiś tajemniczy portrecik, — co widzę! — to Panna Aniela, ach, jakież cudowne podobieństwo (*kiwa głową*) — otoż szczerość przyjacielska, — czemuż z tem kryłeś się przedemną?

WŁADYSŁAW (*ściskając go za rękę*).

Przebacz Antosiu! — ja sam nie wiem, dla czegom to robił, — oto najprzód niewiedziałem że ci znaną jest Aniela, — bo ja sam jéj nieznam — (*z pomięszaniem*) zresztą nie udał mi się ten portret, nie warto było pokazywać ci dzieło, które życzeń moich nie zaspakaja.

PAN ANTONI.

Bluźnisz przyjacielu, obraz jéj tak ci się udał szczęśliwie, że fotografia nie wydałaby lepiéj rysów tėj ślicznéj dziewczyny, a o karnacyi, draperyi itd. nie ma co mówić, bo te są na twoje zawołanie. Więc bywasz u hrabiny, tak blisko mego mieszkania, — a przeszło już tydzień upłynął, jak nie raczyłeś odwiedzić przyjaciela.

WŁADYSŁAW.

Wierz mi Antosiu, szczerze ci powiadam, że nie znam ani Hrabiny, ani jéj córki (*wzdycha*) — ot tak sobie z pamięci nakreśliłem te rysy, jako studium, które może mi być przydatne za model na madonnę.

PAN ANTONI (*śmiejąc się*).

Cha! cha! cha! otóż tajemnicę odkryłem; kto tak wybornie maluje z pamięci rysy ładnéj dziewczyny, ten ma jéj dagerotyp w sercu: — a więc pan Władysław zakochany po uszy; — ależ powiedz mi jakim się to stać mogło sposobem, gdzie ją poznałeś,? spodziewam się, że teraz już się z tem dłużéj nie będziesz ukrywał przedemną.

WŁADYSŁAW.

Przebacz mi kochany Antosiu,— obawiałem się, abyś mnie nie uznał za waryata, że się zająłem nieznajomą, piękną i zamożnych rodziców córką, z którą nigdy słowa nie mówiłem; — ja, ktorego cała przyszłość w pracy, na tak niewdzięcznéj drodze, jaką sobie obrałem.— Już blisko miesiąc ubiega, jak Aniela każdego wieczora pogodnego wysiada z matką swoją z gondoły, przed dom rybaka naprzeciw mojego okna, siadają potem na jego barkę i płyną na brzegi morza: zapewne to przepisana kuracya dla matki, na któréj widać ślady długiéj słabości. Od pierwszéj chwili zobaczenia Anieli, wzięła mnie chęć schwycenia jéj rysów, bez żadnego innego celu, prócz tego jaki ci wymieniłem,— po kilku dniach stało się to koniecznością, a im więcéj wpatrywałem się w jéj piękne oblicze, ani razu od niéj niepostrzeżony, tem więcéj znajdowałem niedokładności w jéj portrecie; i zdawało mi się, że go nigdy wykończyć nie zdołam, — ja sam nie wiem ale być może, że

to był miłości początek,— teraz, dzięki tobie, uspokojony iestem zupełnie, kiedy w moim obrazku znajdujesz dostateczne podobieństwo.

PAN ANTONI.

A więc to jest powodem, że chcesz zmienić pejzaże na portrety; — bardzo silny powód; bo jeśli patrzysz na widok nadmorski, a widzisz zamiast niego taki ładny modelik, któżby nie zrobił chętnie tak powabnéj zamiany? — Dalibóg dobry masz gust, ja sam, szczerze ci mówię, nie znam milszéj osoby, — i gdyby nie to, że moja narzeczona rok jeszcze tylko ma czekać na mnie, porzuciłbym peizaż, a wziąłbym się do tego modelu. Ale trzeba ci było otwarcie ze mną pomówić, byłbym cię wprowadził w dom Hrabiny, i niełapałbyś tego dorywkami, co wygodniéj i prędzéj w jéj mieszkaniu mogłeś dokonać. Jestem nawet przekonany, że podobałbyś się Anieli, a uwolniłbyś ją od nudnego Anglika, który codzień przychodzi dręczyć ją swemi tandresami.

WŁADYSŁAW.

Wdzięczny ci jestem za twą życzliwość dla mnie kochany Antosiu! — lecz ani wprzód, ani teraz nie mógłbym z niéj korzystać, — inne jest moje od twego położenie, dla ciebie sztuka będzie tylko rozrywką, dla mnie ma stanowić przyszłość całą, — daleki przedział między mną, a hrabianką, tem bardziéj że już ma partyę o któréj wspomniałeś.

PAN ANTONI.

Nie pojmuję cię Władysławie! — uważałem to, że od niejakiego czasu dziwaczeć zacząłeś; wiem teraz dla czego, ale przecież o prawdziwym twoim przyjacielu zapominać nie należało, — wiem, że w dzień zajęty jesteś

ulubioną pracą, ależ wieczorem co robisz, że ani mnie odwiedzisz, ani ja ciebie zastać nie mogę.

WŁADYSŁAW.

Kiedy już zniewoliłeś mnie do wyjawienia ci mojej tajemnicy, muszę ci i resztę powiedzieć. Oto nająłem czółno od sąsiada, i przebrany za rybaka, pływam w okolicy, gdzie moja nieznajoma zwykle po morzu przejażdżki używa; — widzę ją choć zdaleka, śpiewam sobie barkarole, i mam tę miłą za to nagrodę, że ona ciągle ku mojéj łodzi zwrócone ma oczy; — zapewne moje śpiewanie miłem jest dla jéj ucha.

PAN ANTONI.

Kiedy tak, to cię żegnam na dzisiaj, bo i wieczór się zbliża, a niechcę ci być na przeszkodzie w tak zajmującéj zabawie.

WŁADYSŁAW.

Do zobaczenia się, ale daj mi słowo, że tajemnica moja z ust twoich nie wyjdzie.

PAN ANTONI (*wychodząc*).

O! nie wątpij o tem, uważaj mnie za głębokie morze, z którego tak ważne zwierzenie się nie łatwo wypłynie.

WŁADYSŁAW.

Do zobaczenia się Antosiu!

PAN ANTONI.

Do zobaczenia. (*odszedł*).

SCENA III.

WŁADYSŁAW. — PIETRO i BASTIANO. (*za oknem*)

WŁADYSŁAW (*składa paletę i robi porządek w swych sprzętach malarskich*). Co za przenikliwość. — wydarł skrytości serca, — nic przed nim utaić nie umiem, — ha! stało się. — Teraz zmieńmy suknie (*zdejmuje bluzę, a bierze odzież rybaka*).

PIETRO (*za oknem*).

Bastiano! Bastiano! chodź jeno bliżéj, — pojedziemy na wielką rybę, — patrzaj (*brząka złotem*) pięćdziesiąt cekinów dla ciebie, a jeżeli się dobrze sprawisz, drugie tyle odbierzesz na miejscu.

BASTIANO (*za oknem*).

Corpo di Baccho! czy nie masz zamiaru utopić kogo za tyle złota?

PIETRO (*za oknem*).

Cicho! — krótko ci rzecz objaśnię, bo czas się zbliża do roboty. Oto stara jakaś Signora najęła mnie na dzisiejszy wieczór do przejażdżki po morzu, z córką czy tam jakąś dziewczyną; bo ta contessa, co ją zwykle wożę, dała mi znać, że słaba i dziś nie pojedzie.

WŁADYSŁAW.

O łotry! coś knują niegodziwego (*nadsłuchuje bliżéj okna*).

BASTIANO (*za oknem*).

Ha! to dobrze, ale cóż mnie do tego, że ty będziesz sobie pływał ze starą i młodą?

PIETRO (*za oknem*).

Pozwólże mi dokończyć — ja popłynę z niemi wolno, aby się dobrze przymierzchło, popłynę ku forte della punta, a ty krąż sobie z siecią nie daleko od nas: — ja wtedy powiem, że jeżeli nie zechcą późno bardzo wrócić do domu, muszą się przesiąść na lżejszą łódkę, zawołam cię po imieniu, — ty się zbliżysz, ja zażądam twojéj łodzi, a gdy młodsza wsiądzie do niej, nie czekaj dłużéj i zmykaj ku porto secco, — tam zastaniesz statek z czerwoną banderą, oddasz twoją rybę, a odebrawszy drugie pięćdziesiąt cekinów, wrócisz sobie do domu. A co? — wszak to będzie nie zły połów.

BASTIANO (*za oknem*).

Zapewne, śliczny to zarobek, — tylko niebezpieczny, — jakby się też wydało, żem ja mimo jéj woli, zawiózł ją gdzieś w cudze ręce?

PIETRO (*za oknem*).

O somaro! jak się ma wydać, kiedy ona sama chce tego, aby ją wykradziono.

BASTIANO (*za oknem*)

Rozumiem — to co innego, więc się przygotuję, zaraz do téj sprawy.

WŁADYSŁAW (*kiwając ręką przez okno*)

Bastiano! Bastiano.

BASTIANO.

Co signor żąda? (*zbliża się do okna*).

WŁADYSŁAW.

Wejdź jeno do mnie, mam ci kilka słów powiedzieć (*do siebie*) to coś podejrzanego, gdyby chętnie wykraść

się pozwalała, nie płaconoby tak chojnie rybakom za jéj odwiezienie; ktokolwiek jest ta nieszczęśliwa ofiara, muszę ją ratować.

SCENA IV.

WŁADYSŁAW i BASTIANO.

BASTIANO (*wchodząc*).

Dobry wieczór signore!

WŁADYSŁAW.

Dobry wieczór, — oto chciałem ci powiedzieć, że zamówiłem Pietra, aby z dwiema kobietami popłynął ku forte della punta odebrał za to sowite wynagrodzenie, i dla siebie i dla ciebie, bo chciałem, żebyś mu był pomocnym, — ale rozważyłem, że ta wyprawa może ci się nie uda, — dasz mi więc swojéj łodzi, i ja sam w miejsce twoje popłynę, — złoto któreś odebrał niech zostanie przy tobie, a gdy powrócę dostaniesz w dodatku ten obrazek Madonny, który ci się tak podobał. — (*patrzy w okno*). Ach! Pietro odpływa już ze swemi paniami, — więc dasz mi swojéj łodzi?

BASTIANO.

Bravo signore, płyńcie kiedy wam się tak podoba i kiedy wiecie o wszystkiem.

(*Władysław wychodzi*).

BASTIANO (*wychodząc za nim*).

Cekiny i obraz będą moje bez pracy, dobry zarobek za pożyczenie łodzi, i na nic nie jestem narażony. — (*wychodzi*).

SCENA V.

(*w mieszkaniu Hrabiny*).

HRABINA I PAN ANTONI, (*siedzą przy stoliku*).

P. ANTONI.

Pani zapewne do końca maja zabawi we Włoszech.

HRABINA.

To będzie zależało od powodzenia lorda w pozyskaniu serca mojej córki; — w prawdzie dotąd bardzo mu się to trudnem wydaje; lecz jestem przekonaną, że to nie za długo nastąpi. Uważam bowiem od kilku dni, że Aniela spokojniej przyjmuje jego uprzejme oświadczenia, że nawet z zajęciem słucha jego śpiewu przy fortepianie; zresztą nie widzę powodu, dla czego nie miałby się podobać mej córce; — człowiek jeszcze nie stary, pan ogromnego majątku, a do tego lord, członek arystokracyi angielskiej. Coby to było za szczęście dla mnie, widzieć moją Anielkę jego żoną, jakżeby zazdrosnem okiem spoglądały sąsiadki, gdyby się nowożeńcy w całéj świetności odpowiedniej stanowi, pokazali w naszéj okolicy. Wiesz Panie Antoni, że to jest szczęście, o którem po całych dniach marzę.

PAN ANTONI.

Darujesz mi Hrabina, że ja wcale nie podzielam zdania Pani, anibym śmiał nazywać to szczęściem, co może córkę Pani zrobić nieszczęśliwą na całe życie, Anglik nudzi ją do rozpaczy, sama nie raz się na to żaliła przedemną — jeżeli czasem śpiew jego pochwali, to tylko przez grzeczność, bo on téż pieje nielitościwie,

a panna Aniela ma bardzo muzykalne ucho, — ileż to razy słuchała z całem zajęciem prostej barkaroli płynącéj z serca śpiewaka, — a lord jednego taktu bez nót nie powtórzy, śpiewa bez czucia, jak uliczna katarynka, — zresztą kto tam o jego lordostwie świadczyć będzie? może jaki awanturnik, może nawet żonaty. Przebacz Hrabina memu niedowierzaniu, lecz jabym za wielkie ryzyko uważał, narażać Pannę Anielę na wchodzenie w bliższe stosunki z człowiekiem, tak mało Pani znanym.

HRABINA.

Panie Antoni! prawdziwie gniewaćbym się musiała na Pana, gdyby to słyszała moja córka: jesteś przyjacielem naszego domu, dla tego spodziewałam się raczéj, że mnie będziesz popierał w mojem przedsięwzięciu, a Pan wszystko mi naganiasz i rzucasz myśli, któreby lorda i mnie obrazić mogły, gdybym nie była przekonaną, że to, z jego dla nas życzliwości pochodzi. Przestańmy więc trwożyć się bez powodu, a wracając do wzmianki którąś Pan zrobił o dalszym naszym pobycie w Wenecyi, takie są moje plany: najprzód nie wyiedziemy ztąd wprzódy, nim się Aniela stanowczo na oddanie lordowi swéj ręki, nie zdecyduje; — potem, korzystając już z uwagi pańskiej, możeby należało zrobić na kilka tygodni podróż do Londynu, dla poznania bliżéj familijnych i majątkowych stosunków lorda, — spodziewam się, że Pan nie odmówisz nam swego towarzyszenia w téj podróży; — w powrocie przez Paryż porobię potrzebne sprawunki do zaślubin Anielki, — a i Panu zapewne dogodną będzie ta sposobność, dla nabycia upominków dla swéj narzeczonej, — w Paryżu krótko zabawimy, a potem już się nigdzie nie zatrzymując wrócimy do siebie dla porobienia przygotowań, aby godnie przyjąć mego przyszłego zięcia. — Ach Pa-

nie Antoni, widzę już, jak matki całej okolicy winszować mi będą tego szczęścia, — a więc zgoda na mój planik? zgoda?

PAN ANTONI.

Prawdziwie w przykrem stawiasz mnie Pani Hrabina położeniu, — odmówić byłoby trudno, chociaż to zniweczyłoby moje własne plany; rok bowiem jeszcze zamierzyłem bawić za granicą, a właściwie we Włoszech;— mam nawet obowiązek przyjaźni pozostać tu dłużéj dla mego kollegi artysty, któremu bardzo wiele mam do zawdzięczenia, a który więcej niż kiedykolwiek potrzebuje przyjaznego serca. — Zatem gotów jestem towarzyszyć Paniom w zamierzonéj podróży, zawsze jednak pod warunkiem, że to wtedy nastąpi, gdy Panna Aniela zdecyduje się na oddanie lordowi swéj ręki (*na stronie*) z czego nic nie będzie.

HRABINA.

Przyjmuję chętnie ten warunek, a mam słowo Pana. Ale co to jest (*patrzy na zégarek*), że lord nie przychodzi, nigdy jednej minuty nie chybił, teraz już godzina upływa, a jego nie widzimy.

PAN ANTONI.

Ależ i Panna Aniela za długo bawi. (*słychać kogoś mówiącego w przedpokoju, Hrabina dzwoni, lokaj wchodzi*).

SCENA VI.

CIŻ I LOKAJ.

HRABINA.

Kto tam przyszedł?

LOKAJ.

Nikt proszę Jaśnie Pani.

HRABINA.

Jakże nikt, przecież słyszałam kogoś mówiącego.

LOKAJ.

To ten stary faktor Pana Anglika, pytał mnie, czy tu jest Pan Anglik, a jakiś był pomięszany.

HRABINA.

Poproś go tu do nas. (*Lokaj wychodzi*) Dla Boga, może jaki wypadek.

SCENA VII

HRABINA, PAN ANTONI, WŁOCH.

HRABINA.

Cóż to, Waćpan szukasz tu Lorda! czy masz mu co pilnego powiedzieć; cóż za nagląca potrzeba, że Waćpan tu przychodzisz pytać się o niego.

WŁOCH.

Umilissimo servo! ja nie mam żaden interes do lorda, ja tylko byłem ciekawy, czy tu go nie znajdę, bo wiem że o tej godzinie bywa u Signora Contessa, — a jak tu go nie ma, to go nie ma w całéj Wenecyi.

HRABINA (*przerażona*).

Co Waćpan mówisz?

WŁOCH.

Ja mówię, że go nie ma w całem mieście, bo apar-

tamenta które on zajmował, są próżne, to on pewno wyjechał.

HRABINA.

To być nie może, wczoraj nic nam nie mówił, że ma zamiar wyjechać, zresztą byłby się przecie pożegnał z nami.

WŁOCH.

On mnie także nic o tem nie mówił, a posłał mnie dziś do tego rybaka Pietra, co Signora Contessa i młoda Pani pływa na jego barce, i kazał mu powiedzieć, że Signora dziś nie będzie pływać, i kazał rybakowi przyjść do siebie. Rybak był, i dostał dużo cekinów, i mówił, że dziś wieczorem będzie pływać z inszemi dwiema Signorami: ja byłem ciekawy zobaczyć, co to za signory i chodziłem około domu tego rybaka i widziałem, że to była stara Markita, co tu chodzi do Signora Contessa, a druga signora ja nie mógł poznać, bo była zakryta woalem.

PAN ANTONI.

Wszakże Pani pozwoliłaś Pannie Anieli na przejażdżkę z Markitą?

HRABINA.

Tak jest, — lecz powinny były już powrócić.

PAN ANTONI.

Jednakże dziwna rzecz, dla czego rybak tak sowicie za tę przejażdżkę był wynagrodzony, — gdzie się lord przeniósł? — miałożby w tém być coś awanturniczego?

HRABINA.

Ach! Panie Antoni, nie rzucaj trwożliwych podejrzeń;

ja pewną jestem, że razem powrócą (*wygląda oknem*), — zapewne Lord chciał jaką niespodzianką zabawić Anielę, może jaka muzyka, fajerwerki, — Jestem przekonana, że wszelka obawa byłaby bezzasadną.

WŁOCH.

A ja mówię Signora Contessa, że Signor Inglese drapnął, a córkę Signori ukradł; bo on dziś długo z Marhitą gadał a dawał jéj złoto.

PAN ANTONI.

Nieszczęście! już nie ma wątpliwości, wszakże to już blisko północ, a Panna Aniela nie wraca.

HRABINA (*omdlona pada na krzesło*)

O Boże! więc wszystkie moje nadzieje zawiedzione!

PAN ANTONI (*ocuca ją*).

Pani Hrabino! uspokój się Pani, udaję się natychmiast do rybaka, a powziąwszy wiadomość, będę ścigał Anglika, i córkę Pani przywrócić muszę.

HRABINA.

Dziękuję Panu za dobre jego chęci, ale to będzie za późno.

PAN ANTONI.

Nie tracę ani chwili. (*wychodząc do lokaja*) Janie: zostań przy Pani.

SCENA VIII.

HRABINA, WŁOCH, i LOKAJ.

HRABINA (*do Włocha*).

Mój łaskawco, czy znasz ty dobrze Marhitę? — czy

można przypuścić, aby ona się odważyć miała na coś podobnego, i pomagać złym zamiarom Lorda?

WŁOCH.

Cha cha cha! toż ona już nie raz tak zrobiła, — wszakże swoją córkę sprzedała, a nie wzięła tyle złota, co teraz od Signor Inglese.

HRABINA.

O! ja nieszczęśliwa! (*chodzi po pokoju niespokojna, załamując ręce*).

LOKAJ (*patrząc w okno*).

Jakaś łódź z dwoma osobami zbliża się ku nam. — (*Wszyscy ku okno*).

WŁOCH.

To rybak, jedna signora, i jeden signor.

LOKAJ.

Pewno nasza panna Hrabianka powraca.

HRABINA (*ucieszona*).

Dzięki Bogu! — a widzisz Waćpan, żeś mnie niegodziwie nastraszył, i lekkomyślnie rzuciłeś na lorda taką potwarz: — (*patrzy w okno*) wszak to on z moją córką przybywa.

WŁOCH.

Ja sam bardzo się cieszę, że się omyliłem i proszę, aby Signora Contessa przebaczyć mi raczyła, — ale Signor Inglese tu się więcéj już nie pokaże. — Umilissimo servo. (*odchodzi*).

SCENA IX.

HRABINA (*słucha śpiewu przy oknie, który się coraz więcéj zbliża*), LOKAJ (*za nią patrzy w okno*)

Śpiew za oknem.

Gwiazdko nadobna! czemuś wysoko?
  Czemu ku tobie serce lgnie?
Ach nadaremnie łzawe me oko
  Po twych promieniach w niebo ślę.
Próżno cię gonię po morskiéj fali,
  I twoim blaskiem łudzę się:
Ja płynę daléj, ty płyniesz daléj,
  I zawsze przestrzeń dzieli mnie (*bis*).

HRABINA.

Już wysiadają.

LOKAJ.

Ale to nie pan Anglik, tylko pan Antoni co ze starym Włochem rozmawia.

HRABINA (*wpatrując się*)

Tak jest, to rzecz dziwna, — co się stało z lordem.
(*Lokaj wychodzi*).

SCENA X.

HRABINA. — ANIELA (*wchodzi i całuje matkę, Hrabina całuje ją kilkakrotnie w czoło*). — P. ANTONI (*wchodzi po chwili*)

P. ANTONI.

Otóż zguba przywrócona.

HRABINA

O Boże! nie wiesz Anielko w jakiéj o ciebie byłam niespokojności, jeszcześ nigdy tak późno nie wracała, a do tego szczególny zbieg wypadków, do rozpaczy mię o ciebie przywodził: wszakże to...

P. ANTONI (*przerywając*).

Ależ bo nie było powodu, — panna Aniela zupełnie spokojna, i na żadne niebezpieczeństwo narażoną nie była, wszak prawda.

ANIELA.

Owszem nigdy przyjemniejszéj nie miałam przejażdżki; ale poczciwy mój rybak czeka zapewne na swą należytość, niech go pan chojnie nagrodzi, mama z wdzięcznością zwróci Panu wydatek.

P. ANTONI (*patrząc przez okno*).

On nie czeka na należytość, bo żadnéj przyjąć nie chciał, tylko spoczywa strudzony spieszną i dość długą jazdą. (*Aniela zbliża się ku oknu*).

P. ANTONI (*do Hrabiny cicho*).

Niech Pani nie wspomina nic o powodach swéj obawy, córka pani rzeczywiście w wielkiém była niebezpieczeństwie; lecz sama nic o tém niewie, i wiedzieć nie powinna.

HRABINA.

Anielko! jesteś strudzona, spocznij sobie w drugim pokoju; ja mam z Panem Antonim kilka słów pomówić.

ANIELA.

Dobrze Manio! (*żegna ukłonem pana Antoniego i wychodzi do bocznego pokoju, zostawiając drzwi uchylone*).

SCENA XI.

HRABINA i P. ANTONI.

HRABINA.

A więc istotnie Anielce mojéj zagrażało niebezpieczeństwo?

P. ANTONI.

Tak jest Pani. — Włoch stary, który rzucał tylko podejrzenie na Anglika, wiedział o wszystkiem, lecz niechciał nagłém upewnieniem Pani, że tak jest, narażać jéj na okropny cios, jakiby czułą matkę koniecznie dotknąć musiał w takim razie. Mnie przed chwilą wszystko opowiedział, jako rzecz pewną, że mniemany lord ograwszy młodego Francuza, który sobie z rozpaczy życie odebrał, zmuszony był dziś uciekać przed zemstą przyjaciół tego nieszczęśliwego, a razem powziął zamiar uwiezienia z sobą panny Anieli: — zapłacił Marhitę i dwóch rybaków i rzecz była przygotowana.

HRABINA.

Co za niegodziwość; jakże się wstydzić muszę mojéj łatwowierności. — Ale jakimże sposobem córka moja uratowaną została?

P. ANTONI.

Znany Pani stary Pietro podjął się téj wyprawy i najął do pomocy sąsiada swego Bastiana, aby w okolicy umówionéj, przyjął pannę Anielę na swą łódkę lżejszą, dla spieszniejszego powrotu, a zamiast do domu miał córkę Pani zawieść do angielskiego statku, gdzie mniemany lord czekał na swoję zdobycz.

HRABINA.

Ach! to okropny zamach.

P. ANTONI.

Młody człowiek niepostrzeżony, wysłuchał całego planu rybaków gdy się z sobą umawiali, — zastąpił Bastiana w téj wyprawie, zostawiwszy mu i wziętą nagrodę i ze swéj strony mu dodawszy; a przebrany za rybaka, puścił się na jego łodzi w oznaczone miejsce i uratował pani córkę: popłynął z panną Anielą ku statkowi angielskiemu, nie chcąc obudzić podejrzeń Piotra i Marhity, którzy zaraz wrócili do miasta; obrawszy potem inną znacznie dłuższą drogę, uniknął wszelkiego pozoru i szczęśliwie przybył do tego miejsca.

HRABINA.

Ach Panie! cóż to za szlachetny człowiek, czy znany Panu?

P .ANTONI.

Jest to mój przyjaciel, rodak nasz i artysta, który dla malowania nadmorskich widoków, najął sobie u Pietra mieszkanie, wieczorami miał upodobanie jako rybak pływać po morzu na łódce Bastiana i śpiewaniem swojém uprzyjemniał Paniom przejażdżkę.

HRABINA.

Czy wiadomo Panu, kto są jego rodzice?

P. ANTONI.

Matkę stracił w dzieciństwie i chował się przy wuju, którego w téj chwili niepomnę nazwiska, ojciec zaś jego Pułkownik wójsk narodowych, poległ na polu bitwy. Wuj mieszka w własnym majątku o kilka mil od War-

szawy: kocha siostrzeńca jak własne dziecko, bo téż godzien téj miłości, a ja mam sobie za prawdziwy zaszczyt przyjaźń tego młodego człowieka. Wuj łożył na jego wychowanie i odtąd posyła mu fundusze na kształcenie się w sztuce. Przed parą laty poznaliśmy się w Rzymie, i odtąd nie rozłączaliśmy się aż do téj chwili.

HRABINA.

Spodziewam się, że nas Pan zapoznasz jutro ze swoim przyjacielem, dla którego tyle mam obowiązku wdzięczności.

P. ANTONI.

Najchętniej to uczynię, jeżeli on sam będzie skłonnym do tego; bo od niejakiego czasu unika towarzystw — a gdyby wiedział o tém, że ja całe zdarzenie dzisiejsze opowiedziałem Pani, mogę ręczyć że niczem do zaznajomienia się z domem Hrabiny skłonić by się nie dał.

HRABINA.

Więc nie będę mogła podziękować mu nawet za tyle poświęcenia się dla méj córki?

P. ANTONI.

Nie inaczéj, — ja go przedstawię jako mego przyjaciela i artystę, a Pani nie daj mu najmniejszéj oznaki żeś ocalenie córki jemu winna.

HRABINA.

Niech i tak już będzie, kiedy to Pan za konieczność uważasz, — nie ręczę jednak, czy się zdołam wstrzymać od wynurzenia mu wdzięczności najszczerszéj (*patrzy w okno:*) On biedak jeszcze spoczywa, musiał się bardzo utrudzić, — czy tylko nie słaby.

P. ANTONI (*patrzy w okno*).

Ach prawda, siedzi nieruchomy na łodzi, może strudzony, zasnął, (*woła*) Władysławie, Władysławie! — już odpływa.

(*Śpiew za oknem, który się coraz więcéj oddala*) — (*Aniela wybiega do okna i z zajęciem słucha*).

Jakże zapomnieć twego uroku!
Czy chmurna noc, czy ranny brzask,
Zawsześ obecna łzawemu oku,
Bo w sercu, twych promieni blask.
Napróżno chciałbym poświęcić życie,
Gdybym się zdołał zbliżyć raz.
Lecz ja przy ziemi ty w niebios szczycie
I wieczna przestrzeń dzieli nas. (*bis*).

SCENA XII.

PAN ANTONI (*do Anieli*).

Jak widzę śpiew rybaka bardzo Panią zajmuje.

ANIELA.

Tak Panie! zdaje mi się, że słuchałabym go bez przerwy, chociaż tyle już razy dał mi się słyszeć, że umiem go na pamięć, — dziś tem jest milszym dla mego ucha, że wychodzi z piersi człowieka, któremu tak wiele mam do zawdzięczenia, a razem z piersi naszego rodaka.

PAN ANTONI.

Jak to? — alboż on nie jest tym, za kogośmy go mieli?

ANIELA.

Wprawdzie od dawna już jego postać zdradzała go w mych oczach, że nie jest tym, za kogo się przedstawia; dziś pierwszy raz widziałam go zbliska, — lecz Pan sam wołałeś go po imieniu i naszym językiem, — wszak się nie mylę, — zresztą słyszałam wszystko, coś Pan Mamie o nim opowiadał.

PAN ANTONI.

Więc mnie Pani podsłuchałaś! — kiedy tak, winszuję ci Władysławie jutrzejszego przyjęcia, jakiegoby ci wielu pozazdrościć mogło! — ale powtarzam mą prośbę, i Mama i Pani wstrzymać się raczą od wszelkich podziękowań, i od najmniejszéj wzmianki o dzisiejszém zdarzeniu, mam do tego powody, o których już Mamie mówiłem.

ANIELA.

Przynajmniej raczysz mu Pan w imieniu Mamy najczulsze wyrazy wdzięczności oświadczyć, wdzięczności prawdziwéj, która dla niego w sercach naszych nigdy nie wygaśnie.

PAN ANTONI.

Będę myślał nad tem, w jakiby sposób najzręczniej dopełnić zlecenia Pani. (*do Hrabiny*) Jakkolwiek Opatrzność wróciła Pani córkę, tak szczęśliwie, że nie uczuła nawet cienia niebezpieczeństwa jakie jej zagrażało, trzeba się obawiać, aby złe zamiary zawiedzionego Anglika nie powtórzyły się w inny jaki niegodziwy sposób. — Dla tego radzę Paniom nie tylko pożegnać się z łódką (*do Anieli ciszéj*) nie mówię tu o rybaku; ale najlepiéj opuścić jak najśpieszniej Wenecyą i wrócić do rodzinnéj ziemi. — Ja wprawdzie rok jeszcze mia-

łem zostać za granicą, nie mogę jednak w tak niebezpiecznéj chwili dopuścić, aby Panie same się w tę podróż puszczały i chętnie będę im towarzyszył.

HRABINA.

Prawdziwie, Niebo nam zsyła opiekę w osobie Pana.

PAN ANTONI.

Mam nadzieję, że i Władysław dla méj przyjaźni nie odmówi nam swego towarzyszenia w podróży, tem bardziej, że (*do Anieli ze znaczeniem*) już nadmorskie widoki przestaną go zajmować.

ANIELA (*na pół z uśmiechem*).

Nie wiem co Pan chciałeś przez to powiedzieć.

PAN ANTONI.

Po dzisiejszym wypadku byłoby nierozsądkiem zostać mu dłużéj w Wenecyi, gdzie mściwy wyspiarz mógłby go łatwo dosięgnąć.

HRABINA.

Przezorność Pańska jest nieoceniona, chętnie wszystkie rady przyjmuję, — więc jutro poznamy Pana Władysława, a po jutrze wszyscy razem w podróż się udamy.

ANIELA.

O tak Mamo! to bardzo szczęśliwy pomysł Pana Antoniego, — ale Pan koniecznie namów swego przyjaciela do opuszczenia tego miasta, chociażby mu wracać jeszcze do kraju nie wypadło, i choćby nam przyjemności podróżowania razem odmówić musiał, wymaga tego własne jego bezpieczeństwo.

PAN ANTONI.

Jestem pewny, że się chętnie zgodzi na tak miłą propozycyą, którą jak najraniéj zrobić mu nie zaniedbam, a teraz życzę Paniom spokojnego snu (*do Anieli*) i troszkę marzeń o podróży. (*odchodzi*)

HRABINA i ANIELA (*razem*).

Dobra noc Panu, dobra noc.

Koniec aktu pierwszego.

Akt II.

Dwa miesiące po piérwszym. Rzecz dzieje się w Tatrach, we wsi Zakopanem, a późniéj w dolinie kościeliskiej.

SCENA 1.

P. ANTONI *i* ANIELA (*siedzą przed porządnym wiejskim domkiem, przy stoliku nakrytym do kawy godzina 9ta z rana, na stoliku otwarta książka*).

P. ANTONI.

Niech Pani zaufać mi raczy, — nie śmiem powiedzieć, że mam już do tego niejakie prawo, — a obecny stan zdrowia Pani tak wymownie zdradza skrytości jéj serca, że odgadłbym wszystkie myśli Pani i to w tych kilku wyrazach, że wdzięczność jéj dla Władysława przemieniła się w miłość.

ANIELA. (*wzdychając, ściska rękę P. Antoniego.*)

Gdyby przynajmniéj wiedział o tém! — lecz nie — wiedzieć nie powinien, — uciekł przedemną z Wenecyi, nie dawszy się nawet poznać mojej Matce.

P. ANTONI.

Nie obwiniaj go Pani, — znam dobrze mego przyjaciela, — roztropność kazała mu tak postąpić, a wina cała na mnie tylko ciąży iż nie zdążyłem uprzedzić jego wyjazdu, — byłby niewątpliwie towarzyszył naszéj podróży, — wszakże list jego zostawiony u rybaka przekonywa że był w błędzie, rozumiejąc że zdradziłem przed Paniami powierzoną mi jego tajemnicę, gdym go przez okno po imieniu zawołał: — było to wprawdzie moje zapomnienie się, nic rzeczywiście nie znaczące, które jednak tyle nam złego narobiło.

ANIELA.

Więc nawet śladu nie wskazał Panu dokąd się udał?

P. ANTONI.

Przeciwnie, — ale pod zaklęciem na naszą przyjaźń. — Nie uwierzysz Pani, jak to mi jest bolesno, że taić muszę, jego zwierzenia się przedemną, — lecz, może to i lepiéj, ich wyjawienie mogłoby pogorszyć słabość Pani.

ANIELA.

Jestem na wszystko złe przygotowaną, — lecz, niech zostanie wiernym swoim tajemnym ślubom, a Pan zachowaj jego tajemnicę.

(*zamyśla się*).

SCENA II.

HRABINA (*wychodzi z domku*) PAN ANTONI *i* ANIELA, (*Aniela nalewa kawę i rozdaje*).

HRABINA (*pokazując na książkę otwartą*).

Jakże Pan znajdujesz ten opis Tatrów?

PAN ANTONI.

O całem dziele nie mogę jeszcze dać mego zdania, gdyż urywkowo tylko przeczytałem niektóre ustępy, a w tych jest dosyć jasnym i zajmującym: — właśnie oto, jeden z nich, który mnie w moich nadziejach utwierdza (*czyta*) Te olbrzymie strażniki staréj granicy między chlebową a winem płynącą ziemią, te niezliczonych wieków poważne świadki, których głowy zimowym ubielone szronem panują nad piętrami czarnych borów, mają dla oka niepojęty powab, i ciągną ku sobie niewidzialną siłą: — tu się oddycha całą piersią najczystszem powietrzem, a kryształowe zdroje nie mogą dosyć pragnienia zasycić.... (*składa książkę*) Wspomniałem o nadziejach tylko, lecz mam raczéj pewne przekonanie, że tu Panna Aniela odzyska w krótkim czasie dawną wesołość, zdaje mi się nawet, że już weselszem spogląda okiem; — bo niepodobna, aby te cudowne okolice nie obudziły zajęcia choćby najobojętniejszych na piękną naturę osób, do których przecież Panie liczyć się nie mogą.

HRABINA.

Przyznaję Panu, że jako artysta znajdziesz tu piękności natury, jakich pospolite oko nie dostrzega, — je-

dnakże Alpy szwajcarskie mają pod tym względem pierwszeństwo przed Tatrami.

PAN ANTONI.

Ależ te są nasze, — tamte piękne, lecz przemawiają do nas obcą mową, — chcąc je zrozumieć, chcąc doznać tego uczucia, jakie one w mieszkańców swoich wlewają, trzeba się tam urodzić, trzeba przynajmniej długo w nich zamieszkać; — nasze zaś góry od razu działają na nas wszystkiemi sprężynami: — zresztą zdania nasze o Tatrach byłyby jeszcze zawczesnemi, znamy tylko ogólny ich obraz, jaki nas wczoraj zachwycił; lecz spodziewam się że Pani znajdziesz w nich upodobanie, gdy je bliżéj poznamy. — Według instrukcyi naszego przewodnika (*wskazuje na książkę*) dziś wypada nam zwiédzić kościeliską dolinę, najpiękniejszą i najczęściéj głównym przedmiotem zwiedzających Tatry będącą; kto zaś chce poznać olbrzymie a razem najdziksze dzieło Stwórcy, zwiedza rybie jezioro i spadek rzéki z pięciu stawów; — ale to ma być podróż, zwłaszcza dla dam, bardzo utrudzająca.

ANIELA (*z zajęciem*).

Więc dziś poznamy tę prześliczną dolinę, którą widziałam w obrazie jednego z naszych artystów?

PAN ANTONI.

Tak wypada z ułożonego planu, jeżeli Panie raczą go przyjąć: najpiękniéj ma się wydawać przed zachodem słońca, bo wtedy zamykająca ją góra Pyszna przybiéra cudowną barwę, która artystę do rozpaczy przywodzi; trzeba nam zaś korzystać z pogody i dnia jasnego, bez czego nasza dolina połowęby wdzięku straciła.

HRABINA.

Pan tyle dla nas dobry, tyle już doznałyśmy dowodów jego przyjaźni, że wszelkie plany naszego pobytu w Tatrach, zależeć będą od jego rozrządzenia.

PAN ANTONI (*dziękując ukłonem*).

Będę chciał korzystać z nadanéj mi przez Panią władzy i będę się tak sprawiał, abym jéj w niczem nie dał uczuć. Ale pozwolą panie, abyśmy wprzód zawarli pewien traktat?

HRABINA.

Bardzo chętnie.

PAN ANTONI.

Wszakże celem naszego tu przybycia jest odzyskanie wesołéj myśli panny Anieli, nie mówię zdrowia, bo z tamtem i to powróci: najprzód więc raczy mnie pani Hrabina mianować lekarzem swéj córki.

HRABINA.

Zupełną władzę lékarza oddaję panu.

ANIELA.

Dla mnie już nie ma lekarstwa. (*wzdycha*).

PAN ANTONI.

Ja zaś, jakby jasnowidzący, zaręczam prędką i zupełną kuracyą Pani; — moja dyagnostyka powiada, że stan zdrowia Pani nie jest wcale przyczyną jéj niepogodnych myśli, lecz przeciwnie, jest tylko ich skutkiem, — a na uleczenie posępnéj myśli mają górale cudowne ziółko, którego skutek zaraz po dotknięciu się widzieć będziemy, i mogę Panią upewnić, że w kil-

ka dni skończy się cała kuracya. Ale proszę o powolność. Zyskałem już od Mamy nominacyą, teraz Pani raczysz mi dać słowo, że będziesz posłuszną przepisom lékarza (*dumnie wskazując siebie*).

ANIELA.

Z wdzięcznością przyjmuję dobre chęci Pana, i będę posłuszną, chociaż w przekonaniu trudy jego widzę bezskutecznemi.

PAN ANTONI (*wstając*)

A więc przystąpmy teraz do dzieła, — z porządku rzeczy, udam się natychmiast w góry dla wyszukania lékarstwa, co mi z łatwością przyjdzie i nie zabawi długo, gdyż zamówiłem przewodnika, który mię do celu doprowadzi. Po obiedzie, na który nie będę miał przyjemności służyć, raczą się Panie udać w dolinę Kościeliską, konie i wózek goralski już zamówiłem, jakkolwiek zaś pójdzie mi dzisiéjsze poszukiwanie, udam się po południu wprost do naszéj doliny, i albo Panie już tam zastanę, albo je uprzedzę i oczekiwać będę. (*wchodzi do domku.*)

HRABINA.

Jakiż to zacny człowiek, jak on się nami szczérze zajmuje; — zaczynam wierzyć, że jemu będziesz winna powrót do zdrowia, jak przyjacielowi jego uratowanie honoru.

ANIELA.

Ach Mamo! nie wspominaj o tém.

(*wpada w zamyślenie*)

PAN ANTONI (*wychodząc z domku, z torbą, laską i słomianym kapeluszem, za nim goral przewodnik i lokaj Hrabiny*).

Tymczasem niech panie używają ładnéj pory na przechadzkę, a może w tę stronę (*wskazuje*) to będę chwilkę towarzyszył.

HRABINA.

Wypełnimy wolę naszego lékarza.

(*Biorą parasolki i odchodzą razem, za niemi lokaj i góral*).

SCENA III.

(*Widok doliny kościeliskiéj, w głębi góra Pyszna.*)

WŁADYSŁAW i SOBEK góral (*schodzą ze spadzistéj ścieszki z lewéj strony sceny*).

WŁADYSŁAW.

Jakże ci się zdaje Sobku, czy się przecie doczekamy stałéj pogody?

SOBEK.

Juźci tak mi się widzi prosę pana, że się zaniosło na kiela dni pogody, bo się chmury od Orawy na piekne rozebrały; — a kiedy pan chcą malować Pysną, te dopiéro psed zachodem słonka, bo dziś bedzie piknie wyglądała, jak pan jesce nie widzieli.

WŁADYSŁAW.

Tak mówisz, to się bardzo cieszę, bo będę mógł raz przecie dokończyć tego malowania, w którem tyle razy deszcz mi przeszkadzał. Więc moją szkatułkę zaniesiesz do mieszkania, a zaraz po południu przyjdziesz znowu do mnie, żebyśmy się nie spóźnili.

SOBEK.

Niech się pan nie turbują, już ja nie zabocę i będziewa na cas. Niech pan idą południować, a ja się zostanę ze skrzynecką i będę tu cekał na pana, — mam ta w torbie kawołek oscepka, to i nie ma po co tyle dale chodzić do chałupy.

WŁADYSŁAW.

Więc cię tutaj po obiedzie zastanę?

SOBEK.

Héj!

WŁADYSŁAW *odchodzi w lewą stronę, lecz bliżej sceny, Sobek kładziz się przy kamienu w głębi sceny.*

SCENA IV.

Kompania młodzieży przychodzi z głębi sceny zkąd Władysław przyszedł, słychać kozę góralską, ze strony w którą odszedł, gdy młodzież zbliży się naprzód sceny, koziarz i dwie dziewki z baryłkami na plecach, schodzą się z niemi razem.

KOZIARZ (*przestając grać*).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

MŁODZIEŻ (*razem*)

Na wieki wieków.

KOZIARZ.

A zkądze panowie?

PIERWSZY.

My kochany gazdo z różnych stron, ot zebraliśmy się w Krakowie i tuśmy przyjechali, żeby zobaczyć wasze góry, a teraz wracamy od źródeł czarnego Dunajca.

KOZIARZ.

Toście wej tam byli, kej się woda zacyna, a chléb się kończy: — a jakze wam się udają nase wirchy?

DRUGI.

Przecudne, zapewne więcéj nas zajmują, wam pewno już spowszedniały, bo zawsze na nie patrzycie.

KOZIARZ.

Kej ta panowie! nam się w górach nie cnie mybyśwa się ta nie mieniali na wase miasta: tu się człek urodził, to mu tu najradziéj siedzieć, choć nie mowa urodzajów jak tam u was, to zyjewa z dobytkiem jak Bóg (*uchyla kapelusza*) da, i człek sam nie wie, kiéj się zestarzeje.

PIERWSZY.

A czyjeż te ładne dziewuchy?

(*Dziewczęta się chychoczą*)

KOZIARZ.

To ano moja dziewucha, a druga sąsiada: nosiły ano zyntycę dla państwa co siedzą w Zakopanym na organistówce, — a możebyśta się Panowie napili, to zdrowse niż wino.

(*Dziewczyna nalewa w skopek i podaje piérwszemu*)

PIÉRWSZY.

Będziecie pili?

DRUGI.

Pij do nas. (*piją kolejno*)

PIERWSZY.

A cóż wam się za to należy?

KOZIARZ.

Nic prosę Pana, dał ta Bóg (*uchyla kapelusza*) na tyle, że i dla nas wystarczy.

DRUGI.

To choć dziewczętom na wstążeczki (*daje im piéniądze dziéwczęta całują go w rękę*)

PIERWSZY.

A gazda wypali może sygaro (*daje mu sygaro*)

KOZIARZ.

Zostajcie Panowie z Bogiem (*uchyla kapelusza i odchodzi z dziewczętami*)

WSZYSCY Z MŁODZIEŻY.

Bądźcie zdrowi!

(*Koziarz gra odchodząc, a dziewczęta spiewają kończąc w oddaleniu, właściwym wykrzykiem*)

Spiew dziéwcząt (Nr. 2)

Dunaju, dunaju, bystra woda w tobie,
Porwałeś suhaja, cóz mi po chudobie.

SCENA V.

MŁODZIEŻ, *w głębi góral przewodnik Władysława, wszyscy spoczywają.*

PIERWSZY (*patrząc za odchodzącym koziarzem i dziewczętami*)

Co za szlachetność w ubogim człowieku! Szkoda że między nami nie ma artysty, coby tę ładną grupę naszkicował.

DRUGI.

Wszak ty wybornie umiesz piórem malować: — czy można skreślić lepsze obrazy nad te, któreś zebrał w Szczawnicach? — jakże ci się wybornie udał opis tego rumianego jegomości z wielkiemi wąsami, co przyjechał do wód dla spędzenia rubinów z nosa, a pijał tylko samo wino, mówiąc że mu wody nie służą.

TRZECI.

Ale do tego obrazu nie dość miałeś o nim wiadomości, inaczéj bowiem nie dziwiłby cię nałóg, który jego utrzymanie stanowi.

PIERWSZY.

A to coś pociesznego! — słucham cię powiedz jak to być może?

TRZECI.

On robi więcéj interesów, niż wszyscy razem krakowscy notaryusze. Kto ma coś trudnego do przeprowadzenia, udaje się do niego daje mu pieniądze na koszta, myślisz że na taksy, stemple etcetera, broń Boże! on się nie wdaje w kodeksa ani procedury, lecz na

porter, wino, śniadania i tym podobne wydatki. On zaprasza strony interesowane, karmi, poi, ma się rozumieć, że sam dwa razy tyle zjé i wypije, co zaproszeni, a przy kieliszku załatwia najtrudniejsze sprawy.

PIERWSZY.

A to szczególny mecenas! Niechże teraz wstrzemięźliwi powstają przeciw pijakom, wszakże i oni są przydatni na świecie.

DRUGI.

Tak, ale z głową dwojako kwalifikowaną i do sprawy i do butelki.

PIERWSZY.

Ślicznie! o! jego obraz zyska wiele z twojego objaśnienia.

TRZECI.

Spodziewam się że po powrocie do miasta, szkice swoje ogłosisz drukiem.

PIERWSZY.

Być może, — właśnie dzisiaj kiedyście spali, wstęp do nich napisałem, a chociaż jestem bardzo drażliwy na krytykę, nie myślę naśladować tych, co przez dziesięć lat piszą, przepisują, mażą, poprawiają i nareszcie kleją w jednę całość urywkowo zbierane cudze myśli i zdania z filozofii, z historyi kunsztów ekonomii politycznej i. t. d.

DRUGI.

Wiem co chcesz powiedzieć, — ale myśli i zdania własnéj głowy, i do jednego celu skierowane, snuć się mogą jak nić z kłębka; zaś uczony o którym natrąciłeś musiał wprzód dużo obcych książek przeczytać, naro-

bić wyjątków, przełożyć, porządkować, kleić, dać komuś drugiemu do wygładzenia, a na to wszystko lat dziesięć, nie jest długim czasem.

TRZECI.

Zresztą tak pismo musi się wyleżeć, wyklarować jak zmącone wino i znowu przerabiać, aby się zlało w jednę całość i wydało się dziełem jednego pióra.

DRUGI.

Czy niezechcesz nam przeczytać wstępu o którym wspomniałeś? — nie lękaj się naszéj krytyki.

PIERWSZY.

Owszem proszę o nią, wiem że nie pójdziecie torem poważnych krytyków, co gotowi na autora wyrok śmierci podpisać za to, że w oryginalnym utworze nie trafił do ich widzi mi się, ale za to milczą o tych, co nic z głowy nie piszą tylko z książek.

Więc czytam (*wyjmuje z torby pismo i czyta*).

Nie sztuka laurów zwycięzkich się dobić,
Kiedy masz siłę, a przeciwnik stchórzy;
Nie sztuka wieńcem skronie przyozdobić,
Gdy ci natura talentem usłuży:

Czy pendzel chwycisz, czy dłuto lub pióro,
Zawsze szczęśliwą poprzesz się naturą;
Płótno przemówi, głaz życiem zabłyśnie,
Z pióra zdrój myśli strumieniem wytryśnie.

A myśl dobra to dar boży,
To niebieskie jest natchnienie,
W małém ziarnku życia zaród;
I choć człowiek głowę złoży,

Chociaż pójdzie w zapomnienie,
To myśl jego nie zaginie;
Lecz rzuconą między naród
Skropi kiedyś boża rosa,
Myśl wyrośnie pod niebiosa,
I znów myśli kwiat rozwinie.

Lecz kto nie wziął od natury w darze;
A zachce mu się stać w autorów rzędzie,
Co wprzód sto lichych wierszyków przemaże,
Nim się na jeden, choć mierny, zdobędzie,
Temu potrzeba różnych środków użyć,
I cobądź pisać, byle świat odurzyć.

Otóż i mnie napadła choroba taż sama,
Że chciałbym zdobyć wieniec jaki taki;
A gdy się trudno zbliżyć do Adama,
Bądzmy naśladowcą Baki.

WSZYSCY.

Cha! cha! cha!

DRUGI.

Ależ to za wiele skromności.

TRZECI.

Jest to raczéj środek do rozbrojenia krytyki, — ale prosimy o ciąg dalszy.

(w téj chwili przychodzi P. Antoni z przewodnikiem).

SCENA VI.

MŁODZIEŻ i P. ANTONI.

(Przewodnik idzie do leżącego w głębi górala, i siada przy nim).

P. ANTONI (*witając młodzież ukłonem*).

Pozwolą się Panowie zapytać, jak dawno bawią w tych stronach?

PIERWSZY.

Trzeci dzień, jak ze Szczawnic przybyliśmy tutaj.

P. ANTONI.

To zapewne poznaliście panowie artystę, który zbiera widoki Tatrów; szukam go od rana, i niemogę ani o nim ani o jego mieszkaniu powziąść wiadomości, a bardzo mi wiele na tem zależy, abym dziś mógł się z nim widzieć.

PIERWSZY.

Żałujemy, że małe bardzo o nim możemy dać Panu objaśnienie; widzieliśmy wczoraj malującego widok téj doliny, lecz nieznanego nam artystę; właśnie wtedy zbliżyło się ku niemu grono podróżnych między któremi uderzyła nas swemi wdziękami młoda osoba. Artysta złożył wtedy swoje pędzle, i z całem gronem udał się ku Zakopańskim kużnicom gdzie zapewne główną mają kwaterę. Ciekawość nasza o tyle tylko od ich służącego zaspokojoną być mogła, że piękność owa jest narzeczoną artysty.

P. ANTONI.

Czy to być może! — Więc Władysław się żeni!

PIERWSZY.

Powtarzam, co nam powiedziano.

P. ANTONI.

Bardzo wdzięczny łaskawemu panu za to objaśnienie;

mam już ślad, za którym trafię do celu. Ależ do Kużnic daleko?

(*Jędrek wstaje i zbliża się ku panu Antoniemu*).

PIERWSZY.

Pieszo zajść można za dwie godziny, a jeżeli Pan pozwolisz będziemy mu towarzyszyć, gdyż właśnie wypocząwszy, udajemy się w toż samo miejsce.

JĘDREK.

Niech Jegomość zostaną, bo ano Sobek pedo, ze tu ten Pan malorz przydą pred zachodem słonka, bo Sobek ano ceka na niego i trzymo jego skrzyneckę z farbami.

P. ANTONI (*ogląda szkatułkę*).

Tak, to jego szkatułka, — (*do młodzieży*) więc nie będę już korzystał z miłego towarzystwa Panów i pozostać tu muszę, tém bardziéj że prócz tego spodziewam się przybycia tu nie zadługo kilku osób znajomych.

PIERWSZY.

Żegnamy Pana.

P. ANTONI.

Przyjemnéj przechadzki panom życzę.

(*Młodzież odchodzi*).

SCENA VII.

P. ANTONI, *w głębi* JĘDREK i SOBEK *siedzą na kamieniach*.

P. ANTONI (*do siebie*).

O! tom się ślicznie wykierował na dudka, — jakimże czołem stanę przed Hrabiną, kiedy to dwunożne ziółko

już dla kogo innego przeznaczone! Biedna Anielo! jakąż ci teraz kuracyą przepiszę! — (*zamyśla się*) Ach! to coś okropnego, — głowa mi pęknie z rozpaczy. — (*spostrzega nadchodzące panie*). Otóż i one, nie traćmy głowy, trzeba temu dać jakiś obrot, — zresztą Matce opowiem, jakie miałem zamiary, — zawiodłem się niesłychanie,— ale cóż powiem córce nieszczęśliwéj?

SCENA VIII.

HRABINA, ANIELA, P. ANTONI, ŁOKAJ, JĘDREK i SOBEK (*w głębi jak wprzód*).

HRABINA.

Pan Antoni słowny! — a dolina prawdziwie zajmująca, — jakże idzie poszukiwanie lekarstwa?

P. ANTONI.

Trudniéj, niż się spodziewałem.

(*Aniela (zadumana idzie w głąb doliny, lokaj za nią)*.

Podobno będę musiał zwrócić mój dyplom doktorski, a korzystając z oddalenia się Panny Anieli powiedzieć Hrabinie otwarcie, w jaki sposób chciałem uleczyć melancholią jéj córki. — Przyjaciel mój, którego chciałem w Wenecyi przedstawić Pani, zajęty był panną Anielą do tego stopnia, że z pamięci portret jéj odmalował, z całym wdziękiem jaki wtedy ożywiał tę piękną i miłą osobę: opowiadałem już, jak przebrany za rybaka uprzyjemiał Paniom swym śpiewem przejażdżki morskie. Przypadkiem odkryłem jego skłonność, lecz mnie zaklął, abym to zachował w tajemnicy, nie chcąc podsycać własnéj skłonności i projektować tego, co mu się zdawało niepodobném do urzeczywistnienia. Wypadek z Anglikiem

zbliżył go pod mieszkanie Pani, pierwszy raz wtedy widziała go z bliska panna Aniela, — a nazajutrz, kiedy miałem go wprowadzić w dom Hrabiny, już go nie było w Wenecyi; zastałem tylko list, a z nim z nowemi zaklęciami ślad, dokąd się udał. — Słabość panny Anieli zatrzymała nas kilka tygodni w podróży, a lekarz uprzedzony przezemnie o powodach melancholii córki Pani, przepisał jéj pobyt w Tatrach za kuracyą.

HRABINA.

Więc Pan mniemasz, że jego przyjaciel mógł zająć tak dalece moją córkę?

PAN ANTONI.

Jestem tego pewny, — wprawdzie Panna Aniela wcale mi się z tem nie zwierzyła, ale w każdéj ze mną rozmowie o nim lubi wspominać; a sama Pani Hrabina dziwiłaś się, że córka zawsze jednę tylko nuci piosenkę, — jest to owa barkarola, którą od mniemanego rybaka tyle razy słyszała.

HRABINA.

Teraz pańskie lekarstwo poznaję, — chcesz ich pożenić, — ha! nie miałabym zresztą nic przeciw temu, po tylu zaletach, jakieś Pan przyjacielowi swemu oddawał gdyby przynajmniej jakibądź majątek posiadał.

PAN ANTONI.

Ach! Pani! na tym jednym mu zbywa, lecz chętniebym mu oddał całe moje mienie za jego talent, przy tylu innych ciała i duszy przymiotach.

HRABINA.

Jeżeli to Pan uważasz za jedyny środek wrócenia zdrowia méj córce, zgoda, niech będzie jego żoną, wszak-

że jemu winna swe ocalenie, a może życie swoje, — ale jakże go poznamy bliżéj, kiedy przed nami ucieka?

PAN ANTONI.

Jest on w Tatrach, — ale niestety! powiadano mi, że go chcą żenić, i że jego narzeczona bawi w tych górach.

HRABINA (*z przerażeniem*).

Ach Panie Antoni! godziłoż się wystawiać mnie na taką próbę? — więc moje nieszczęśliwe dziecko i tu eszcze ma odnowić przyczynę swéj okropnéj słabości? uciekajmy ztąd natychmiast, dłuższy pobyt naraziłby ją na spotkanie, któreby życiem przypłacić mogła uciekajmy!

PAN ANTONI.

Słuszna obawa Pani, słuszne wyrzuty, ale racz Pani uniewinnić mnie przed sobą; — wszakże to, co chciałem zrobić, pochodziło z całej mojéj życzliwości dla jéj domu: — nie wiedziałem co tu zajść mogło, i dotąd jeszcze nie widziałem Władysława od czasu opuszczenia Wenecyi: — niech Pani Hrabina raczy się udać za córką i zatrzymać się na chwilę w oddaleniu; Władysław co chwila spodziewany jest w tém miejscu, góral z jego szkatułką malarską czeka oto na niego. (*odprowadza Hrabinę w stronę, dokąd poszła Aniela, oglądając się co chwila— Odchodzą*).

SCENA IX.

WŁADYSŁAW, (*zbliżywszy się naprzód sceny, spostrzega oglądającego się już za kulisami P. Antoniego*)

Antoś kochany! (*Pan Antoni wraca i ściska go*) jakimże szczęśliwym trafem tu cię oglądam?

PAN ANTONI.

W Krakowie powziąłem wiadomość, dokąd się udałeś i przybyłem tu uściskać niedobrego przyjaciela, który uciekł przedemną bez pożegnania.

WŁADYSŁAW.

Jeżeli od wyrzutów zaczynać mamy nasze powitanie, to zniewalasz mnie do przypomnienia ci danego słowa przy portrecie Anieli (*wzdycha*) któregoś nie dotrzymał.

PAN ANTONI.

Tak, powiedziałem hrabinie kto jesteś, ale to nie było objęte tajemnicą, szło bowiem tylko o portret i zarodek miłości.

WŁADYSŁAW.

Więc to zachowałeś przy sobie według przyrzeczenia?

PAN ANTONI.

Tak jest, córka nic o tem nie wié aż do téj chwili,— matce zaś musiałem wszystko wyjawić z powodów bardzo ważnych, które sam uznałbyś za słuszne, gdybym ci je mógł powiedzieć, — lecz te zostaną na zawsze moją tajemnicą. — Przybycie moje w te góry nabawiło mnie kłopotu, z którego nie wiem jak się wyplączę, — kto inny na mojem miejscu w łebby sobie wypalił.

WŁADYSŁAW.

Czyż i to chcesz ukrywać przed przyjacielem?— powiedz Antosiu co cię spotkało, może jaka sprawa honorowa, masz mnie na twoje rozkazy.

PAN ANTONI.

Tak, sprawa honorowa; bo dałem słowo, którego dotrzymać nie jestem w stanie; — gdyby to jeszcze była sprawa z mężczyznami, — ale to z kobietą, — jakąż jéj dam satysfakcyą?

WŁADYSŁAW.

Czy jaka miłosna awanturka?

PAN ANTONI.

O to posądzać mnie nie możesz, bo znasz moje postanowienie; — wprawdzie nieco zgadłeś,—ale to sprawa nie moja, ja się tylko nieprzezornie w nią wmięszałem; — lecz dajmy temu pokój, nie będę cię zatrudniał mojemi kłopotami, i zachmurzał twojego szczęścia.

WŁADYSŁAW. (*wpatrując się w niego z podziwieniem*).

Nie pojmuję cię mój Antosiu! — co chcesz przez to powiedzieć? —jeżeli szczęściem nazywasz moje zwykłe zatrudnienie, które mi rozrywa posępne myśli i osładza moją samotność, to się chętnie tem szczęściem z tobą podzielę;— będziemy razem malować i oprowadzę cię, po wszystkich punktach najpiękniejszych widoków.

PAN ANTONI.

Więc znowu widoki tylko malujesz? a portretu żadnegoś tu nie robił?

WŁADYSŁAW (*zadziwiony z uśmiechem*).

Kto ci mógł o tem powiedzieć?

PAN ANTONI.

I więcéj ci powiem,—łatwiéj ci zapewne to dzieło poszło, bo codziennie patrzysz z bliska na oryginał.

WŁADYSŁAW.

Na miłość boską, tłómacz się jaśniéj, — w tem coś jest dla mnie niepojętego, — Antosiu! — ktoś ci plotek nagadał, — wszakże mnie tu nikt nie zna, prócz kilku górali.

PAN ANTONI.

Dosyć tego udawania, — przed przyjacielem to się nie godzi. — Z żalem pożegnać cię muszę, bo jutro wcześnie, a może dziś jeszcze wypada mi ztąd wyjechać; — nie weźmiesz mi tego za złe, gdy się późniéj dowiesz co mnie tu spotkało. — Czy nie pokażesz mi portretu ostatniego któryś tu malował?

WŁADYSŁAW.

Najchętniéj. (*wydobywa obraz ze szkatułki i pokazuje*). Oto go masz.

PAN ANTONI.

Jak to? znowu Aniela?

WŁADYSŁAW.

Daję ci słowo, że nikogo więcéj niemalowałem od czasu ostatniego widzenia się naszego.

JĘDREK (*patrząc przez ramię P. Antoniego, który trzyma portret, wpatrując się weń z zadziwieniem.*)

To wej ta Panicka, coście tu z nią psyjechali.

WŁADYSŁAW.

Co słyszę! więc nie sam tu jesteś? — będęż mógł choć raz jeszcze widzieć mego anioła?

PAN ANTONI.

Jak możesz jeszcze zajmować się Anielą, kiedy już innej dałeś słowo.

WŁADYSŁAW.

Gdzieś ty nazbierał tych plotek? — myśl ta nigdy w méj głowie nie postała, — z kimże to mnie chcesz żenić?

PAN ANTONI.

Jeżeli to szczérze mówisz, to widzę w tem jakąś pomyłkę: — musi tu być drugi malarz ze swą narzeczoną.

SOBEK (*do Władysława*).

Hej, siedzą na zakopańskich kuźnicach w osteryi, mój ujek nosą za nim taką samą skrzyneckę, jak wasa.

WŁADYSŁAW.

Otóż teraz wyjaśnia się cała awantura i nieporozumienie.

PAN ANTONI.

Dzięki Bogu! (*patrzy w stronę zkąd wracać ma Hrabina*) Więc nie pomyślałeś dotąd o małżeństwie? — i nawet Anieli nie chciałbyś mieć za żonę?

WŁADYSŁAW.

Człowieku! nie dotykaj najdrażliwszéj strony mojego serca, wszakże to niepodobna?

PAN ANTONI.

Przeciwnie, — wszystko już przygotowałem do tego; Aniela cię kocha, matka zezwala, więc tylko mi szło

o ciebie. Wieść mylna, że tu bawisz z twą narzeczoną, nabawiła mnie okropnéj niespokojności, — dzięki Niebu że się inaczéj okazało. (*patrzy w stronę gdzie Hrabina z córką*). Ale czas krótki do naprawienia złego; — jeżeli przyjmiesz odemnie rękę hrabianki, powiedz, a rzecz skończona.

WŁADYSŁAW.

Drogi przyjacielu! czy możesz mnie pytać o to? — ty mi chcesz zmysły pomieszać tém niespodziewanem szczęściem.

P. ANTONI.

Otóż hrabina z córką się zbliża, ukryj się na chwilę nagłe spotkanie się wasze zaszkodziłoby Anieli.

(*Władysław spiesznie odchodzi ną stronę, przewodnicy opodal siedzą na kamieniach.*)

SCENA X i OSTATNIA.

P. ANTONI, HRABINA, ANIELA *a później* WŁADYSŁAW.

P. ANTONI (*biegnie przeciw Paniom*).

Wygrana moja, wygrana, jeszcze nigdy nie byłem tak szczęśliwym jak w téj chwili; — nie zwrócę mego dyplomu, — ziele znalazłem, a więc przystępuję do kuracyi. (*do Anieli*). Mam słowo Pani, że lékarstwo z mego przepisu przyjmiesz Pani bez wstrętu.

ANIELA.

Tak, jestem posłuszną.

P. ANTONI.

Odebrałem właśnie wiadomość, że przyjaciel mój Władysław, artysta, rybak i śpiewak w krótce tu przybędzie,— Mama pozwala, aby się z naszem gronem połączył, a jeżeli Pani przyjąć go raczysz za swego nadwornego malarza, to i na zawsze przy niéj zostać gotów; — oto próbka jego talentu (*pokazuje jej portret*) a razem dowód kim jego myśl zajęta.

ANIELA.

Prawdaż to Mamo! co Pan Antoni powiada.

HRABINA (*całując ją w czoło*).

Tak moję dziecię, dla twego szczęścia zezwoliłam już na wszystko, polegając z całą ufnością na radzie Pana Antoniego.

WŁADYSŁAW (*za sceną śpiewa*).

O gwiazdko moja! znowu mi świecisz,
Znów mi obecna postać twa!
Ach jakiż płomień w mém sercu niecisz,
I z oka znikła tęskna łza.
Mamże uwierzyć? — czy to złudzenie,
Że szczęścia mego nadszedł czas? —
Że ani niebios, ni wód przestrzenie
I nic już nie rozłączy nas. (*bis*).

ANIELA (*słucha z zajęciem i odurzeniem tego spiewu, w końcu omdlewa i wspiera się na ramieniu P. Antoniego, który klaszcze w ręce obracając się w stronę gdzie Władysław.— Władysław przybiega, całuje w rękę Hrabinę*).

WŁADYSŁAW (*do Hrabiny.*)

Pani! mamże wierzyć mojemu szczęściu?

HRABINA.

Tak Panie Władysławie! bez jego poświęcenia się, byłabym utraciła mą córkę, — niech więc sama będzie twoją nagrodą.

P. ANTONI (*oddając Anielę Władysławowi*).

A więc przyjmij z rąk moich ten serdeczny modelik.

ANIELA (*do Władysława*).

O mój wybawco!

P. ANTONI.

A co Pani Hrabino! czy nie wart jestem dyplomu na Archiatra? — za dotknięciem lekarstwa, uciekła słabość. (*do Władysława*) Ale, ale! znalazłem na poczcie list do ciebie adresowany i zabrałem go z sobą, a jest z dopiskiem, bardzo pilno. (*oddaje mu list*).

WŁADYSŁAW (*przerzuca list oczami*).

To od rządzcy majątku mego wuja, donosi że pan jego bardzo słaby, i wzywa mnie do powrotu.

P. ANTONI.

Otóż wiadomość nie w porę, że też to niema szczęścia czystego, musi go jakaś chmurka zamącić, — pokaż no z jakiéj daty (*odbiera list i przegląda*); — aleś nie czytał dopisku na stronie odwrotnéj, (*czyta*): właśnie w chwili kiedym ten list miał pieczętować, szanowny mój Pan i Dobrodziéj zakończył życie — (*wszyscy się zasmucają*) (*czyta daléj po cichu*) Ha! — tak się Bogu podobało, — straciłeś wuja i dobrodzieja, na pociechę masz tego anioła (*wskazując Anielę*) i dziedzictwo całego majątku, który ci testamentem zapisał: — winszuję ci z serca téj podwójnéj pociechy.

(*Władysław uściśnieniem dziękuje*).

P. ANTONI.

Żałoba wkrótce przeminie, a szczęście wasze znów zajaśnieje, podobnie jak ta góra Pyszna (*zaczyna się różowo oświecać góra w głębi sceny oddalona*) świadek naszéj radości i smutku razem, przed chwilą ciemna, teraz dla uczczenia naszéj uroczystości, przyodziewa się w purpurę.

KONIEC.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Świat zmęczony błędami i wątpieniami szuka trwałych podstaw moralnych.— Zwrót do katolicyzmu.— Przeobrażenie się nauk moralnych i umiejętności ścisłych. — Znaczenie poezyi w tym ruchu.— Poezya przodkujo w dziedzinie myśli. — Najwyższa poezyja czerpie w uczuciu i prawdach religii.

Bez wielkiego łamania głowy, wyjąwszy uparcie ślepych, można widzieć w całém społeczeństwie dzisiejszem, ruch coraz silniejszy ku powrotowi do punktu, z którego wyszło. Błędne koło wyraźnie się kończy, szczere szukanie prawdy zaczyna.

I jakiejże prawdy niedostaje spółeczeństwu, że się tak niepokoi? Jakaż potrzeba przyciska, mianowicie umysły oświeceńsze, dusze podnioślejsze, że te rezultaty na jakie patrzą nie cieszą, ani sycą?

Przecież umiejętność zrobiła szalone postępy; nauki przyrodzone doszły do kresu o jakim niemarzono, bo tak podniosły przemysł i rękodzieła, środki komunikacyjne i handel, że człowiek niemoże już narzekać żeby

wszystkie rozkosze ziemskie nie stały na jego zawołanie; a jednak zkądże ten niesmak i niepokój?—

Zkąd?— przyczyna jasna; oto umiejętność zastósowana do życia materyalnego nie może wystarczać człowiekowi w jakim kolwiek go stanie postawiła Opatrzność. Dusza ma również potrzeby i nieustannie domaga się zaspokojenia onych i w skutek tego nietylko istota moralna cierpi, ale i umysł choruje na czczość coraz większą.

Ani wątpić że duch ludzki popadł w czczość niezmierną odkąd z własnéj winy zerwał nić tradycyi i uronił prawdy istotne, dające życie jednostkom i całym narodom.

Zdawało się pysznym rozumom, że pod chorągwią racyonalizmu i skeptycyzmu mogą bezkarnie wywijać się sofizmami; a wszędzie w każdym przypadku stawić się wyżéj nad wiarę i zrywać z całą przeszłością. Szczególniéj wiek upłyniony zrobił sobie z tego lekkomyślną zabawkę; że zaś utrzymywał się kosztem tych prawd moralnych jakie dawniejsze wieki w życiu i obyczajach nagromadziły z tak mozolną pracą, przeto nieprzestawał igrać i dowcipkować niepatrząc na szkody późniejsze. Nasyciwszy się więc przyjemnościami rozpasanéj swobody, wyczerpawszy wszystkie zasoby rozpusty umysłowéj, pogrążył się w obojętność, albo raczéj zapałał pogardą dla wiary i dla głównych obowiązków.

Ostatnie katastrofy ośmnastego wieku, i w bieżącym, powtarzają się jeszcze konwulsyjnemi rzutami; anarchia głów przybiera na pozór inne, głębsze niby formy, ale w gruncie panuje ten sam błąd, ta sama ślepota, i to jest właśnie przyczyna dla czego miota nami ta sama obawa, dla czego pragnęlibyśmy ażeby prawdy moralne znalazły sposób usadowienia się na niewzruszonéj podstawie.

Jakoż społeczeństwo trwożone objawami niedającemi uspokojenia wewnętrznego, ucieczeż się o pomoc do racyonalizmu dla odbudowania ruin? Niepodobna; racyonalizm zdeskredytował się swoją filozofią i próbkami swych rządów. Któż, jeżli nie ten ojciec kłamstwa i wykrętu, popłodził te niezliczone systemata wywracane lada malutkiem doświadczeniem? Utopie racyonalizmu oparte na samych abstrakcyach obudzają dziś wstręt powszechny, i jeżli gdzie majaczą to w lichych artykułach tuzinkowych dzienniczków. Natomiast jaki taki woła o fakta pojedyncze, coby znalazły rozwiązanie w fakcie ogólnym, i o fakta ogólne któreby miały swoje potwierdzenie w prawie wszechświata. Tym więc obrotem idą rzeczy w sferze pomysłów.

Jak widzimy ta sama odbyła się rewolucya w umiejętnościach moralnych, jaka nieco przedtem zaszła w naukach przyrodniczych. Badacz wymaga aby położona zasada niebyła przypuszczeniem, ale opierała się na rzeczywistości; aby wypływała z doświadczenia i ścisłych badań; wszelka synteza za nic jest poczytana, jeżeli jéj niepoprzedziła analiza. Metoda analityczna wzięła górę, hipoteza nieśmie oczu pokazać, a przynajmniéj jeżeli występuje to podszywając się pod fakta, mniéj więcéj dowiedzione.

Niejeden zmordowany i złamany wątpliwościami, rzucił się na tę drogę, a jeżeli badania fiziologiczne i psychologiczne przyszły dziś do wziętości, jeżeli nauka historyi codzień nabiera większego znaczenia, jeżeli prace archeologiczne zamieniły się prawie w modę (bo któż się archeologią niebawi?), jeżeli mozolna badawczość zapuściła się w mroki najodleglejszéj starożytności gdzie przewiéwa popioły ludów i z lada śladu chce odbudować początki — tedy cały ten szał umiejętniczy wypływa z potrzeby dotarcia do pierwiastków życia ludzkości, z żądzy wniknienia w tajniki pierwszych zawiązków

społeczeństwa; słowem, jest to rodzaj instynktu, który nam szepce że jeżeli odkryjemy zkąd idziem, natenczas wiedzieć będziemy dokąd dążym.

Owóż w ten sposób umiejętność zmieniła swój przedmiot, a zarazem cały tryb postępowania; odtąd bowiem droga wywodowa główną gra rolę; z lada wskazówek danych rozwija się szereg nieskończonych wniosków. Ale raz zaplątawszy się w tę gmatwaninę wywodów, niemożna tak łatwo z niéj wybrnąć, a co gorsza niepodobna za daleko zapuszczać się w przeszłość, bo im głębsza, tem więcéj zacierają się wszelkie ślady, i tylko niepewność jak gęsta mgła na oceanie otacza śmiałego żeglarza. Z tych to przyczyn opanowuje gorętsze umysły niecierpliwość, które widząc że na drodze poszukiwań do pewników dojść niemogą, wielkim głosem wzywają na pomoc wiary.

Tak tedy czego badawczość rozumu niemogła otrzymać, mniemano że się znajdzie w natchnieniu. Badając tajemnice wszystkich wiar spodziewano się dojść do prawd pierwotnych; ale jeszcze większy powstał zamęt gdy zaczęto wszędzie widzieć symbole i tłumaczyć ich znaczenie, że w końcu nieledwo zrobiono religie wymysłem ludzkim. Oszukani w swoich zaciekach, upadli zasypując ruinami pole umiejętności.

Jak się przekonywamy, wszystkie władze duszy powołane zostały do odbudowania gmachu umiejętności moralnych; lecz tylko większy powstał nieład wyobrażeń, z których duch nasz nic niemoże ze sobą wynieść procz zwątpienia. Dzisiejsze też plemie zmęczone nadaremnemi wysileniami rozmaitych szkół filozoficznych, zawiedzione w nadziejach, któremi się karmi jeszcze drobna rzesza zwolenników— zwraca nakoniec myśli i uczucia do katolickiego kościoła, stojącego nienaruszenie i na silnym fundamencie pośród tysiącznych przewrotów dokonywających się w koło niego. Jaki taki niesyty

czczą umiejętnością, bo im więcéj jéj pochłaniał tém głód wewnętrzny się wzmagał, zaczął od kościoła dopominać się o przekonania dla rozumu, o pociechy dla serca, i o to wszystko za czem dusza tęskni, bo za jednością, trwałością i prawdą obowiązującą świat cały. Taki zwrot pojęć i umiejętności dokonywający się za naszych czasów, jest najwspanialszym owocem 19go wieku, wracającego na tor prawdziwy, odrabiającego złe, jakie się przez ciąg kilku wieków nagromadziło. Srednie wieki zaczynają znowu odkrywać się w całéj swojéj doskonałéj harmonii; porwane tradycye odszukują się, lecz nienato aby wracać do tych samych form jakie wyrobiły sobie w innym stanie cywilizacyi, bo to jest niepodobieństwem, ale do ducha, który przenikając społeczność dziś rozbitą, nada jéj nowy porządek trwały, bo oparty na wiekuistéj prawdzie, nową siłę, bo idącą z wysoka, głębszą jedność, bo nie na widokach ziemskich osnutą.

Kilkowiekową historyę pychy rozumu ludzkiego, starałem się podać w tym pobieżnym ustępie, ażeby mi to posłużyło do pokazania jak niewłaściwemi są dziś wszelkie wybryki tak zwanych: *wolnodumców*, którzy mają sobie za jakąś zasługę dla ludzkości podkopywać jéj wiarę, podsuwać wątpliwości, albo też w imie tak zwanéj prawdy historycznéj, lub ścisłości naukowéj, rzucać zaprzeczania uświęcone tradycyą, tym najwyższym historycznym faktem, na który wprawdzie niedostarczą cytat pomniki i autorowie, ale dostarcza wiara i sumienie narodów.

Krom tego miałem jeszcze i to na względzie, żeby objawiające się u nas wyższe i głębsze dążności, podciągnąć pod regułę, do jakiéj świat najbardziéj rozwiniętéj cywilizacyi tak stanowczo i tak wyraźnie powraca. Ci bowiem, co się u nas łudzą zwietrzałemi teoryami i systematami chrzczonemi mianem postępu, są właśnie

w opóźnieniu, wloką się za wiekiem 18tym — albowiem rzeczywisty postęp wyobrażeń i społecznych i politycznych i naukowych i literackich rozwija się na zupełnie innych warunkach i całkiem różne od spodziewanych przybiera formy. Wszędzie nurtujący protestancki racyonalizm, lub też gruby materyalizm nieuznający w świecie duchowym innych sił, prócz sił natury — oto są dwie główne formułki w jakich się lubią szańcować pyszne rozumy niechcące zrozumieć ducha wieku.

Są to istoty tak zakochane w sobie, tak upojone własną mądrością, iż nieuznają żadnej wyższej powagi choćby powagi samego Boga zstępującego na ziemię. Niedziw że lada prostaczek dalej widzi gołém okiem, niż oni przez teleskopy i mikroskopy. To pewna, że umiejętność źle przyjęta, wyradza niesłychaną pychę, mierzącą na skalę wzgardy i lekceważenia wszystko co się nie nadaje do jéj formułek. Tymczasem, nie ja to pierwszy mówię, ale tylu światłych mężów dowiodło że uprawiacze tej dzisiejszéj umiejętności daleko pośledniejszymi są od uczonych średnich wieków, którzy żadnej gałęzi nauki nieuprawiali i nie pojmowali w oderwaniu dla samej siebie ale ją odnosili do wielkiej jedności.— Uczeni, przed apostatycznym systematem Bakona i Kartezyusza, odkrywali przez intuicyę i przez pojmowanie się w jednej całości największe prawdy astronomiczne, fizyczne, matematyczne a odkrywszy dopiero sprawdzali je przez analizę — dziś przeciwny wzięły umiejętności kierunek: Analiza ma doprowadzić do rozwiązania najwyższych prawd — lecz dotąd podobnoś niedoprowadziła do niczego, tylko do systematyzowania, które nic nieodkrywa i do rozdrobnienia nauki na specyalne gałązki uprawiane same dla siebie, i jak sztuka dla sztuki, tak dla nauki nauka.— Takie odbieżanie od celu umiejętności daje więcéj pozorne niż rzeczywiste zdobycze, a co najgorsza: połowiczna ta mądrość rodzi pychę i tém samém zamyka sobie

bramy do wielkich prawd świata mających źródło w religii objawionéj; rzecz bowiem dowiedziona i sprawdzona, iż gruntowna, szeroko pojmowana umiejętność, jakkolwiek nadyma się wielkością spisanych tomów, a lekceważy mądrość Kościoła, niepozbywa się cech niedouczoności, jeżeli postawimy pewnik, że prawdziwa uczoność wolna jest od pychy niedowiarstwa.

Mimochodem potrąciłem o te ważne pytania, które w dojrzalszych krajach stanowczo już rozwiązane i w praktykę zamienione bywają. U nas mógłby je kto za wsteczną dążność poczytać, o co daleko łatwiéj, niż o głębsze zastanowienie się nad tym przedmiotem, — ry tem bardziéj, że błędna droga znajduje niezmierne poparcie w tém mnóstwie dzieł protestantów niemieckich, jakie zalewają księgarnie i służą za przewodników we wszystkich gałęziach nauk uprawianych u nas. Weźmy jedną tylko z tych nauk — filozofię i estetykę pomijam, bo w nich żywioł racyonalno protestancki rozsiada się w całéj pełności — ale weźmy historyę powszechną. W jakimże duchu znajdziemy ją pisaną? Oto zazwyczaj podania Mojżeszowe bywają zredukowane do małego znaczenia w porównaniu do podań aryjskich, czyli starohinduskich, albo też znowu do egipskich mysteryów, z zupełnem zaprzeczeniem, żeby pierwsze objawienie i tradycya kosmogoniczna miały się najczyściéj utrzymać między wybranym ludem: — to jeden tylko przykład — ale z niego wysnuwa się długi szereg błędów, które spotęgowane, skupiają się szczególniéj w średnich wiekach i nowożytnéj historyi gdzie mowa o reformie i jéj dobroczynnym wpływie na cywilizacyę. — Niepotrzeba mówić jaki zamęt wyobrażeń rodzi się z tak podanych dziejów, w których prawie zawsze wypływa na wierzch idea fatalizmu, a wpływ myśli bożéj redukuje się do bardzo małego znaczenia.

W krótkim tym rysie stanu wyobrażeń chciałem streścić ten moment dzisiejszego przejścia od zużytych doktryn do tych, co mają zaród nieśmiertelnego życia. Praca ta dokonywa się i wewnętrznie i na zewnątrz. Wprawdzie głębokie jakieś cierpienie widzieć się daje w społeczeństwie europejskiem, i wszelkiém ucywilizowaném, które niczem innem nie jest, tylko zwątpieniem. Wszelako ten niepokój, ten niesmak, ta ustawna chęć zmiany, smutne cechy dni naszych, smutniejsze przepowiednie na przyszłość, nie powinnyby przy głębszem zastanowieniu się, odejmować wszelką wiarę w lepszość; przeciwnie, piękniejsze obudzać nadzieje. Już samo zwątpienie, ten rak społeczny, przebyło kolej kilku przeobrażeń — w upłynionym wieku widzieliśmy jak człowiek religijnie i obyczajowie wychowany psuł się wciągając w siebie wątpienia i szyderstwa owczesnej filozofii libertyńskiéj; wątpienie jego miało przynajmniej jakiś cel, o którym niewątpił, to jest: zburzenie tradycyi i instytucyi kościoła i monarchii; — przeciwnie za nowszych czasów widzimy jak człowiek zmęczony błędami i szaleństwami zaczyna powątpiewać o tych samych doktrynach, które poślubił był z takim zapałem, i wiedziony instynktem szuka dokoła siebie prawdy aby się mógł na niej oprzeć i wytchnąć duszy złamanéj tylokrotnemi zawody. Nasi ojcowie toczyli się po lekkiéj ale niebezpiecznéj pochyłości wiodącéj ich do zepsucia obyczajów, do zupełnego rozbratu z kościołem i do oddalenia się od prostego ludu który wierzył po staremu i mówił po staremu; dzisiejsze społeczeństwo obrachowawszy poniesione szkody zaczyna się opamiętywać i wraca do religii i moralności, a zatem do pomyślności publicznéj i prywatnej. — Zapewne nie idzie to tak śpiesznie jak szło zepsucie, bo ostatniemu zazwyczaj wszystko pomaga — ale ważąc ze sobą przymioty dawniejszego i dzisiejszego społeczeństwa podług opowia-

dań i opisów jakie nas doszły, niemożna powiedzieć, żeby się nienaprawiło wiele stron życia.

Już nie od dziś głębsi dostrzegacze przepowiedzieli tę restauracyą religijno moralną. Ogromne wstrząśnienia polityczne przebiegające w początkach tego wieku cały ląd europejski, zdawały się odbierać wszelkie prawdopodobieństwo aby kiedykolwiek miano pomyśleć o odbudowaniu społeczeństwa na zasadach religii; a jednak kolej wypadków cudownie snuta w widokach Opatrzności, stwierdza tę przepowiednię. Zbrodnie i błędy dokonane przez wyznawców fałszywéj filozofii, muszą być odrobione na każdem polu: czy politycznem, czy społeczeńskiém, czy naukowem, czy literackiem. Świat idzie do tego tak wyraźnie drogą nakreśloną palcem Opatrzności, że wątpić dziś o tem, niepodobna, choćby kto dostarczył stosy przeciwnych temu argumentów branych z życia — argumenta mogą być prawdziwe i ważne, ale zawsze niesięgające miarą swoją do wyższych kolei jakiemi Opatrzność prowadzi ród ludzki; kto bowiem chce badać społeczeństwo, i z minionych lub bieżących wypadków czytać przyszłość, powinien się wzbić o wiele wyżej nad poziom ziemskich zajęć, ażeby tym sposobem uniknąć mnóstwa szczegółków i wyjątków, ustępu nie brać za poemat, sceny za skończoną trilogię dramatu, i niedać się oszukać na proporcyi i naturze zdarzeń; — co spotyka zazwyczaj wszelkie rozumowania które obrawszy sobie ciasny punkcik widzenia, i to na płaszczyźnie, zostają zasypane pyłem kurzawy wzniecowznieconej pochodem spraw świata. Jeżeli nam idzie o to abyśmy z jakąkolwiek pewnością odgadywać mogli przyszłość społeczeństwa, niespuszczajmyż z oka tak pochodu i rozwijania się wyobrażeń, jak kierunku uczuć, niemniej niepomijajmy ważnych faktów, wszakże nie takich, co najwięcéj robią hałasu lub sieją blasku, ale co mają największą doniosność i co każą się spodziewać

najszerszych wpływów. — Inaczéj postępować byłoby to jedno co z jednej sceny sądzić o planie i układzie całego dramatu, lub co ideę lub uczucie poety na równi stawić z materyalnem narzędziem służącem do wydania jego pomysłów.

Poezyja, zwiastun zwykle najwcześniejszy, każdego nowego zwrotu w dziedzinie wyobrażeń i uczuć, z końcem już zeszłego wieku zaczęła przyodziewać szatę religijności.

Karpiński, który pozostał najwierniejszym staroświeckiej narodowéj tradycyi odzywał się śród dowcipujących i przedrwiwających spiewaków Stanisławowskich tonem wyższego nastroju i od niego poważna ta lutnia dostała się Wroniczowi, który żeby się utrzymać na tem stanowisku musiał je podciągnąć pod chwałę i nieszczęścia nowego Sionu. — Odtąd to wyżéj, to niżéj gra ciągle ta nuta tak zgodna z wewnętrznem usposobieniem słuchaczy; lubo, w nowszych czasach nie sam tylko elegiczny żywioł przemaga w religijnej poezyi, ale że tak powiem wielki duch katolicki rozpościera się przez wszystkie rodzaje sztuki, i odzyskuje ją dla téj idei najgłębszéj w narodzie. Zwrót ten rehabilitujący sztukę, na który mało w ogóle dawano baczenia i zastanawiano się nad jego ważnością, lepiej tłumaczy bieg rzeczy niż najgłośniejsze zdarzenia, i daleko pewniejsze na przyszłość zapewnia korzyści niż wszelkie kombinacye mędrców rozprawiających o nowéj organizacyi a raczej dezorganizacyi społeczeństwa. Ludzie są niczem fakta wszystkiem. Człowiecze zamiary rozwiewają s ę jak mgła przy silnym wietrze, a Opatrzność ma upodobanie pokazywać ułomność i nicość tych dzieł którym pycha ludzka naznaczała ogromną wagę i obiecywała nieprzemienną trwałość.

Alež mógłby na to kto powiedzieć, że poezyja niezasługuje na takie względy badacza, który przedsięwziął

roztrząsnąć stan społeczności i w przyszłość zaglądnąć? Poezyja, przecież to nie coś tak żywotnego jak n. p. rolnictwo, przemysł, handel? Poezyja, to tylko obłoczek przelatujący po błękicie; to rodzaj snu na jawie, to płód exaltacyi i zapału biorący za wzór do swoich tworów kaprysy wyobraźni — i mogłażby poezyja reprezentować jakąś rzeczywistość żywotną, dawać najmniejszy punkt oparcia, służyć za kompas dla oznaczenia kierunków i dążeń wieku? Rzucaż ona choć promyk nadziei na wzrastające pokolenie, lejeż gojący balsam na pokolenie zstępujące do grobu? Cóż to jest ta poezyja: Gdzie jest, pokażcie nam? kto ją znał, kto określił jéj granice — kto jéj naturę wytłumaczył? — Czy podobna, aby czczy cień, widmo karmiące się mżonkami, przemykające się śród nas w nieprzejrzystej i tajemniczej zasłonie, opromienione światłością niebiańską, w któréj jak w źwierciedle odbijają się wspaniałości ziemi — aby zjawisko to napowietrzne miało jakiś wpływ na losy ludów, losy, które jedynie powinnyby zależyć od potęg rzeczywistych, dotykalnych? — Takie rozumowanie co dzień się słyszy, i nic w tym dziwnego; dla znacznéj bowiem części tak zwanych światłych ludzi, społeczność jest niczem innem tylko zbiorowiskiem jednostek połączonych ze sobą jedynie na podstawie potrzeb materyalnych; dla nich serce człowieka to machina do rachunków; dla nich piękność duchowa nieistnieje; dla nich wszystko marzeniem: uniesienia cnoty i zgryzoty występku; dla nich nakoniec kolebka bez ułud, grób bez nadziei. Ależ puste te gadania — giną w wspaniałéj harmonii łączącéj religię z ludzkością, niebo z ziemią, Boga z człowiekiem. Głos wyższej prawdy zawsze odnosi zwycięstwo nad jadowitym sykiem praktycznego materyalisty, podobnie jak zatruty oddech gadu zagłuszają balsamiczne wonie bujnej roślinności na Wschodzie. — Cóż ztąd że poezyja nie da się ściśle określić jak ma-

tematyczne twierdzenie? Czyż dla tego przestanie być rzeczywistością i to wysokiego znaczenia? Któż umiał określić i wytłumaczyć serce matki? a mimo tego serce matki nie należy do urojen fantazyi.— Maleńki to człowiek co wszystko chce definiować i tłumaczyć; ciasny to umysł który niepozwala na żaden fakt jeżeli mu się przedstawia w uroczem idealnem okoleniu. Taki niezna ani natury, ani serca, ani ducha człowieka; krótki wzrok jego mógł się utopić w jakiej gałązce umiejętności, ale nigdy niezdołał objąć harmonijnego drzewa nauki; zaledwie zobaczył kilka gzemsów i kawałek kolumny, a jemu się zdaje że patrzy na ogromny fronton i ogarnia całą budowę.

Ktokolwiek obrabia pytania odnoszące się do poezyi, moralności lub religii a uczucie pomija, ktokolwiek z cerklem w ręku przechadza się śród tworów natchnień i serca, niemniej jest śmiesznym jak ten, coby twierdził iż najlepszą metodą w rozwiązywaniu zagadnień wysokiej matematyki jest spuszczenie się na własną wyobraźnię lub na popęd uczuciowy. Dosyć mi wiedzieć że poezyja jest swobodnym wylewem duszy, natchnieniem tajemniczem wyrażajacem się na zewnątrz harmonijnemi słowy, malującem z miłością przepychy natury, sceny z życia, i lejącem w te obrazy wzruszenia i uczucia ich charakterowi odpowiedne. Poezyja krom tego zdobywa się na ideały, stwarza nowy świat odkryty w chwili boskiego natchnienia, i odsłaniając go oczom naszym wlewa do serc urok nieznany. — To wszystko wystarcza przecież, aby przyznać poezyi ważność nieposlednią, aby ją policzyć do rzędu rzeczywistości gdzie powinna zajmować wysokie miejsce śród objawów przedstawiających stan społeczny, lub pozwalających na pewniejsze wnioski o tajemnicach przyszłości.

Niebo też niema rzeczywistszego i prawdziwszego jak to cośmy uczuli, żadne też wyrażenie się nie bywa czyst-

szem i prawdziwszem jak słowo wyrzucone ogniem wyobraźni i zapału. Bynajmniej niechcę tu powiedzieć aby tylko sami poeci tworzyli kwiat spółeczeństwa i w ręku trzymali losy innych śmiertelnych — Przeciwnie, spółeczeństwo tworzy poetów; społeczeństwo użycza im natchnienia, powierza im swoje potrzeby, napełnia ich swemi wyobrażeniami i uczuciami; a kiedy mniemamy że się poddają wyłącznie swemu natchnieniu i uniesieniu, kiedy w ich tworach postrzegamy piętno indywidualnego ich geniuszu, charakteru lub fantazyi, pokaże się mimo tego że wyrażali tylko pomysły, uczucia, typy, marzenia, oryginalności tego społeczeństwa w pośród którego żyli i śpiewali. Jeżeli zaś w języku ich poetycznym trudno poznać żyjące typy, to jedynie dla tego, że język ten nie zawsze bywa zrozumiały pospolitej rzeszy, że prawdy spółeczne w uściech piewcy zamieniają się w szczytne dźwięki, że przedmioty codzienne umieją ubrać się szatę spaniałych form, że nakoniec myśl ogółu, przechodząc na ich własność tak się wydelikatnia, tak pięknieje, iż tylko podnioślejsze umysły są w stanie pojmować poetę do głębi.

Widoczna rzecz, iż człowiekowi niepodobna usunąć się od wpływu spółeczeństwa pośród którego żyje, jak niepodobna niechcieć oddychać otaczającem go powietrzem. Największe geniusze nie mogły się od tego wyzwolić, nawet gdy uderzali na spółczesnych, gdy chcieli towarzystwu nadać przeciwny kierunek — zawsze byli żywym organem potrzeb ogółu. Powszechnie twierdzą o wielkich geniuszach, jako niekiedy zmieniali pochód spółeczeństw; a tym sposobem wpływowi jednego człowieka przyznawano ogromne wypadki. Niezewszystkiem godzę się na to; niezaprzeczając bowiem wielkich wpływów geniuszu na zmiany religijne i polityczne, mam przekonanie, iż w téj mierze panuje przesada, albowiem pojawienie się takich ludzi nadzwyczajnych

było zawsze prawie wynikiem nadzwyczajnych okoliczności w jakich zostawała społeczność; oni zaś na to są aby rozwijać jej wyobrażenia i uczucia lub w rzeczywistość pragnienia i dążności zamieniać. Możnaby z historyą w ręku usprawiedliwić tę uwagę; czytając ją bowiem z zastanowieniem się, widzimy nieraz, jak mierni częstokroć ludzie zmieniali fizyonomię jakiego narodu lub wielu narodów.

Opatrzność prowadzi ród ludzki drogami nakreślonemi w przedwiecznym planie: ludzie talentem i cnotami siejący dobre ziarno na ziemi, dają się przyrównać do gwiazd przychylnych pod któremi rodzą się szczęśliwi; przeciwnie burzyciele świata podobni są do komet przebiegających strop niebieski i budzących złowrogie przeczucia.

Aczkolwiek uwagi te mogą się zastósować do wszelkiego rodzaju wpływów, jednakowoż głównie stosują się do poezyi. Co powiedziałem, głównie zmierzało do pokazania jak żywy wyraz, prawie najżywszy, społeczeństwa, mieści się w poecie, i jak twory jego są prostym wynikiem otaczających go przedmiotów, zdarzeń i ludzi.

Od tych ogólnych postrzeżeń radbym się przenieść na pole czysto literackie, ażeby niepomówiono mię, iż zbyt długo przebywam w sferze marzeń, przypuszczeń śmiałych oddalonych od praktyki i rzeczywistości.

Obszerne byłoby tu pole pomówić o wpływie Mickiewicza na wyobrażenia i uczucia narodu — lecz niezbędne szczegóły i przykłady zaprowadziłyby dalej, niż zakres dowodzenia pozwala, a zresztą wpływu ocenić nie można dopóki takowy trwa i zapewne nierychło skończy się, jak sława i wziętość wieszcza.

Co zaś najważniejsza, dzisiejsze starsze pokolenie patrzało własnemi oczyma na tę zmianę, za dotknięciem różczki czarodziejskiej dokonaną — patrzało i czuło

w sobie jak się nowy świat w piersi tworzył, jak topniały zlodowaciałe formułki poosadzane w głowach i sercach przez naśladownictwo zwietrzałych wzorów. — Tylu żyjących niezapomniało zapewne wrażenia jakiego na sobie doznać musieli, gdy duch ich skrzydeł dostawał, a serce otwierało się do saméj głębi....

To był pierwszy cud poezyi, oczy otwarły się na prawdę i zaczęły ją szukać i tęsknić do niej..... a duch począł snować ze siebie.

Odtąd zwrót do katolicyzmu w literaturze i w rzeczywistości stał się wyraźniejszym, szczerszym i głębszym, choć jeszcze majaczyły i majaczą teorye pychy rozumowéj przybranéj w szatę erudycyi.

Z drugiej strony możemy się poszczycić niejednym utworem ducha katolickiego tak nierozłącznie spojonego z istotą narodu, że choćby przedmiot opiewał nawet obce, odległe dzieje, ze świata który przeminął historycznie i prawie stał się idealnym, nadludzkim wielkością cnót i poświęceń się — to przecież wszystko wydaje się w nim tak sympatyczne, tak nam znajome, tak trafiające do potrzeb serca, tak wyobrażeniom odpowiedne, że nazwać by go można naszym światem, naszą poezyą, choć w niej niewidać ani karabel, ani kontuszów, ani brzęku kielichów węgrzyna.

Nie formy, nie koloryt są najgłówniejszą cechą poezyi narodowéj, ale idea jaka ją przenika.

Kilka słów dłuższych o *Felicycie* Odyńca, o któréj dam sprawozdanie w następnym przeglądzie, może myśl tę lepiej wyjaśni i udowodni.

Lucyan Siemieński.

ZACHWIANE PRZYMIERZE.

Zamachowi morderczemu 14go stycznia przypisują zachwianie się przymierza angielsko-francuzkiego. Ztąd pewna obawa cechuje sytuacyę polityczną europejską. Czy rzeczywiście temu zbrodniczemu wypadkowi należy się przypisywać wyłącznie to tak ważne polityczne następstwo?... Czy przymierze między Anglią a Francyą było silne, skoro je zachwiać zdołały umiarkowane i nader oględne żądania gabinetu tuleryjskiego postawione w nocie hr. Walewskiego z d. 20 stycznia?.... Czy w dzisiejszem położeniu politycznem Europy, obawy z powodu osłabienia jakiegokolwiek przymierza, dadzą się wytłumaczyć bez przypuszczenia zmiany całego systematu przyjętego przez wszystkie wielkie mocarstwa europejskie?...

O przymierzach nie da się powiedzieć to co la Bruyère o przyjaźni powiedział. Według moralisty francuzkiego, gdyby się kto dwóch przyjaciół zapytał: czemu żyją w przyjaźni? nie znaleźliby innéj odpowiedzi tylko: „ponieważ to on, ponieważ to ja.“ W przyjaźni,

niema innéj przyczyny, a nawet inaczéj być nie powinno, jeżeli przyjaźń jest rzeczywistą, prawdziwą. Wszelka inna przyczyna uczyni ją interesowaną, niepozwoli rokować o poświęceniu się, a najszlachetniejsze nawet uczucia jakoto wdzięczność, albo inne skazówki jak rożnica charakterów lub podobieństwo ich, nie dadzą wnosić o jéj trwałości.

Rzecz się ma całkiem przeciwnie w przymierzach. Tu przyczyna czyli cel przymierza musi być bardzo wyraźnie wytkniętą aby przymierze mogło być silnem i rzeczywistem. Trwa też zwykle tak długo jak długo istnieje owa przyczyna. Gdy przyczyna ustała lub cel dopiętym został, przymierze samo z siebie się rozprzęga. Autor broszury „Cóż poczniemy?“ (*Quid faciamus nos?*) która się ukazała z początkiem tego roku i zwróciła na siebie uwagę w politycznym świecie, bardzo dobrze zastósował tę prawdę do tak zwanego świętego przymierza.

Przymierze to ustało, bo nie ma przyczyny dla czegoby dłużéj trwało. Przyczyną tego potrójnego przymierza nie były wypadki z końca wieku ostatniego. Wypadki te były tylko interesem, który owe trzy mocarstwa mógł niekiedy wiązać z sobą, ale w danym razie mógł także rozdzielać. Tę własność posiada bowiem każdy interes pojedynczy państwu właściwy. Tożsamość interesów ani ich przeciwieństwo, nie są podstawą, na któréj przymierze długo istnieć może. Interesa mogą zawiązać chwilowe przymierza, ale ich długo utrzymać niepotrafią. Przymierze święte nieustało z obaleniem potęgi Napoleona, bo nieustała zasada, która je skojarzyła. Europa zdawała się być podzieloną na dwa obozy: zachowawczy i rewolucyjny. Francya pomimo wszelkich usiłowań Restauracyi i Ludwika Filipa nosiła rewolucyjną na sobie cechę. W obec usiłowań skojarzenia poczwórnego przymierza na Zachodzie, stało niezachwia-

nie przymierze święte na Północy. Wypadki r. 1848 nie byłyby go zachwiały, gdyby nie ów ruch polityczny a raczéj społeczny, który cały kierunek oddał w ręce państwa. Cesarstwo Francuzkie usunęło przyczynę przymierza świętego, a z nią i samo przymierze.

Zadziwiać może, że autor wspomnionéj broszury, który tak dokładnie ocenił i przyczyny i ważność przymierza świętego, szuka potem bez żadnego powodu przymierza dla Prus, i upatruje konieczność takowego w przymierzu z Anglią; ponieważ zaś to mu niewystarcza, żąda aby i Austrya z Anglią zawarła przymierze. Wykazuje bardzo trafnie niebezpieczeństwa przymierzy Prus z Rosyą, z Francyą, tudzież Austryi z Rosyą lub z Francyą; z szczerością niezwykłą wpublicystyce niemieckiéj oświadcza niepodobieństwo przymierza między Prusami a Austryą bez pośrednictwa Anglii. Lecz pomimo całéj subtelności w rozumowaniu trudno się dopatrzeć celu téj pracy, to jest przyczyny dla któréj Prusy i Austrya zawrzeć mają przymierze z Anglią. Przewidzenie że Prusy niezdołałyby się same oprzeć Rosyi lub Francyi, że wrazie napadu niepotrafiłyby obronić same swych rozległych granic, nie jest dostateczne, bo ewentualności podobne niekojarzą przymierzy, a zresztą autor wie doskonale, że w dzisiejszém położeniu rzeczy, napad jednego mocarstwa na drugie nie jest prawdopodobny bez ogólnego wstrząśnienia, że wojna tak odległa jak wojna wschodnia wywołała cztery przymierza zanim do skutku przyszła. Utworzenie nowéj równowagi w środkowéj Europie za pomocą angielskiego drążka, również wydaje się niepotrzebném, w chwili gdy solidarność przyjęta przez wszystkie wielkie mocarstwa równowagę zastąpić usiłuje. Nie wykazał więc autor przyczyny proponowanego przymierza, pomimo że tak dobrze osądził ustanie świętego przymierza, a co większa przewidział jak się zdaje zachwianie się przymierza francuzko-angielskiego.

Przymierze to było silne dopóki cel osiągnięty nie został, dla którego je zawarto. Szło o zrównoważenie Rosyi, i to nastąpiło. Jeżeli nie nastąpiło przez wojnę, to nastąpiło przez następstwa. Rosya wstąpiwszy na drogę reform, rozpocząwszy tak olbrzymie u siebie zmiany, odpowiedziała życzeniom państw zachodnich. Może stać się znów kiedyś potęgą zbyt przeważną dla Zachodu; w téj chwili taką nie jest. Główna więc przyczyna przymierza Francyi z Anglią usunięta. Jakież mogą być inne? Nie łatwo je znaleść. Interes cywilizacyi, to wyraz pięknie brzmiący, ale zbyt elastyczny, aby na nim oprzeć przymierze. Na wszystkich innych punktach, na których spotyka się polityka tych dwóch państw, widzimy interesa różne jeżeli nie całkiem sprzeczne. Każdego uważającego pilnie tok wypadków od podpisania pokoju paryzkiego, uderzać musi, ile to trzeba było zachodów kwoli utrzymania tego przymierza. Jakże ono bliskiém było zerwania przed wizytą w Osborne lub po zjeździe Wejmarskim! Indye, powiedzieć można, musiały mu przyjść w pomoc. Owóż jak wówczas Indye, tak dziś podobno przyszedł mu w pomoc zamach d. 14go stycznia. Jak wówczas sprawa Indyjska skłaniała Anglię do koncesyj, tak dziś następstwa zamachu sa pobudką dla rządu francuzkiego do pobłażania wybrykom opinii angielskiéj i nieprzychylnym mocyom Parlamentu, do uwzględnienia owéj anomalii jaka istnieje w Anglii, między jéj polityką wewnętrzną i zewnętrzną.

Self government i idea państwa z trudnością pogodzić się dadzą w przymierzu, gdzie działanie ogranicza się na ogólnym kierunku politycznym czyli na notach dyplomatycznych. Skoro ustaje działanie czyli wojna w jednym i wyraźnym celu podjęta, występują sprzeczne interesa a zasady biorą górę. Tak się dzieje w Anglii.— W broszurze p. n. „Napoleon III i Anglia“ nie wytknięto celu dla angielsko francuzkiego przymierza. Widać

tam onego potrzebę w obec Rosyi, to też było silne i stateczne. Lecz późniéj słabło ono widocznie, a lojalne i wspaniałe postępowanie Francyi najlepszym tego dowodem. Wdzięczność do któréj bezsprzecznie Anglia poczuwać się winna, jest w przymierzach tylko ciężarem, trwałości więc ani siły przywięzywać do niéj niepodobna. I przymierze było też tak słabem, że dla utrzymania go Anglia czyli jéj parlament, niebyłby poświęcił jednego tryumfu, że całe przymierze nie mogło utrzymać ani chwili lorda Palmerstona, jakkolwiek zwracał bardzo wyraźnie uwagę Izb na następstwa, jakieby postępowanie przeciwne Francyi sprowadzić mogło. Nie zamach przeto 14 stycznia czyli nota hr. Walewskiego zachwiała przymierze francuzko-angielskie, ale jedynie posłużyła ona do wykrycia słabości przymierza, i dla tego zdaje się, iż może byłoby polityczniejszym krokiem żadnéj niepodawać noty.

Wszakże i w przypuszczeniu zachwiania się przymierza między Anglią a Francyą, obawa jaka ogarnęła Europę, każe się domyślać, iż systemat dzisiejszy nie pozyskał jeszcze wielkiego zaufania w opinii. W systemacie bowiem solidarności, konferencyj wielkich mocarstw, przymierza nie mają i niemogą mieć tego znaczenia co dawniéj. Nie może być przymierz zasadniczych, jakie istniały dawniéj, jakiém było przymierze święte. Wszystkie państwa przyjęły te same zasady. Pozostają interesa właściwe każdemu państwu. Stąd przymierza mogą być tylko chwilowe, ani tak wielkich następstw zerwanie ich pociągnąć za sobą nie może. Jeżeli się więc przymierze rozchodzi, czyż stąd ma nastąpić wojna?— Dziś zerwanie stosunków dyplomatycznych nie pociąga jeszcze za sobą wojny. Mianożby się obawiać nowych koalicyj i europejskiego zamięszania? Natedy, po cóż konferencye? Zgoła, w cóżby się obrócił cały polityczny systemat dopiero co w życie wprowadzony, zabezpiecza-

jący spokojność Europy, rozstrzygający wszystkie kwestye na polu zgody i porozumienia, gdyby zachwianie się jednego przymierza miało zniweczyć całą tę ogromną i sztuczną budowę, unieważnić wyroki najwyższego politycznego trybunału, i to wszystko zanim jeszcze pierwszy jego dekret, to jest traktat paryski wejdzie w wykonanie?...

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w marcu.

Zbliżają się święta Wielkanocne, najważniejsza w roku epoka gospodyń naszych. Czem popis publiczny dla studenta, bal dla młodéj dziewczyny, koncert dla artysty, tem dla gospodyń domu Święcone. Czemże są wszakże dzisiejsze święta wielkanocne w porównaniu z dawnemi, choćby nawet nie dawniejszemi nad te, których wspomnienia nasze dziecinne sięgają? Przygotowania do nich mało na miesiąc wprzódy rozpoczęte, w miarę zbliżania się stanowczego dnia rozszerzały swój zakres we wszystkich gałęziach sztuki kucharskiéj, piekarskiej i cukierniczéj. Święcone bywało téż prawdziwym popisem dla gospodyni, która po niezmordowanéj pracy znajdowała najwyższą nagrodę w wewnętrznem przekonaniu, że się jéj Święcone udało; a jeżeli goście głośno przyznawali jéj tę zaletę, to niebrała tego za pochlebstwo, lecz za szczery hołd uznania. Bo skoro sama była zadowoloną, to mogła być pewną, że i najwybredniejszy nie znajdzie nic do zarzucenia. Dziś pochwała dana gospodyni — nie gospodyni, lecz pani domu, bo

ze zmianą charakteru zmieniła się i słusznie nazwa, — dziś pochwala taka byłaby śmieszną, bo wolno tylko podziwiać kucharza lub zazdrościć pełnéj kieszeni, która może mieć na zawołanie co zażąda. Dziś pani domu winna tylko umieć gości przyjmować; dawniéj gospodyni musiała umieć także podejmować ich. Fraszki wszystkie nowoczesne dzieła gastronomiczne takiego Vaersta, Rumohra, Brillat Savarin itp. fraszki książki kucharskie i kalendarskie recepty i sposoby. Co tu pomogą rozbiory i opisy dobrego jadła pierwszych, albo recepty i przepisy drugich, kiedy niezastąpią one nauki praktycznéj, nabywanéj za młodu przy boku matki i zbogaconéj własnem wieloletniem doświadczeniem. Gdzież może się obeznać z kuchnią i piecem dzisiejsza córka, która na pensyi przepędza lata dziecinne, a młodość przy fortepianie, nad romansem francuzkim, przed zwierciadłem, lub w kole wielbicieli? Poszedłszy za mąż, gospodarstwo domowe staje się jéj ciężarem, który zwala na służbę, a jeśli ją nie stać na to, aby się zupełnie od niego uchyliła, to ogranicza je do zaopatrzenia najniezbędniejszych potrzeb. Dla tego bardziéj jéj na rękę złożyć święcone z przedmiotów gotowo zakupionych, albo też niedawać wcale Święconego, zowiąc je zwyczajem przestarzałym, nieledwie barbarzyńskim, aniżeli suszyć głowę i trudzić ręce nad wymysłami stołu. Wprawdzie niewolno naganiać oszczędności, jeśli takowa jedynie i głównie kieruje zastawą stołu wielkanocnego; wszakże tam gdzie z łatwością ponoszone bywają daleko zbytkowniejsze wydatki niż te, jakich wymaga gościnność i zachowanie starodawnego obyczaju, uchylać się od nich nie należy.

Niejedna z czytelniczek ze zgrozą to przeczyta, obwiniając mię o zamysł skazania jéj na wieczny żywot w kuchni i śpiżarni. Wiem ja wprawdzie że Amor w kołczanie swoim nie nosi rożnów ani nawet widelców; wiem, że Hymen nie zapala pochodni swéj przy kuchennem ognisku; lecz z drugiéj strony wiem i to, że tony fortepianu nie mają potęgi Orfeuszowéj zdolnéj poruszać kamienie.

Swięcone choćby było zastawione w całéj pr stocie zaściankowego życia lub w całéj skromności szlacheckiego dworku, powinno nosić na sobie niezaprzeczone ślady domowego pochodzenia i umiejętnéj ręki gospo-

dyni, która je urządzała, inaczéj bowiem nie będzie Święconem, lecz śniadaniem *à la fourchette*. Otóż, śniadanie można mieć każdego dnia na zawołanie, czy to u siebie, czy w traktyerni lub winiarni; święcone zaś raz tylko na rok, i to w domu gospodarskim i gospodarnym. Śniadanie można zjeść z lada kim, z pierwszym lepszym znajomym, najczęściéj zaś jada się je z tym, z którym nas chwilowy interes styka; święconego zaś jeść z kim innym niemożna, a przynajmniéj nie należy, prócz z krewnymi i przyjaciołmi. Jeśli kogo nie śmiemy kupić albo wynagrodzić błahym datkiem, a nie stać nas, byśmy go sowicie zapłacili, albo też gdy pieniężnie wynagrodzić go nie warto, wtedy częstuje się go śniadaniem. Śniadanie można zjeść nawet z faktorem, który nam się stara o pożyczenie pieniędzy; ale jajkiem wielkanocném dzielimy się z tym tylko, z którymbyśmy i sercem dzielić się mogli. W miarę więc jak Święcone oddala się od staropolskiéj cechy swojéj, a zbliża się do zwykłego śniadania wystawnego, głębsza myśl onego nietylko religijna, ale i społeczna zaciera się i znika, tak, iż dziś nie każdemu już z nas jest zrozumiała.

Obchód świąt Wielkanocnych obok znaczenia swego religijnego ma jeszcze, u nas zwłaszcza, właściwy sobie tradycyjny obyczaj, którego zachowanie nie jest rzeczą błahą, jeśli się zważy, iż to jeden z téj małéj liczby obrzędów zwyczajowych, który się jeszcze jako tako utrzymuje. Zawdzięcza on tę swoją trwałość połączeniu swemu z obrzędem kościelnym, bo wiadomo że te zwyczaje najdłużéj się utrzymują, które się pod skrzydła wiary schroniły. Wiek przeszły, który z takim pośpiechem rugował pojęcia religijne, obyczajowe i społeczne, najsilniejszy również cios zadał zwyczajom i obrzędom od wieków niewzruszonym. Tam gdzie filantropia zastąpiła religią, kosmopolityzm zastąpić musiał narodowość. Późniejsze czasy dokonywały tylko dzieła przeobrażenia, a późne opamiętanie się wywołało restauracyę, która dziś z troskliwością drobiazgową chwyta za najsłabsze resztki tradycyi, chcąc z nich wysnować nić nieprzerwaną. W pracy téj restauracyjnéj chwytamy często fałszywy wątek i dziwimy się że nam się rwie pod ręką. Tym fałszywym wątkiem są czasy Stanisła-

wowskie, te właśnie czasy, w których całą spuściznę tradycyjną potargano i wyrzucono na śmieci.

Zepsucie jakie ogarnęło wówczas górne warstwy towarzystwa nie doszło wprawdzie jeszcze do cichego zakątka, lecz w zakątku tym nieznane i na wielką widownię świata niewydobywające się czyny, skromne, domowe cnoty zamierały niedostrzeżone, bez przeważnego wpływu i bez znaczenia. Natomiast jaskrawsze postacie ludzi publicznych, bezczelne tłumy awanturników i awanturnic, burdy i pijaki tak pod książęcą mitrą nieświezką jak i pod szlachecką czapką na bakier, albo upudrowaną peruką dworaka, rozgłośne zyskiwały imię. Takie też postacie ukazały się oczom cudzoziemców, którzy z nich o całości sąd wydawali, takie postacie przechowały się w opowiadaniach i podaniach i posłużyły nowoczesnym pisarzom za jedyny przedmiot wdzięczny dla ich pióra. Wyrzutków społeczeństwa wzięto za bohaterów powieści i za typy narodowe; na scenę wyprowadzono kontusz jako główne znamię głupoty i gburowatości. A przecież Fredro, Papkina nie w kontuszu lecz we francuzkim fraku, nie przy szabli lecz ze szpadką przedstawił; Bohomolec w swoich „Kawalerach modnych“ lokaja Marcina przebrawszy za kawalera Martiniera, pokazał go jako wzór „dobrego tonu“.

Jan Nep. Kamiński wielką wyrządził krzywdę sztuce dramatycznéj, że chwytając z wiedeńskich przedmieściowych teatrów tak zwane „obrazy z życia“, i przestrajając mieszczan w kontusze, i nazwiska osób spolszczając, dawał na scenę przez co błędne wpajał pojęcia i w aktorów i w publiczność. Zlepki jego dramatyczne gdyby był je podał w surowéj formie oryginału, byłyby może tylko nudne, przerobione zaś i niby zastósowane do miejsca stały się gorszącemi. Mieliśmy tu niestety przykłady tego rodzaju, a protestacya publiczna wyraziła się z oburzeniem, które powtarzać tu zbytecznie, ale zapisać nie zawadzi jako wypadek kroniki marca.

Tutejszy teatr zmuszony jeszcze do koczowniczego życia, nie zdoła przez zimową nawet krótką porę karmić nowościami publiczność, bo te nowości tak u nas rzadkie jak gdzieindziéj arcydzieła dramatyczne. Gdyby odrzucić przeżyłe, i już dzisiejszym wymaganiom nieodpowiednie numera biblioteki teatralnéj, gdyby usunąć kil-

ka niestarzejących się dzieł, lecz niezmordowanych wymagających studyów i wzorowego aż do wszystkich szczegółów obsadzenia, to pozostanie tak szczupły repertoar, że trudno nim zapełnić tę nawet małą liczbę wieczorów zimowych, które ma teatr polski wolne. — Przyznajemy, że wymagania są większe, niż sposoby ich zaspokojenia, że scena polska lubo nie młodsza od niemieckiéj, nie ma tyle sprzyjających swojemu wzrostowi żywiołów, że tam gdzie niema ludnych i gęstych miast, teatr nie ma dla siebie karmi, że gdzie praca autorska nie znajduje jeszcze w zakresie dzieł dramatycznych wynagrodzenia stojącego na równi przynajmniéj z innym rodzajem zarobku umysłowego, potrzeba nietylko niepohamowanego popędu wewnętrznego, aby na téj ubożuchnéj niwie chcieć zbierać owoce, ale nadto odwagi narażenia dzieła swego na nieudolne przedstawienie. Nie idąc w porównanie z teatrami mającemi od parę wieków obfitą literaturę swoją, możemy nietracić nadziei patrząc jak młodą jest teatralna literatura niemiecka. Pół wieku bytu jéj niespełna, a przedtem żywiła się tak jak i my cudzoziemskim teatrem lub dyalogami swojskiemi.

Historya teatru w Polsce, nie wspomina nic o komedyantach angielskich, którzy się popisywali w Krakowie w pierwszych latach 17go wieku, a znajdujemy ciekawą pod tym względem wzmiankę w Ferdynanda Mikowca historyi teatru w Pradze. Mówi on, że Arcyksiąże Karol biskup wrocławski pisze 18 marca 1617 r. w Nissie list do kardynała Franciszka Dietrichstein biskupa Ołomunieckiego, polecając mu „komedyantów angielskich“, którzy jeszcze za życia matki jego w Gradcu uczciwie i przyzwoicie na wielką pociechę i zabawę komedye wyprawiali, a teraz z Polski, gdzie się u JKMci przez kilka miesięcy popisywali, opatrzeni królewskiemi listy polecającemi i dobremi świadectwami przybywają“, raczy więc kardynał dozwolić im „w miastach swoich wyprawiać zręczności i *comicos actus*“. Pierwszym z tych wędrownych aktorów angielskich był Spencer, który jako katolik zmuszony opuścić Anglię, grywał po dworach książęcych i biskupich i po miastach w Niemczech, a i do Polski zawitał. Grywał on poprzednio na dworze biskupa passawskiego, potem w Gradcu, gdzie jak świadczy Arcyks. Marya, dawano następujące przedstawienia:

„Syn marnotrawny“, „Doctor Faustus“, „Ktoś i nikt“, „Fortunat Mieszek“, „Żyd“, Król Ludwik i król Fryderyk (?) węgierski“, „Król Cypryjski i książę Wenecki“, „O Bogaczu i Łazarzu“.

Otóż takie teatra wędrowne jak to bywało przed półtrzecia wiekiem, istnieją dotąd jeszcze w Polsce; one jedne niemal są reprezentantami sztuki dramatycznéj i rozkrzewiaczami wielkich myśli Szekspira i rubasznych żartów Kamińskiego po małych miasteczkach. Rekrutując się po szerokim świecie z niedouczonych młodzików, lub chybionych gieniuszów, przedstawiają w składzie swoim najróżnorodniejsze żywioły, które dopiero próba ma wprowadzić w karby posłuszeństwa suflerowi i w ład artystyczny. Zdarza się wprawdzie, że tu i owdzie jakiś rodzimy talent wytryśnie, ale ażeby ten surowy brylant zajaśniał całym blaskiem, potrzeba mu przejść przez ręce i toczydło umiejętnego szlifierza.

Zdając sprawę w dzienniku z każdego przedstawienia na tutejszéj scenie, wypadłoby tu chyba zebrać sam rdzeń spostrzeżeń nad grą i repertoarem w ciągu tego miesiąca. Niewdzięczna praca, obowiązek zaprawdę smutny, z pod którego chętnie wyłamujemy się. Teatr wszelako to jedno z głównych zajęć wieczorów zimowych, a w tym właśnie miesiącu tak przeważnie owładnął towarzystwo krakowskie, że niepoprzestając na widowiskach publicznych, dawano jeszcze widowiska prywatne. Mówić o nich nie mamy prawa, bo nie ubliżając porównaniem, nie jest jeszcze ten clownem, kto dla rozrywki lub zdrowia ćwiczy się w gimnastyce w swoim pokoju. —

W szeregu tegomiesięcznych zajęć ważną gra rolę Wystawa obrazów Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. Liczy ona do dwustu sztuk, między któremi niemasz wprawdzie dzieł górujących wszystkiemi zaletami kompozycyi i wykonania, dzieł takich około których skupia się podziw wszystkich; wszelako jest wiele obrazów prawdziwej dobroci, które nietylko wygrać warto na losowaniu, ale i kupić się godzi. Znaleźli się też amatorowie na niejeden, a liczba ich byłaby niezawodnie większą gdyby przedmioty odpowiadały żądaniu nabywców. Trudno zaprawdę wymagać od zagranicznych

artystów, aby nasze motywa obierali za przedmiot obrazów swoich, malarze zaś krajowi nielicznemi pracami swemi wystawę tę ozdobili. Malarstwo należy niewątpliwie do sztuk bardzo kosmopolitycznych; wszelako co komu z nas po Zuawie z bronią do attaku, mogąc mieć w téj saméj pozycyi innego dzielnego wojaka? Ten co nie kupi widoku rynku Halberstadzkiego, kupiłby niezawodnie widok rynku krakowskiego. Prawdziwe tylko arcydzieła nie mają swojéj krajowości a wartość ich w każdem miejscu i w każdym czasie nic nie utraca. Wieśniaczek włoskich, jezior i gór szwajcarskich, miast holenderskich pełno wszędzie, nie tylko po galeryach ale i po handlach obrazów; może jeden taki obraz troche lepszy od drugiego, ale to wszystko jak towar jarmarczny po sto tuzinów na jedną miarę. Patrzemy co rok na malowane Rotterdamy i Amsterdamy, widzimy co rok te same szarozielone fale morskie, poznajemy nawet przeszłorocznych znajomych w owych majerheimowskich „scenach z życia wiejskiego“, i zaczynają dla nas obojętnieć najsumienniejsze studya powtarzających się motywów. Może w niejednym takim obrazie jest coś doskonalszego niż w drugim, lecz przeszedłszy się po sali i rzuciwszy okiem na ten i ów obraz, mimowolnie nasuwa się na usta, słowo: „znam to już“ i niezwraca się więcéj na to uwagi, jak na znajomego, którego spotkawszy raz na rynku powita się, ale za drugiem i trzeciem spotkaniem ani się na niego nie spojrzy.

Za to tem skwapliwiéj biegnie się na wystawie do nowości: nowy przedmiot, nieznany pędzel, odmienny ton obrazu nęci ku sobie i zajmuje. Cóż dopiero jeśli się z tém wszystkiem łączy prawdziwa wyższość! Dziwna rzecz, że artyści cudzoziemscy, co każdą piędź ziemi w Europie po sto razy z różnych stron odmalowali, co sportretowali niemal wszystkie typy ludów na kuli ziemskiej, co nieprzepuścili ani jednemu kamyczkowi wodospadów, ani jednéj pochylonéj chałupie lub rozszczepanemu drzewu, i teraz nie mają nic do roboty jak tylko kopiować się nawzajem,—nie zairzeli jeszcze do naszych żydowskich miasteczek, zapadłych chat, do karczem pełnych gwaru i życia, bardziéj malowniczych niż spokojem milcząca izba flamandzka. Wyrównały się wodospady pod Szafuzą, ale jeszcze Dunajec nasz hu-

czy spieniony nierówném łożyskiem; wydeptane przez turystów Alpy zabudowały się już hotelami, ale w Karpatach dzika jeszcze natura i szałas goralski godzien pędzla artysty. Kiedy malarze nasi krajowi po utorowanéj ścieżce szukają natchnienia, i włoskiem słońcem lub arabskiemi piaskami psują sobie słabe oczy pod szarem wychowane niebem, to któż się ujmie za temi darami przyrodzenia, których i nam Pan Bóg nieskąpił?

Wiedeń w marcu.

Roger pierwszy tenor opery paryskiéj i gość w murach tutejszych od dni kilkunastu, przyćmił do tego stopnia wszystkie inne wypadki, o których zdać sprawę w niniejszej kronice miałem zamiar, że jeżeli nie o nim tylko samym mówić, to przynajmniéj od niego zacząć muszę. Przybył on tu poprzedzony znakomitą sławą, którą zjednał sobie od dawna w Paryżu i którą późniéj opinia publiczna w Anglii i Niemczech, gdzie występował w ostatnich latach, głośno i pisemnie potwierdziła. Ciekawość ogólna podniesiona przeto była, jak pojmiecie łatwo, do najwyższego stopnia. Przeciwnicy, na których wielkim artystom nie brakło nigdy, rozgłaszali od dawna, że Roger unikał w swych wycieczkach zareńskich, Wiednia, obawiając się porównania z artystami tutejszymi i przez wzgląd na surowość sądu, wysoko w świecie muzykalnym sławiącéj się tutejszéj publiczności. O ile wieści te i tym podobne były oparte na złości i fałszu, dowiódł tego tryumfalny pobyt znakomitego artysty pomiędzy nami, i żal ogólny, że nadchodząca opera włoska niepozwoliła ani p. Rogerowi, ani publiczności dłużéj widywać się i cieszyć wzajemnemi oznakami czci i zadowolnienia, na scenie niemieckiéj. Istotna przyczyna odwlekanego ciągle powołania p. Rogera do Wiednia, leżała w dawnéj dyrekcyi teatru tutejszéj opery. Zmiana dyrekcyi usunęła te przeszkody, i publiczność potwierdziła pełnem zapału i uniesienia przyjęciem znakomitego artysty i sąd reszty Europy o jego talencie, i głos podziękowania wynurzony przez dzienniki nowemu dyrektorowi p. Eckert, że go acz na czas

krótki, dla sceny tutejszéj zdobyć potrafił. Opisać w szczegółowem ocenieniu zalety p. Rogera, jako śpiewaka i aktora, i wrażenie jakie zrobił w ośmiu przedstawieniach na tłumnie co wieczór zebranéj publiczności, byłoby raczéj przedmiotem długiéj rozprawy, niż prostego listu. To pewna, i wszystkie dzienniki powtórzyły jedno i to samo stałe, wyraźne i ogólne zdanie, że jako tenor, Roger przy głosie jeszcze świeżym, czystym, rozciągłym i wypracowanym przez ćwiczenie, uczucie i wyborny smak do najwyższego stopnia, ma niezrównaną delikatność i głębokość muzykalnego pojęcia i rzadką między śpiewakami trafność i wyniosłość estetycznego uczucia; że jest przytem artystą dramatycznym pierwszego rzędu, art stą godnym Talmy i Racheli, i w dziejach teatrów poświęconych muzyce, jeśli nie jedynym od dawna, to przynajmniéj rzadkim. Akcya i śpiew, nóta i gest, intonacya nawet gra muszkułów twarzy, są we wszystkich rolach p. Rogera połączone w jedną całość, w jeden żyjący organizm, w jedne duchem wyższym natchnione objawienie. P. Saphir w wybornym swym artykule ocenił go z tego punktu z całą zręcznością swego pióra i talentu. Roger ma nad innymi tenorami i tę wyższość, że wystarcza wymagalnościom rozmaitéj muzyki i gry artystycznéj. Stworzył rolę „Proroka“ i jest w niéj tak doskonałym, jak w „*Damie białéj*“ i we wszystkich operach które prawdziwy opery komicznéj można powiedzieć twórca, p. Auber, dawał mu dawniéj, jedne po drugich przez lat kilkanaście do przedstawienia, i w których Roger czarował i zachwycał Paryż cały. Widziałem w „*Hugonotach*“ tworcę roli „Raoula“ sławnego Nourit i potem Duprez, i wyznaję śmiało, że Roger w téj trójcy, jeśli nie pierwsze, to drugie zajmie miejsce. Dwom poprzednim wielkim bezwątpienia artystom brakowało tych darów któremi natura i wychowanie odznaczają ludzi od siebie. Z twarzy, z postawy, z układu, z ruchów, Roger na scenie pozostaje tym czém jest w towarzystwie, to jest człowiekiem miłym, ujmującym i prawdziwie, jak mówią Francuzi *comme il faut*. Wrażenie jakie sprawił przy pierwszem ukazaniu się, było tem więcéj porywające i ogólne, że publiczność miała przed oczyma liczne punkta porównania, we własnych artystach. Po ośmiu przedstawieniach,

dziś na odjeździe p. Roger, może uważać za większe jeszcze zwycięstwo, przekonanie jakie zostawia we wszystkich sferach, że stał się wzorem i przykładem nie tylko śpiewu i gry, ale nawet deklamacyi i wymawiania w języku niemieckim. Czy artyści krajowi z tego skorzystają, czas pokaże. Publiczności, dyrekcyi i dziennikom, oddać wszakże trzeba tę sprawiedliwość, że szczerze i otwarcie, nie zważając na miłość własną i inne podrzędne powody, wypowiedziały owe uwielbienie dla talentu przybywającego z zagranicy. NN. Państwo tak hojni w swych względach dla artystów równie jak cała dostojna rodzina cesarska potwierdzili sąd ogólny i oklaskami danemi publicznie i uprzejmem przyjęciem jakie znalazł p. Roger na koncercie w salonach Arcyksiężnéj Zofii. N. Pan rozmawiał z nim długo nietylko o przyjemnościach i zaletach jego talentu, ale w ogólności o kierunku artystycznym muzyki i śpiewu, w zastósowaniu do wielkich scen narodowych. Kto wié, jakie ten przelotny pobyt Rogera w Wiedniu będzie miał skutki na dalsze losy artystyczne Opery tutejszéj, którą hojność cesarska tak świetnie utrzymuje pod względem materyalnym. Że ulepszenia są konieczne, o tem nikt niewątpił i teraz tem mniéj wątpić może. Z życzeniem popraw łączy się nadzieja, że p. Roger w roku przyszłym na czas dłuższy do Opery tutejszéj zawezwanym zostanie. Tymczasem p. Roger przepędzi jeszcze jeden miesiąc w tryumfalnych uroczystościach które czekają nań w Peszcie i w Bernie, i wróci potem do Paryża dla pokrzepienia zapewne narodowéj sceny po upadku z jakim się spotkała, tak głośno zapowiadana „*Magicienne*“ nowa Opera p. Halevy.

Oddawszy cześć należną sławnemu śpiewakowi dramatycznemu, przechodzę do drugiéj czysto dramatycznéj sławy, którąśmy uwielbiali przed przybyciem p. Rogera, do pani Ristori. Bawiła tą razą w Wiedniu miesiąc, i dała w *Carltheater* dwanaście przedstawień. P. Nestroy dyrektor płacił jéj za każde po 1000 złr. W porównaniu z wydatkami pani Ristori jako podróżującéj z całą kompanią, to nie wiele: lecz strata dla p. Nestroya pokazała się znaczną. Czemu przypisać to nieprzewidziane przez najbieglejszego z przedsiębiorców tutejszych teatralnych, niepowodzenie? Czy wyborowi sztuk przed-

stawionych, czy składowi artystycznéj kompanii, czy zaspokojonéj już w poprzednich latach ciekawości, czy nareszcie spokojniejszemu ocenieniu talentu pani Ristori, lub co gorsza, chyleniu się rzeczywiście ku upadkowi tej tak szybko wyrosłej wielkości? Między sztukami danemi tą razą przez p. Ristori było wprawdzie nie mało już znanych; ale było również kilka zupełnie nowych i wprost dla niéj napisanych. „*Medea*“ w przeszłym roku wywołała tu oklaski ogólne, więcéj artystce niż autorowi sztuki przynależne. W tym roku sprawiła słabsze i zimniejsze wrażenie. „*Camma*“, utwór niepospolity pod względem piękności wiersza i wzniosłości stylu, nieprzyłożyła do korony artystycznéj pani Ristori nowych wawrzynów. Paryż pokazał się w tej mierze hojniejszym lub łatwiejszym. Publiczność wiedeńska znalazła w sztuce brak dramatycznego interesu, w grze pani Ristori zbytek chęci panowania swą osobą na scenie, i w następstwie smutną konieczność zastępowania mimiką effektów wynikających z saméj akcyi i z układu sytuacyj dramatycznych. Ten system który pani Ristori przyjęła w części, może ze źle pojętéj miłości własnéj, w części z braku wyższych talentów w osobach ją otaczających, pokazał się jeszcze smutniejszym i sprawił jeszcze gorsze wrażenie w „Fedrze“, przerobionéj w tłumaczeniu w sposób trudny do rozpoznania nieśmiertelnéj wielkości oryginału. Pani Ristori w tej sztuce, jak prawie we wszystkich innych, jest ciągle na scenie i w ciągłych monologach. Inne osoby mijają się przy niej, jak pokojowa służba. W „Judycie“ p. Marojeni młody artysta z Neapolu, uwalnia się w części od tego kłopotu, ale nie podnosi bynajmniéj wartości słabéj pod wielu względami roli którą gra sama p. Ristori. Jest w obec przesady i pewna rubaszność. Jednem słowem zastanawiając się tego roku bliżéj nad talentem i powołaniem artystycznem p. Ristori, zdaje mi się, że publiczność przyjęła zdanie, którem ja utworzył sobie przy pierwszym jeszcze pobycie téj artystki w Wiedniu, to jest, że talent jéj lubo znakomity, nie ma głębszego wykształcenia estetycznego, lecz jest tylko wielkim i szczęśliwym darem natury i pracy; i że powołanie artystyczne zamknęło się w gonitwie za pieniędzmi i oklaskami. Jest to wprawdzie cel który mieli

i mają przed oczyma prawie wszyscy wielcy artyści. Któż jednak nieprzyzna, że T lma i Rachel doszli do tego nie zostawiając na stronie ani postępu sztuki, ani własnego wzniesienia się do doskonałości, do ideału. I dla tego tak Talma jak Rachel stali się żywem uosobieniem wielkich figur tragedyi klasycznéj. Pani Ristori trzyma się na granicy która przedziela tę tragedyę od dramatów lub tragedyj tegoczesnego kroju. Jest nawet wyższą w pierwszych niż w ostatnich. Uderza i porywa chwilowo umysły działając na oczy i nerwy; ale niepodnosi ducha do sfer wyższych idealnéj, klasycznéj piękności. Na téj drodze postęp nawet byłby upadkiem. Pani Ristori wróciéby raczéj powinna do źródła dobrych wzorów i wznioślejszych natchnień. Lecz czas i potrzeba naglą ją do trwania w teraźniejszem swem przedsięwzięciu. Szkoda i wielka szkoda, gdyż jest jedyną kapłanką w téj chwili świątyni Talii i Melpomeny.

Za dni kilka otwiera się Opera włoska. *Impressario* znany ze swéj gorliwości, zebrał kompanię dobrą i jest nadzieja, że amatorowie muzyki przepędzą przyjemnie trzy następne miesiące.

W innych teatrach ciągła mierność. Koncertów pełno. Sławny Liszt da w sali redutowéj dwa wielkie że tak powiem przedstawienia swéj Mszy odegranéj po raz pierwszy w Granie przy poświęceniu kościoła katedralnego. Publiczność przyjęła ten płód z oklaskami. Znawcy mówią o nim ze skromnemi pochwałami.

Poznań w marcu.

Doszedł nakoniec do księgarń tutejszych drugi poczet improwizacyi i poezyi Deotymy wydany w Warszawie nakładem Orgelbranda. Oczekiwaliśmy go z niecierpliwością i ciekawością natężoną, gdyż głos młodéj poetki, który przed kilkoma laty tak hucznem rozległ się był echem po całéj przestrzeni kraju, od dwóch lat prawie był umilkł, i tylko niekiedy w rzadkich improwizacyach i w ulotnych poezyach dawał się słyszeć, uchwycony przez pisma publiczne. Wiedzieliśmy że owe

poniedziałkowe zebrania, na których prawie co tydzień tworzyły się nowe pieśni na zadane temata, przerwane zostały. Troskliwość jéj zacnych rodziców do walki tu wystąpić musiała z wrodzoną gościnnością; ta druga odmawiać nie śmiała uraczania zbierających się gości tem co ich dom miał najprzedniejszego do ofiarowania, to jest natchnienia ich córki, lecz pierwsza wzniecała w nich obawę, aby to natchnienie nie zużyło się, nie spowszedniało. Wiedzieliśmy więc, że Deotyma weszła była niejako w nową epokę swego talentu, że chce zastanawiać się nad sztuką, czerpać natchnienia i tworzyć nie w obec rozciekawionéj publiczności, lecz prawie w samotności, i bardzo upragnieni byliśmy poznania utworów téj nowéj epoki. Wiedzieliśmy nakoniec, że obrawszy sobie Piasta za bohatera rozleglejszego poematu, pracowała nad nim, i wyrobić go usiłowała; spodziewaliśmy się więc, że jak Piast stał się głową rodu królewskiego, który taką chwałą zasłynął i rozpoczął długi poczet władzców polskich, tak i ten poemat stanie na czele szeregu innych prac tego rodzaju, które jeszcze głośniejszą i trwalszą pozyskają sławę od utworów przed piastowskich. Oczekiwanie nasze zawiedzionem zostało. Nowo wydane improwizacye i poezye nie pochodzą z téj nowéj epoki Deotymy, lecz z lat, które ją poprzedziły. Mała z nich liczba jest oznaczona rokiem 1856 i 1857, inne z lat 1853, 54 i 55 podają metryki urodzenia. Choć spis ich przejrzany okazał nam, że wiele z nich już poprzednio znaliśmy z pism publicznych, przecież z obudzonem zajęciem wzięliśmy się do ich odczytania, a do czytania tych którycheśmy dotąd nie znali. To zajęcie nasze podniesione zostało równie nadzieją miłych wrażeń, jak chęcią przekonania się o postępie młodéj wieszczki, o wyrobieniu do jakiego doszła, o stopniowem rozwijaniu się jéj strony uczuciowéj, o odmianie jaka może zaszła w jéj myślach i w wyborze farb i kształtów; szczególniéj zaś chcieliśmy z troskliwością śledzić, czyli jej wyobrażenia religijne stały się dla nas jaśniejsze, wyraźniejsze, czyli się oczyściły z mętów filozofii niemieckiéj i wynurzyły z obłoków mistycznych marzeń.

Nim w tym względzie wyjawię wrażenie dziś doznane i zdanie na niem oparte, pozwolę sobie uczynić wy-

znanie co do sposobu jakiemu zawsze wierny byłem, oceniania tego nadzwyczajnego zjawiska, które Deotymy nazwę przybrało. Sięgnę więc myślą w przeszłość, w ową porę, w któréj to zjawisko zaczęło się objawiać i ściągać uwagę na siebie. W roku 1851 znalazłszy się w Warszawie usłyszałem o zadziwiającym darze poetycznym i improwizacyjnym szesnastoletniéj dziewicy, i żywo zapragnąłem przekonać się o nim. Był to pierwszy rok jéj głośniejszego natchnienia: zaledwie z niem dwa czy trzy razy była wystąpiła w obec liczniejszego zgromadzenia. Nie zawsze jeszcze do improwizacyi usposobioną bywała. Traf przyjazny mi zdarzył, iż jednego poniedziałkowego wieczoru, w którym gościłem w domu jéj rodziców, okazała się skłonną do przemówienia. Czytała ona w owym właśnie czasie wiele podróży i zajętą była rozmaitością jaka w naturze w różnych krajach i sferach na morzu i lądzie zachwyca. Gdy więc zażądała tematu, wybrano następujący: *Burza na morzu, burza na ziemi, burza w duszy.* Wyznaję szczerze, że gdy improwizatorka po krótkim bardzo namyśle wystąpiła do improwizacyi, stanąłem obok niéj z nieufnością, z niewiarą, co więcéj z obawą że za wzorem wielu poetów współczesnych ubiegając się za nadzwyczajnością i wymuszoną oryginalnością, wpadnie w odmęt myśli niedowarzonych, słów niezrozumiałych, utrudnionych pośpiechem nieprzygotowanego natchnienia, i okowami rymów, i że z nich albo nic wcale, albo mało co zrozumiem. Gdy jednak odezwała się jasnemi i gładkiemi wyrazami, gdy myśli przystępne każdego pojęciu bez chwili spoczynku tłómaczyła, gdy wiele z nich uderzyło mnie nowością i świeżością, gdy nie jeden poetyczny obraz przedstawił mi się; w miarę postępującéj improwizacyi rósł mój podziw, a gdy ta się zakończyła, znikła zupełnie nieufność i niewiara, aby miejsca ustąpić milszym dla duszy uczuciom. W owym czasie jeszcze usłużne pióro stenografa nie chwytało słów lotnych improwizatorki aby je przenosić na papier, słuchali wszyscy, nikt ich nie spisywał. Improwizacya ta zachowaną nie została, ułamek jéj tylko wydrukowany znalazłem w pierwszym tomie poezyj Deotymy z tytułem *Burza w pustyni, urywek napisany ze wspomnień improwizacyi.* Nie taję więc, byłem jednym z tych, którzy

pierwsi ulegli silnemu wrażeniu wywołanemu przez nadzwyczajne usposobienie i zdolności poetyczne zaledwie w życie wstępującéj dziewicy. Wrażenie to wzmagało się w miarę jak dochodziły nas utwory jéj z owéj początkowéj epoki. Jako to *Lilia, Pielgrzym, Krucyaty, Wiosna, Ptak niebieski, Taniec.* To niezwykłe zjawisko obudziło wkrótce powszechne zajęcie. Nie wyłączali się od niego znawcy i pisarze pochyleni wiekiem, których wyobrażenia literackie odmienne od dziś panujących były, których duch w innym kierunku odznaczył się działaniem, którzy byli niesmak do większéj części płodów współczesnéj literatury powzięli, a którzy nie postradawszy uczucia tego co jest pięknem, i zdolności oceniania płodów wyższego daru poetycznego, z zadziwieniem a razem z troskliwością niejako ojcowską spoglądali na to objawiające się młodociane natchnienie. Niektórzy nawet z tych zasłużonych starców ozwali się do wieszczki dźwiękami swych lutni dawno od publiczności niesłyszanemi, dźwiękami przychylności, zachęty i rady.

W roku następnym za przybyciem do Warszawy zastałem Deotymę wśród największéj bujności natchnienia, wśród pierwszego blasku pozyskanéj słynności; brzmiały jéj imieniem i prawdziwem Jadwigi i przybranem Deotymy dzienniki warszawskie, chwytały skwapliwie każdy jéj utwór i w swych kolumnach ogłaszały. Powtarzały się też niemal co tydzień improwizacye, i wtenczas to usłyszeliśmy wiersz o *Snycerstwie*, *Kamienie*. *Gieniusz, Franciszkę de Rimini, Sen.* Znajdował się owéj zimy w Warszawie jeden ze znawców poezyi ojczystéj najwznioślejszym duchem, gorącą duszą i wyobraźnią a razem wybornem estetycznem czuciem i smakiem obdarzony; znawca który nietylko cudzą zasługę oceniać, ale nadto zwykł się nią radować, którego umysł więcéj ujmują piękności i zalety dzieł sztuki, aniżeli rażą błędy i wady, a który przecież z rzadką przenikliwością spostrzega je i wskazuje. Nie znał on ani autorki, ani jéj utworów; gdy mu te ostatnie poznać dano, tak się niemi zajął, tak uderzony był nadzwyczajnością zjawiska, iż kilkakrotnie wyraził się o niem, w słowach pełnych znaczenia i wielce trafnych, które chwytane i powtarzane były. I tak raz w uniesieniu zawołał: „*To portentum*

rzymskie, głowa dziecięcia przemówiła;" znowu raz rzekł: „*To nie dziewczę lecz przez dziewczę mówi*". A gdy przeczytał jedną z tych poezyi, w któréj żadnego błysku uczucia nie można było dostrzedz, tylko myśl śmiałością odznaczającą się i dążność do saméj wiedzy, powiedział: „*To Göthe — ale Göthe dziewica i do tego ośmnastoletnia, to coś przerażającego*". Mimo te chwilowe uniesienia, z bystrością sądu właściwą sobie spostrzegł on zaraz i wady ówczesne tego niezwykłego talentu, i kierunek jaki się zdawał chcieć obrać i ku któremu był popchnięty, i niebezpieczeństwo jakie mu groziło. Widząc ile już młoda poetka zaczerpała z naukowych wiadomości, i jak niemi często zawsze prawie w poezyach swych posiłkowała sobie, lękał się aby erudycya nie zabiła w niéj natchnienia. Widząc jéj umysł tak spragniony wiedzy, przewidywał, że się rozwijać będzie ze stratą serca, i że wiedza przygasi uczucie. Uważając jéj poetyczną wybujałość obawiał się aby nie wpadła w zbytnią jaskrawość kolorów, i albo w wymuszoność albo w przesadę. Wyrażał on nakoniec obawę, aby przyjęty system improwizowania w obec tłumu nie zmęczył jéj ducha, nie wywarł na niego szkodliwego wpływu. Mimo te spostrzeżenia oceniał on całą świeżość, całe bogactwo daru poetycznego dziewicy. I w istocie zadziwiającą była poetka równie zaletami jak i wadami które jéj natchnienie odznaczały. Zadziwiająca nowością myśli, obrotem jaki im nadawała, poprawnością języka, władzą jaką nad nim osiągnęła, łatwością tworzenia. Zadziwiająca także brakiem przymiotów umysłowi niewiasty a szczególniéj młodéj dziewicy najwłaściwszym, pogardą tego wdzięku, prostoty i tkliwości, które zwykle kobiece i młodociane utwory znamionują, wyraźną żądzą wiedzy, a nie wyraźnem oznaczeniem przekonania religijnego, i uśpieniem nie jednego uczucia, które się zwykle w młodem sercu najpierwsze rodzi. Tych błędów i wad dostrzedz można było, bo doskonałość nie jest udziałem dzieł ludzkich, lecz zniknąć one mogły przy pomocy stósownéj krytyki. Cóż rozumiem przez stósowną krytykę? Oto najprzód tę, któraby najszczerszą przychylnością natchnioną była, któraby nie zrazić, nie wstrzymać, ale zachęcić i na drogę prawdy skierować usiłowała, któraby wymierzając wszelką sprawie-

dliwość nie wahała się wywnętrzyć się z całego przekonania, lecz któraby doradzała, napominała jak czułość rozsądnych rodziców, jak przyjaźń prawdziwego przyjaciela, nakazujące kochać bez ślepoty i strofować z miłością. Takiéj krytyki potrzebowała, takiéj nie znalazła Deotyma w Warszawie w owym czasie, jeżeli pokątnie dawały się słyszeć różne uwagi i mniéj przychylne spostrzeżenia, jawnie nikt z niemi nie występował. Żyła poetka wśród wrzawy oklasków, wśród dymu kurzących się trybularzy, wśród hołdu sztuk wszystkich i poezyi i malarstwa i rytownictwa i muzyki. Pierwszy *Przegląd poznański* wystąpił z rozumowaną i dobrze napisaną recenzyą, lecz która może nie tyle niedostateczność uczucia przychylności okazywała, jak niechęć dla zbytecznych pochwał których wówczas nie szczędzono poetce. Spadły następnie gradem różne krytyki i recenzye, zbyteczną nacechowane surowością a nawet niesprawiedliwością. Żadna więc z nich pożądanego skutku wyprowadzić nie mogła. Że Deotyma wyższym obdarzona jest umysłem, że poezya jest jéj potrzebą, jéj życiem, mamy w tem oczywisty dowód, gdyż jéj ani zbytnie pochwały i hołdy, rozgłos w świecie polskim zyskany, w dumę tak dziś zwyczajną nie wzbiły, ani niesprawiedliwość krytyki nie zraziła i nie obudziła żadnego żalu i urazy. Zamilkła ona po niéj na chwilę, ale nie przerwała milczenia na to aby się odezwać skargą zranionéj miłości własnéj, ani też nie wezwała, nie przyjęła, jak się to czasem dzieje, obrony przesadnych chwalców, koszlawych i niezręcznych obrońców, więcéj szkody jak korzyści przynoszących.

Zbyt może rozciągnąłem się nad przeszłością naszéj poetki, lecz chciałem oznaczyć dokładnie stanowisko z jakiego się na jéj talent przywykłem zapatrywać, chciałem wybitnem uczynić to przejęcie się moje jego wartością, i tę przychylność jaką tchnę dla niego, ażeby przystępując do niektórych uwag nad nowo wydanemi Deotymy utworami, mogłem to przekonanie wrazić, że je nasuwa mi najszczersza życzliwość i troskliwość o dalszą jéj przyszłość poetyczną.

Zastanowiwszy się więc nad temi utworami, nabyłem przeświadczenia, że żadna wyraźna zmiana nie nastąpiła w usposobieniu ducha autorki, ani w wyborze form,

ani w sposobie władania narzędziami jakie sztuka podaje. Z żalem szczególniéj wyznam, że nie spostrzegam dotąd wyrobionego i na skale niewzruszonéj opartego przekonania religijnego, któremby zachwiać nie zdołały żadne z różnych stron wiejące podmuchy. Przebijają się w niem bowiem jeszcze zachwycone przedwcześnie wyobrażenia filozofii niemieckiéj i marzycielstwa mistycznego, jak o tem przekonywamy się z wiersza: *Podróż myśli w świat dziejowy*, który cały tchnie temi wyobrażeniami. Gdzie dowiadujemy się że obecnie błysła piąta era.

Gdzie filozofia lśni skarby bożemi.

Że Postęp odwrócił wzrok autorki od téj ery i wyrzekł te słowa:

I szósta era błyśnie ci choć blada,
Bo widzi przyszłość, kto obecność zbada.

I że téj ery

A któż określi jéj rajskie ponęty,
W niéj ludzkość cała, jest jak jeden święty.

Że nakoniec w niéj doskonałość ducha

Będzie syntezą wiary i rozumu.

Nie potrzebuję tu żadnemu wyznawcy prawdy katolickiéj wykazywać niewłaściwości tych myśli. Niewyznawcy zaś nie przekonam. Nadmienię tylko, że gdyby nastąpiła synteza wiary i rozumu, zgasłaby wiara, bo przestałaby być zasługą.

A w wierszu *Miłość Mądrości*, czy nie woła poetka a raczéj filozofka

Mądrość to w człowieku Bóg!

Czy nie przepowiada na téj ziemi, jakiegoś wymarzonego nieba trzeciego, które zwiastować nam będziesz na tęczy siedm darów o Ty mądrości Paraklecie! Kiedy

wiara nas od dawna nauczyła, że duch pocieszyciel już przeszło od dziewiętnastu wieków zstąpił na ród ludzki, i zlał na niego siedm darów. A cóż powiemy o wierszu, tytułem *Gnoza* obarczonym, gdzie czytamy:

Błogosławione wieki, które zrozumieją
Że wiedza świat ocali, gdy wszystkim zaświeci.

Kiedy my przekonani, że tylko wiara ocalić go może. Cóż powiemy o wielu innych tego ducha i tego rodzaju twierdzeniach. Nie zapuszczam się w wytykanie ich, wstrzymany głębokim żalem, a razem nadzieją, że przyjdzie czas, w którym nastąpi zwrót wyobrażeń autorki na drogę, którą jedynie za prostą i niemylną uważam.

Pod względem sztuki i wartości literackiéj tych nowo wydanych utworów, daje się w nich może spostrzegać umiarkowanie dawniejszéj jaskrawości kolorytu; poetka nie zbytkuje tak w poezyi, jak dawniéj, nie sypie tylu rubinami, szmaragdami, perłami, dyamentami. Jednakże niekiedy jeszcze rażą zbyt żywe lub niewłaściwe farby, jak naprzykład w tych wierszach:

Noc już zapadła — jak w kąpieli z mleka
W świetle księżyca pluskają z daleka
Złocone wieże i kopuły grodu.

Czyż nie uczuje każdy niestósowności wyrażenia *w pluskaniu wież,* które jeżeli się kąpią w kąpieli z mleka, to najspokojniéj i bez żadnego pluskania. A czyż w owéj kąpieli z mleka niema wymuszoności, czy jéj także niedostrzeżem *w pląsaniu woni jaśminu wśród ciszy.* Zdało nam się także dostrzedz niejakiéj różnicy w wyrobieniu między improwizacyami a poezyami pisanemi, na korzyść tych drugich, która dawniéj nie tak wyraźną była, i witamy ją z radością jako istotny postęp.

Między poezyami uderzyły nas szczególniéj: *Latarnia morska, Wiersz do Henryka Stattlera, Oda do słowa, Chwała, Piorun.* — W tych trzech ostatnich ślicznych utworach widoczny jest polot liryczny, którego dotąd nie

uważaliśmy w poezyach Deotymy. W odzie do Słowa jak piękną jest strofa!

Wieszcz jest świątynią — on piersi swoje
Jak Panteonu zaludnił progi,
Otwiera usta — niby podwoje,
Słowa z nich wyszły jak Bogi.

A z wiersza „*Chwała*“ przytoczmy choćby jedną strofę.

Obecność dla niéj zawsze za blada,
Tylko potomność w mgle ukochała,
Nie zna spoczynku — potokiem chwała
Rośnie lub spada.

Piorun głosząc, woła wieszczka:

Człowieku! on już nie tajemnicą.
Nie drżyj przed matką — Tyś burzy syn,
W tobie wre także Trójca gromowa
Myśl — błyskawicą,
Grzmotami — słowa,
Piorunem — czyn.

Myśl objęta w wierszu „*Harmonia*“, była niezmiernie trudną do wyrobienia, wybornie jednak z zadania swego wywiązała się autorka. Legenda „*Krzyż i Wojak*“ ujęła nas prostotą opowiadania, kiedy przeciwnie w wierszu „*Dziatki polskie*“ zaczynającym się od słów „Pieszczoszki serca“ rażą nas wyrażenia nie właściwe, nie zrozumiałe dla tych pieszczoszków serca. Jako to:

Świat uroczy
Który się na sercu toczy,
Jak na gorejącéj osi.

lub:

Płaszcz mój przeszłości wysnuł różnowzory

W znakomitéj poezyi „*Gieniusz*“ z żalem nie znalazłem w tym zbiorze kilku strof, które mi dawniéj znane były.

Najpiękniejsze wiersze wypuszczone zostały dla przyczyn łatwych do odgadnięcia. Nie czytamy nawet téj strofy tak doskonale charakteryzującéj gieniusz muzyczny naszego Chopina:

Łza boleści — łza natchniona
Spada w otchłanie goryczy,
On jak łabędź tajemniczy
Całe życie w śpiewie kona.

Ramy tego pisma są za szczupłe, aby pomieścić zdołały wszystkie uwagi, które się pod pióro cisną; wszystkie piękne, oznaczone wzniosłem natchnieniem wiersze i niektóre usterki, fałszywe dźwięki i myśli na którebym zgodzić się nie mógł.

Nie chciałbym był także słowa wyrzec o trenach nad grobem Mickiewicza. Lecz że one wielki zyskały rozgłos, że spotkaliśmy się z ludźmi znakomitego umysłu, lecz którzy może naszego religijnego przekonania w zupełności nie podzielają, wychwalających je nad miarę, że znowu wielu innych znaleźliśmy zgadzających się z naszem zdaniem, nie możemy zakazać sobie wypowiedzenia naszego przekonania.

Pierwsza uwaga nasuwa nam się, że autorka w niezmiernym żalu po zgonie wielkiego wieszcza, za nadto usłuchała głosu pierwszego uczucia, gdyż jak się sama wyraziła, *namiętnie* go opłakuje.

O wieszczu! tak namiętnie opłakuję Ciebie!

Namiętność każda jest zwykle złą doradczynią, i mniemamy, że i tu źle poetce doradziła. W tym więc żalu i uwielbieniu swojem, powiedziała sobie, że taką apoteozą uczci uwielbianego wieszcza, jakiéj żaden jeszcze z ludzi nie dostąpił, jakiéj żaden dostąpić nie może. Wytrwawszy w tem postanowieniu straciła wszelką miarę w hołdzie, nadała swojéj poezyi jakiś charakter bałwochwalczy, mitologiczny, politeiczny. W niej ogłasza że gdy ziemia widzi takich najwyższych, najświętszych, jakim jest ten, nad którego zgonem płacze teraz, mniema że to są sieroty, tułacze, niebo zaś uznaje w nich półbogów.

O żadnych półbogach w niebie chrześciańskiém nie słyszeliśmy, a więc mniemać mogliśmy, że nas wieszczka do nieba mitologicznego zaprowadzi. Lecz z jakiém zadziwieniem słyszymy zaraz wezwanie, abyśmy płakali łzami Weroniki, łzami Marty, łzami Magdaleny i wypłakali duszę temi łzami, i to jeszcze nie nad zgonem wieszcza, lecz nad sobą, żeśmy tego wieszcza, który krzyż swój zwycięzko składa, stracili.

Porównywać jednego człowieka, choćby najdoskonalszego, najwyższego, do Zbawiciela, krzyż jego głosić zwycięzkim, kazać płakać nad nim takiemi łzami, jakie się lały tylko po zamordowaniu Człowieka-Boga zbawcy ludzkości, i potem obok niego tego zmarłego i opłakiwanego umieścić, jest to posunąć śmiałość do kresu, którego odległości ani oznaczyć ani nazwać nie śmiem. Po dwóch pięknych (nie zaprzeczam tego) trenach, 2 m 3cim następuje apoteoza wieszcza. Leci on, leci i wpada śpiewając w niebo gieniuszów. Naprzeciw niego wybiega tańcząc Dawid, (który tylko przed arką świętą pląsał) i Homer i Dante, i inni wielcy wieszcze, i nakoniec w kontuszu gwiazdzistym śpiewak z Czarnolasu, który chce go zatrzymać ramion splotem, lecz mistrz wyrywa się z jego objęcia, bo on wyższy od sfer gieniuszów. W drugiem niebie proroków występują na przyjęcie jego i Ezechiel, i Pitia, i Wala, i Sybilla, i wśród nich ś. Jan Ewangielista. Lecz i tam się mistrz nie może zatrzymać, leci dalej — leci w trzecie niebo, gdzie pomieszczeni razem i Abel, i Leonidas, i Kurcyusz, i święty Szczepan, i Dziewica Orleańska i Napoleon. Jest to niebo męczenników, w niém pod kotarą ze skrzydeł ptaka poświęcenia Pelikana, włada berłem Emmanuel, nazwany przez wieszczkę Arcy-męczennikiem. Powstaje on widząc wieszcza. Pyta go jakiém prawem aż do niego doleciał, gdzie tylko wstępuje

Kto łez lub krwi zdrojem
Grzechy swe obmył, a któż z was bez grzechu?

Wieszcz wskazując swe księgi, wierszem Walenrodowskim odzywa się: „Oto są grzechy mojego żywota“. Emmanuel w każdéj zgłosce łzę męczeńską dostrzega i rzecze „Cierpiałeś, pozostań ze mną“.

Pytam się autorki, czyli ta cała scena teatralna jest tylko jéj marzeniem poetyczném, w które ona sama nie wierzy, czy też ma to przekonanie, że tego rodzaju apoteoza mogła i powinna się była odbyć. W pierwszym razie uważną ją czynimy, że chcąc do takiego nieba poetycznego wznieść wieszcza, mogła była zaludnić je samemi gieniuszami poezyi, i tam między niemi opłakiwanego mistrza zostawić, choćby mu najcelniejsze przeznaczyła miejsce, w nagrodę i wzniosłości jego ducha i jego cierpień, i na tém wniebowzięciu mogła była poprzestać, lecz nie dozwalać sobie mięszać świętych postaci, a szczególniéj owéj dla naś najświętszéj, któréj przyzywać do poezyi bez szczeréj i głębokiéj wiary nie godzi się. — Tak niegodzi się jéj używać tylko jako narzędzie poetyczne, dla wywołania silniejszego wrażenia. Na ucztę przygotowaną choćby dla najpotężniejszego z monarchów, choćby dla najcnotliwszego i największego z ludzi, gdybyś dla ozdoby stołów i biesiadnéj komnaty, użył poświęconych naczyń kościelnych, czar i kielichów do ofiary służących, czybyś nie popełnił świętokradztwa?

Jeżeli przeciwnie, autorka w żalu i we czci swojéj przekonana jest, że tego rodzaju wniebowzięcie mogło i powinno było nastąpić, i wierzy w to co przedstawia, pytam jéj, co to jest to niebo męczenników z Arcymęczennikiem? Czy tam w niém miejsce dla Emmanuela, czy codzień nie powtarzamy w składzie apostolskim: „Wstąpił na niebiosa, siedzi na prawicy Boga Ojca Wszechmogącego“. Czy dla tego tylko jest on wywyższony że był męczennikiem? A przy tem odwołuję się do sumienia autorki, czy cierpienie jest dostateczne aby miejsce obok Zbawiciela w najwyższem niebie zapewnić. Czy nie potrzeba jeszcze skruchy, pokuty i poświęcenia? Czy jest przekonaną, że łzy wielkiego wieszcza ukryte w jego pieśniach, równą zasługą zajaśniały i stanęły w sądach najwyższych obok krwi męczenników, obok popiołów téj cudownéj dziewicy, która na stosie spłonęła, zbawiwszy ojczyznę. Czyż takich łez nie leją, i nie zasługują się niemi miliony ludzi, choć ich w równie wspaniałych lub gorejących słowach wytłómaczyć nie umieją. I czy te łzy mają moc dźwignienia ich po zgonie aż do nieba męczenników? Nie — tego autorka

myśleć nie może. Za nadto więc uniosła ją jéj żałość w téj kanonizacyi wielkiego wieszcza, i poszukiwanego wrażenia nie obudziła we wszystkich umysłach, choć każdy polski był usposobiony do połączenia się z nią w jéj boleści. Co więcéj, niech pozwoli sobie powiedzieć, że możnaby mniemać, że ten żal jéj, był może żalem wyobraźni, rozumu, wiedzy, gnozy, ale nie serca. Serce umie znaleść przyzwoitą miarę w wyrazie swéj boleści i we czci ukochanéj istoty, i dla tego obudza podobne uczucie w innych, a niczyjego nie razi.

Lecz odwróćmy uwagę od tego utworu, którego błędny pomysł przyszło nam wykazać z niemiłem uczuciem, a słowo wspomnijmy o nowéj poezyi Deotymy będącéj gościńcem, datkiem podróżnym, który nam z wędrówki swéj odbytéj do dawnéj wyspy słowiańskiéj, do staréj siedziby Światowida, do Rugii — przywiozła. — Poezyę tę umieściła *Kronika* w Numerach tegorocznych 9, 10, 11 i 12. Tytuł jéj *Duchy na Rugii*, legenda w 4ch pieśniach. Z prawdziwą przyjemnością poznaliśmy się z tą legendą, która i pomysłem i układem i doborem farb poetycznych, i całem wyrobieniem tem więcéj zasługuje na uwagę, że będąc jedną z ostatnich prac poetki, świadczy już o korzystnym wpływie jaki wywarło na jéj ducha usunięcie się od wrzawy świata i zastanowienie się w samotności lub szczupłem kole domowem nad sztuką, które tak pożądanem było. Poezya, o któréj mówimy, obejmuje powieść o sławnym rozbójniku morskim z wyspy Rugii, Janie Störtebeck z końca czternastego stólecia, z którą połączone jest podanie, iż póty jego dusza i jego towarzysze odkupienia nie dostąpią, dopóki żyjący nie odważą się przywłaszczyć sobie skarbów, które oni po sobie w jaskini kredowéj zostawili. Jan porywa wśród festynu w Gdańsku, Renatę, córkę bogatego kupca, podwładni jego miasto zapalają. — Renatę uwozi wódz rozbójników do jaskini, którą ozdabia całym przepychem złupionych skarbów, wyprawia się przeciw Hamburgowi, wzięty w niewolę ginie wraz z swymi towarzyszami na rusztowaniu. Renata rok cały oczekuje jego powrotu. Jednego dnia wśród wściekłości burzy, samotna, opuszczona, rozpacza. Nagle — wszystkie skarby zdają się wołać na nią głosem wyrzutu i potępienia, poznaje swój obłąd, woła:

Jakiż mrok dotąd zasłaniał mi oczy
Z trwogi, że stracę serce najdroższego,
Nie próbowałam zwrócić go do Boga,
Ale dziś inna ogarnia mnie trwoga,
Są inne światy prócz świata miłości.

Wtem widzi jaskinię zapełnioną towarzyszami jéj ukochanego, wszyscy kirem pokryci, smutni, pochyleni, tylko ostatni Jan, jéj najdroższy, niezgięty trwogą, ten

przechodząc koło niéj,
Rzucił spojrzenie tak rozdzierające
Że choćby w szczęściu żyła lat tysiące,
Nie zapomniałaby tego spojrzenia.

Nie wita się z nią, nie rzecze do niéj ani słowa, lecz i on i jego towarzysze obsiadają wszyscy jaskinię, i każdy liczy z obawą skarby swoje, perły, kruszce, diamenty, i znajdując je nietknięte, z rozpaczą powstają wszyscy, — i oddalają się w smutku. Renata woła na Jana, a on szklistym głosem rzecze:

Kobieto! dopóty
Będziemy pływać w okręcie pokuty
Póki tych skarbów żywi nie zabiorą.

Renata zachwycona jego głosem chce go wstrzymać, ramionami go otacza.

Ach jakiż zimny ją postrach owłada,
Pod jéj dotknięciem postać jego blada,
Tak się rozchwiewa jakby z mgły uwita.
Naprożno dłonią, za rękę go chwyta,
Ta dłoń tak silna, ta dłoń ukochana
Jak śnieg stopniały z jéj ręki ucieka.
Nieba! to tylko jest pozór człowieka,
To nie Jan żywy, ale widmo Jana.

I ona zaraz widmem się staje. Ślicznie jest odmalowane to jéj przeistoczenie się w ducha. Trzebaby cały ten ustęp przytoczyć, aby dać poznać do jakiego stopnia umiejętnego wyrobienia bez żadnéj krzywdy poe-

zyi zdolną jest dojść autorka. Ten ustęp do najszczęśliwszych jakie w jéj utworach znajdujemy należy. — W pieśni trzeciéj przenosi nas poetka do chaty rybackiéj przedstawionéj nam w pięknym sielankowym obrazie, nawet tchnącym prostotą, z którą nie często w utworach Deotymy spotykamy się. Znajdujem w nim cztery śliczne wiersze o śnie.

I oto wierny pocieszyciel ludu,
Sen, goniec szczęścia, najsłodszy syn trudu,
Rozwił kotarę z najbogatszéj tkanki
Nad mieszkańcami ubogiéj lepianki.

Gotlieb syn rybaka kocha córkę bogatego młynarza, sam ubogi nie może mieć nadziei otrzymania jej ręki, którą za dni parę posiędzie szczęśliwszy od niego. Wybiera się więc do jaskini po skarby zamknięte, w rocznicę zgonu Jana i jego towarzyszy. Widmo Renaty pociąga go do niej, i składa w jego ręce dzban złotem i klejnotami napełniony. Wtem duchy korsarzy wracają jak zwykły to czynić w okropną dla nich rocznicę. Gotlieb znakiem krzyża świętego zrywa czarodziejskie koło, i uszedłszy ze dzbanem z jaskini, widzi z daleka jak duchy obliczają skarby i wszystkie nietknięte z rozpaczą znajdują. Od tej nocy znikło widmo Renaty, lecz potrzystu mężów wraca jeszcze corocznie. Kończy więc poetka swą legendę tem wezwaniem do podróżnego, któryby Rugię zwiedzał:

Nie daj się strwożyć piekielnym odgłosom,
Strachom i jękom — lecz idź niestruchlały,
Westchnij za zmarłych, i bież roztruchany,
Perły i kruszce — bierz dłońmi pełnemi,
Bo ile weźmiesz tych skarbów na ziemi,
Tylu zbawionych uskarbisz Niebiosom.

Widziemy że w tym nowym utworze Deotymy jest całość starannie wyrobiona, są ustępy prawdziwe nie wymuszoną jaśniejące poezyą. Witamy go więc radośnie jako głos, który do nas doleciał z tęj nowej epoki życia poetki — epoki pracy wśród samotności, natchnienia wśród odosobnienia od ludzi, i dbałości więcej o

trwałą chwałę w przyszłości jak przemijającą w obecności słynność.

Lecz mówiąc dziś o poezyi, jak nie wspomnieć o *Glossie ś. Teressy* wyszłéj z drukarni waszego dziennika. — Nie wymieniony jest jéj autor, lecz każde słowo objawia poetę — i jeszcze jakiego poetę. Tam w każdym wierszu wre czucie — płonie ogień — myśl wybucha.— W każdym mowa posłuszna władającemu nią wieszczowi wystarcza temu czuciu i tym myślom. *Glossa ś. Tesessy*, o któréj mowa, nie jest wiernéem tłómaczeniem sławnego hymnu świętéj dziewicy. Myśl tylko i czucie całego hymnu, a szczególniéj tego wiersza będącego w oryginale zwrotką każdéj strofy:

Que muero porque non muero.
I tem umieram, że umrzeć nie mogę.

uchwycił poeta, i z nich wysnuł całą tę płomienną, uduchownioną poezyę. Przejął się on wprawdzie duchem téj Safony chrześciańskiéj i religijnéj, wyczerpał go z wszystkich jéj pism, i zdołał z nich święty ogień jéj duszy przenieść do swojéj poezyi. A tak wzbił się najwyższym polotem uniesienia religijnego, i potrafił całą namiętność duchową, całe piekło Bożéj miłości wyśpiewać. Być może, iż w wyrazie téj świętéj namiętności, nieco ziemskiego wsączył w nią uczucia, jakoto w ustępie o Magdalenie:

Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam gdzieś wprzódy, tam w górze
I krzyż ten zbroczon w krwi twojéj purpurze,
I Magdalenę — Twa święta, twa miła,
Co tam tak płacze, to ja chyba była,
Bo w sercu mojem, to jéj serce płacze,
Bo drżą mi w oku wszystkie łzy jéj oka,
I rozpacz moja tak straszna, głęboka,
Że być nie mogą dwie takie rozpacze,
Nie, więcéj Ciebie ona nie kochała.

i daléj:

Jakże to będzie mój Panie! mój Boże!
Jakże rozedrzeć sądem Salomona,
Tę jedną miłość między te dwa łona;
Bo dwóch miłości takich być nie może,
Nie — Ciebie więcéj nie kochała Ona —

Śliczne to wiersze, ale czyż w nich nie słyszysz wyrywającego się głosu zazdrości i zarozumiałości, uczucia które są czysto ziemskiemi, których nie dostrzeżesz ani w Glossie, ani w pismach ś. Teressy wśród najwyższego jéj uniesienia. Znam ja wprawdzie te jéj słowa „że „są Panie tacy, którzy Ci lepiéj odemnie służą, nie za„przeczam, ale żebyś miał takich, którzyby Cię więcéj „kochali, i goręcéj Twojéj chwały pragnęli, tego twier„dzić nigdy nie dozwolę“. — Uważmy że w tych wyrazach przy objawieniu najwyższéj miłości, jest i wyznanie pokory, uważmy że tu święta mówi o miłośnikach Chrystusowych, a nie o jednéj miłośnicy, że żadnéj nie wskazuje, nie wymienia, jak tego poeta dozwolił sobie. Ten więc jeden tylko zarzut możnaby mu uczynić; bo co do mnie wyznaję, że dawno nie spotkałem się z poezyą tak wzniosłą, w któréjby czucia i myśli tak gwałtownym pędziły potokiem, i tak silnie porywały umysł i serce. Będzie to może z naszych czasów jedyna tego rodzaju i wartości poezya, tak jak jedynym musi być z współczesnych nam poeta, który jest jéj twórcą.

Kiedy się zapuściłem w kraj poezyi, więc wzmiankę uczynię o nowym zbiorze poezyj angielskich *Waltera Savage Landora* wyszłym pod tytułem *Dry Sticks*, suche gałęzie. Ten najsędziwszy z dzisiejszych pisarzy angielskich, bo liczący już lat 83, znany jest z poematu pod tytułem *Geber*, z kilku dramatów, jakoto: Andrzej z Węgier — Joanna Neapolitańska — Fra Rupert — Hrabia Julian — Perikles i Aspazya, i z wielu ulotnych poezyj. Najobszerniejszem jego dziełem są w 6 tomach wydane rozmowy znakomitych pisarzy i mężów stanu. Landor przypomina nam pod pewnym względem naszego Niemcewicza; jak sędziwy Ursyn zwykł był do późnego doszedłszy wieku rozrzewniać się i rozczulać milującą go powszechność krajową przeczuciem swego bliskiego zgonu, jak za każdem odezwaniem się do publiczności

żegnał ją i twierdził, że po raz ostatni do niéj przemawia, a jednak Bóg przedłużał jego żywot i dozwalał mu jeszcze pracować i pisać, tak i Landor za każdą nową pracą głosi, że ta jest już ostatniem jego pożegnaniem. Nie dawno wydał on zbiór poezyj, który nazwał *Ostatnie liście drzewa. The last leaves of the tree.* Dziś występuje z Suchemi Gałęziami, może się jeszcze spruchniałego pnia doczekamy. O dzisiejszych jego poezyach wspominam, gdyż wśród nich znajduje się piękny wiersz na cześć Kościuszki napisany, o którym rzekł poeta: „że był to mąż, który nigdy czoła nie ugiął ani „przed żadnym mieczem, ani przed żadném berłem“.— W tym wierszu znajdujem w szlachetnych i tkliwych wyrazach odezwanie się do jednego z najsędziwszych a najdostojniejszego z rodaków naszych. Dodać winienem że Landor był zawsze stałym przyjacielem kraju naszego. Wśród ulotnych poezyj napotykamy takie, które tchnąc prostotą i wdziękiem starożytnych poezyj, zdają się być z Antologii greckiej wyjęte, jak na przykład ten czterowiersz:

DO DZIEWICY.

O dziewczę! widząc urok twej urody,
Chciałbym być znowu i wolny i młody,
Być razem nimi, kiedyś tak nadobna
Rzecz niepodobna. —

Z przyjemnością czyta się te utwory starca, oddychające spokojem i rzewnością, dochodzącego do kresu życia. Natchnienie bowiem sędziwego wieku obudza zwykle tak tkliwe i wewnętrzne uczucie, jak ostatni śpiew wieczorny ptaszka leśnego, jak ostatni promień zachodzącego słońca, jak ostatnie wejrzenie pożegnania. —

Berlin w marcu.

Kończę rozdział o zmyśle smaku, w szczególności o cywilizacyi gęby berlińskiej. Niewczesna to i niewłaściwa praca na czas postu, gorszący przedmiot dla czy-

telnika z skurczonym żołądkiem. Proszę o wybaczenie. Berlin jest miastem protestanckiém: protestantyzm nie zna postu, ludność katolicka ma dyspensę od kościoła i pości dopiero w ostatnim tygodniu przed Wielkanocą. Sejm, główny wyobraziciel i rozkrzewiciel cywilizacyi gęby w stolicy, także jeszcze jest zebrany. Nie mam więc żadnego powodu do przerywania ciągu opowiadania; czytelnik „suszący" nie ma powodu do czynienia mi zarzutu zgorszenia, bo pokusa do grzechu, nadchodząc w chwilę zastawiania stołu święconém, musi pozostać bez skutku. Zresztą kuchnia postna w Polsce, szczupak z chrzanem, karp z czarnym sosem, lin z kapustą, o których czytam niekiedy w *Kuryerku warszawskim*, więcéj podobno łechcą podniebienie, niż mięsny „*hausmannskost*" niemiecki, o którym mi właśnie pisać wypada.

„*Hausmannskost*" bowiem, a nie zagraniczne po większéj części specyały tak zwanych „*delikatessenhandlungów*", lub zagraniczna kuchnia restauracyj pierwszego rzędu, jest rzeczywiście miarą cywilizacyi gęby berlińskiej. Charakter wysokiego smaku gastronomicznego na kontynencie europejskim, począwszy od Paryża aż do Moskwy, jest kosmopolityczny, prawie wszędzie ten sam. Różnicę główną stanowi doskonałość używanych płodów i stopień wykształcenia sztuki kucharskiej.

Przysłowie francuskie: „powiedz mi co jesz, ja powiem ci kto jesteś", trudném jest do zastósowania na polu tej kosmopolitycznéj, albo raczej arystokratycznéj gastronomii. Jak obyczaje, zwyczaje, układ, maniery, ton, strój, nawet rozmowa arystokratycznych towarzystw europejskich są mniej więcéj do siebie podobne, tak się rzecz ma z jadłem i napojem gastronomicznych biesiad pierwszego rzędu.

Trafniéj da się zastósować przytoczone przysłowie do kuchni powszechnie w pewnym narodzie używanéj, to jest téj, która jest w zwyczaju u wielkiej masy cywilizowanéj ludności, w prywatnych kołach familijnych, słowem do kuchni, którą Niemcy nazywają „*Hausmannskost*". Z niej rzeczywiście poznać można, nie powiem charakter człowieka lub narodu, i stopień ich cywilizacyi, jak utrzymuje Rumohr, znany pisarz o gastronomii niemieckiej, w dziele „*Geist der Kochkunst*", ale naro-

dowe ich pochodzenie, indywidualną właściwość ich smaku, wreszcie stan i różnicę ich sposobu życia, wraz z niektóremi innemi zewnętrznemi stosunkami.

W tym względzie można też mówić, opierając się na pewnych podstawach, o istotnych narodowych kuchniach: angielskiéj, francuskiej, włoskiéj, niemieckiéj, polskiéj, rosyjskiéj, tureckiéj, nawet chińskiéj, o któréj to ostatniéj dzienniki europejskie niedawno temu, a między niemi i *Czas* w jednéj z korespondencyj paryskich, podały bardzo zajmujące szczegóły.

Nie mam zamiaru charakteryzować szczegółowo tych narodowych kucheń, ani dawać zarysu ich historycznego rozwoju. Przytaczam tylko to co szkic mój uzupełnić, i zarazem różnicę i właściwość narodowéj kuchni niemieckiéj bliżéj oznaczyć jest zdolne.

Sztuka kucharska należy niezawodnie do najdawniejszych. Azya jest jéj kolebką, podobnie jak wszystkich innych. Chiny, Indye, Egipt, Babilon przenoszą ją w najodleglejsze czasy, dając świadectwo o zbytku jéj wykształcenia w starożytności. Z Azyi przeszła do Grecyi, Sycylii i Rzymu, gdzie rozwinęła się do stopnia najwyszukanszej wymyślności, dotychczas nieprzewyższonej. Sposób życia w Grecyi był w ogóle umiarkowany, najumiarkowańszy w Sparcie, przestającéj na czarnéj polewce. Ale Feakowie korcyrejscy u Homera już zbytkowali w nieustających biesiadach, a Ateńczycy i Syrakuzanie mieli już filozofów, pisarzów i poetów, którzy rozważali, opisywali i śpiewali tajemnice i powaby sztuki kucharskiej i biesiadniczéj. Rzymianie, przestający na rzepie za czasów Kuryusza Dentata, nie znajdowali już za czasów Lukulla dość rzadkich płodów w naturze, któreby ich smak zaspakajały; móżdżki bażancie i pawie, języki śpiewających i gadających ptaków, mlecz i wątróbki najkosztowniejszych ryb morskich tworzyły ich półmiski, a rozpuszczone w occie perły służyły do podniecenia podniebienia. Biesiady Lukulla kosztowały po 30—40,000 złp. „Miasto to nie może egzystować, mówił stary Kato, w którém jedna ryba kosztuje więcéj niż wół.“ Cesarz Witellius zapłacił milion sesterców za jeden półmisek.

W Azyi zajmowali się kuchnią sami mężczyzni, w Grecyi kobiety, mianowicie niewolnice, w Rzymie początko-

wo tylko niewolnicy, późniéj najemni kucharze z profesyi, którzy za ugodą brali na siebie urządzenie całéj biesiady. Za cesarstwa istniały stałe szkoły kucharskie, których pierwszym założycielem był zbankrutowany żarłok Klaudiusz Apiciusz, autor dzieła „*De re culinaria.*“ Do wytwornéj biesiady należały wtedy tuczone pawie z Samos, żórawie z Melos, kury z Frygii, koźlęta z Etolii, ryby zwane tuńczyki z Chalcedonu, mureny z Tartessu, szczupaki z Pessinu, muszle z Chios, ostrygi z Tarentu, daktyle z Egiptu, i inne rzadkie zagraniczne płody, w obec których krajowe były bez wartości, nie śmiejąc postać na wykwintnym stole.

O kuchni średnich wieków liczne są wzmianki w kronikarzach. Wielka obfitość wszelakiego pokarmu, gotowanego i pieczonego, ale sztuki w przyprawie nie wiele. Zwierzyna krajowa najzacniejszym kęsem. Płody zagraniczne długo nieznane.

W nowszych czasach sztuka kucharska francuzka najpierwéj się wydoskonaliła, a wpływ epoki Ludwika XIV otworzył jéj drogę do dworów monarchów, książąt i panów europejskich. Jest ona rzeczywiście dotychczas na lądzie stałym panującą; stała się przynajmniéj niemal wszędzie wzorem wyższego wykształcenia gastronomicznego. Kuchenni artyści francuscy używają dotąd największej reputacyi. Któż nie zna z współczesnych sławnego Soyera, który usiłując utrzymać charakter i sławę europejską kuchni francuskiej, wciągnął w nią nawet doświadczenia kuchni tureckiéj, robione na miejscu podczas wojny krymskiéj. Kuchmistrze francuscy mają nader wysokie pojęcie o ważności swego powołania. „Ten kto wynalazł nowy półmisek, oddał ludzkości większą usługę, jak ten co odkrył nową gwiazdę“ — było godłem sławnego gastronoma, kucharza Napoleona I, szefa „Rocher de Cancal“ w Paryżu.

Kuchnia francuska odznacza się szczególnie wielkim talentem rozkładania i składania animalicznych kęsów i cząstek, z których powstają potrawy. Na odpowiedniości łączenia ich z sobą i na stósowności niejako przyrodzonéj przyprawiania ich różnemi korzennemi, roślinnemi i zwierzęcemi substancyami, w ogóle na jak najwłaściwszém tychże w każdym razie użyciu i przyrządzeniu, polega istotnie cała tajemnica sztuki kuchar-

skiéj. Panuje w tym względzie nader wielka rozmaitość, i nią to właśnie, tak co do wewnętrznego składu jak i co do zewnętrznego układu półmisków, duchowością raczéj, że tak powiem, więcéj aniżeli fizyczną masowością treści, stara się kuchnia francuzka zadowolić jak najdelikatniejsze podniebienie. Jéj potaże, buliony, sosy, majonezy, różnego rodzaju tak „*entrées*“ na ciepło i zimno, potrawki, frykasy, sałaty i tym podobne dania stanowią główną właściwość w niezmiernéj liczbie innych potraw. Panuje w ogóle w ich składzie, przyrządzie i porządku większa niż gdzieindziéj systematyczność i poezya. To właśnie stanowi, wedle gastrozofii barona Vaersta, największą przyjemność jedzenia. „Kto wiele jé, mówi on, ten jé pospolicie bez wyboru. Kto żołądek swój robi bogiem, ten także głowę swoję robi kominem“.

Przeciwstawieniem francuskiéj jest kuchnia angielska. Jéj naczelnym kęsem jest mięso, na którego produkcyą zwrócona jest w gospodarstwie krajowém największa troskliwość. Znane są angielskie rosbify, bifstyki, skopowe pieczenie itd. Znakomite są także w kuchni angielskiéj ryby morskie i żółwie zupy. Potrawy jarzynne i mączne są zaniedbane. Jedyny plumpudding odznacza się stereotypową przyprawą i masowością swoją. W użyciu ostrych korzeni tak do potraw, jak do wszelkiego rodzaju przydatkowych gastronomicznych substancyj, sztuka kuchni angielskiéj wysoko jest posunięta. Natomiast nie zna ona przyrządzania sosów, które stanowią chlubę kuchni francuskiéj. „Anglia jest to ochydny kraj, powiedział pewien kardynał włoski, ma niezliczone religie, ale tylko dwa sosy“. Z tych jeden, najpowszechniej używany, jest masło rozpuszczone. W ogóle mówiąc, kuchnia angielska, mniéj zapewne delikatna i wyrafinowana niż francuska, jest jednak od niéj i silniejsza i pożywniejsza, dlatego w krajach północnych a nawet i w Francyi, mianowicie co do potraw mięsnych, ma coraz większe wzięcie.

Kuchnia włoska nie odziedziczyła po Rzymianach starożytnéj sławy, i nie wywiera dziś żadnego wpływu na cywilizacyą gęby europejskiéj. Jedyne tylko makaroni, oraz oliwy, séry i owoce włoskie stały się ogólną własnością. Narodowa polenta nie przeszła za Alpy. Kuchnia

francuzka jest i tu, zwłaszcza pomiędzy wyższemi stanami, panującą, będąc w ogóle dla południowych krajów, z powodu lekkości pokarmu, daleko właściwszą niż angielska. Obfitość płodów morskich i doskonałość roślinnych ułatwiają jéj rozszerzenie, oraz wybór w przyprawie wszelakich przysmaków.

Kuchnie hiszpańska i portugalska nie wiem zgoła, czy się w ogólnéj cywilizacyi gastronomicznéj odznaczają jakim narodowym przysmakiem. Są to narody nader umiarkowane w jadle.

Kuchnia polska ma swoję bardzo wybitną narodową cechę. Kształciła się ona wyraźnie wedle zasad francuskiéj, ale zastósowała je do klimatu, do właściwości płodów krajowych, wreszcie do pierwotnego smaku słowiańskiego. Smak ten ma upodobanie w potrawach i przyprawach kwaskowych. Jest on i Rosyanom właściwy, i w tym względzie kuchnia rosyjska podobną jest do polskiéj. Barszcz z ukisionych buraków obu narodom jest wspólny. U Rosyan bywa i z kapusty z świniną, u nas z rurą, inny z szczawiu. Sławny jest, także kwaskowaty, chłodziec litewski. Ulubione są ogórki kiszone, mizerya, buraczki, boćwina, a nadewszystko bigos, unieśmiertelniony w Panu Tadeuszu. Narodowe są pomiędzy potrawami mięsnemi zrazy, pomiędzy roślinnemi różnego gatunku krupy, kasze, jagły, najrozmaitszemi sposobami przyprawiane; potrawy mączne, jako kujawskie kluski, kluseczki, pyzy, wreszcie różne swojskie pieczywo, jako pączki, baby z szafranem, mazurki i t. p. Narodową jest także różna przyprawa ryb, mianowicie karpiów, szczupaków, linów. Pieczyste nasze z różna nie ustępuje żadnemu zagranicznemu. Nasze rosoły mają także niepospolitą zaletę. Do osobliwości należą już dziś łapy niedźwiedzie. Nie mogę pominąć żuru i piwa z serem. Wiele z tych potraw i przypraw przyswoiła sobie zagraniczna kuchnia. Jadło polskie jest smaczne, posilne i zdrowe; trzyma niejako środek pomiędzy francuskiém a angielskiém.

Pomijam kuchnią turecką, świeżo wprowadzoną przez Soyera do gastronomicznéj cywilizacyi europejskiéj. Zbytek w niéj tłustości i korzenia. Najprzedniejszym w niéj jest deser.

Przystępuję w końcu do kuchni niemieckiéj. Dziwna, że kuchnia tak wielkiego szczepu, siedzącego w samym środku Europy, nie ma rzeczywiście wybitnéj narodowéj cechy. W historyi cywilizacyi gastronomicznéj zajmuje ona dość podrzędne miejsce. Sama nazwa „kuchnia niemiecka“ ma pomiędzy gastronomami jakieś ciemne i bardzo pośledne znaczenie. Pochodzi to zapewne stąd, że Niemcy rozbite są na tyle osobnych krajów i kraików, z których każdy idzie za własnym miejscowym smakiem, i staje się naturalną przeszkodą do upowszechnienia się pewnych stałych zasad i jednakiego narodowego charakteru w produkcyach sztuki kucharskiéj.

Są w Niemczech pojedyncze płody gastronomiczne, przyrodzone i sztucznie przyrządzane, bardzo wyśmienite, które mają sławę europejską i wysoko cenione i poważane są przez gastronomów. Takiemi są np. bażanty czeskie, skowronki lipskie, łososie reńskie, mareny pruskie, raki odrzańskie, szynki westfalskie, wołowina hamburska, półgęski rugiańskie i pomorskie, wursty brunszwickie, gotajskie, frankfurckie, wiedeńskie, jauerskie, rzepki teltowskie, szparagi berlińskie, jabłka bórstówki itd. Ale te „disjecta membra“ poezyi gastronomicznéj duch niemiecki, tak zresztą biegły w składaniu systemów filozoficznych, pozostawił bez związku z sobą, nie umiał zlać ich w organiczny poemat klasycznej biesiady, a ilekroć się o to kusi, to jakby pięść przykładał do nosa. W Wiedniu, w Monachium, w Frankforcie, w Kolonii, w Dreznie, w Hamburgu, w Berlinie, zgoła w każdém większém stołecznèm i prowincyonalném mieście sposób postępowania w tym względzie inny.

Nie myśl jednak, szanowny epigonie krakowskiego Wierzynka, że teoretyczni i piśmienni Niemcy zaniedbali filozoficznéj uprawy pola gastronomicznego. Jako żywo, owszem napisali o sztuce kucharskiéj więcéj dzieł, niż wszystkie starożytne i nowożytne narody razem wzięte. Ktoś obrachował, że jeden człowiek, poświęcając 12 godzin każdego dnia na czytanie, potrzebowałby 969 lat, aby przeczytał wszystkie książki kucharskie wyszłe dotąd w Niemczech; musiałby zatem żyć prawie tak długo jak patryarchalnéj pamięci Metuzalem.

Nie lękaj się, mój krakowski Wierzynkiewiczu, abym cię traktował spisem tych dzieł niemieckich, albo tylko spisem potraw w nich wyliczonych i sposobów ich gotowania i przyprawiania. Jedno tylko wymieniam: „Ritter's illustrirtes Kochbuch“ z 80 rycinami, z 1670 receptami, cena 6 złp., w Berlinie 1858. Dzieło to najwięcéj jest w Niemczech rozpowszechnione, i jest jak najzupełniejszym wykładem niemieckiego wyższego i niższego „hausmannskostu“.

W Niemczech jak w starożytnéj Grecyi kobiety trudnią się najwięcéj kuchnią. Każda panienka, ukończywszy szkołę, musi odbyć kurs sztuki kucharskiéj. Książka Rittera znajduje się na stole każdéj gospodyni domu. Daje się w podarunku na gwiazdkę, na imieniny, na zaręczyny pannie przysposabiającéj się do prowadzenia własnego gospodarstwa. Wszystkie Niemki są kucharkami. Można szydzić z tego, ale można i chwalić. Jeżeli, wedle gastrozofii barona Vaersta, „dlatego żyjemy, abyśmy jedli“, to Niemki z pomiędzy kobiet wszystkich innych narodów dopełniają najwięcéj i najściśléj swojéj powinności.

Pomimo tego powszechnego teoretycznego i praktycznego kształcenia się w sztuce gotowania, kuchnia niemiecka nie ma, jak powiedziałem, ani wyraźnéj narodowéj cechy jak angielska i polska, ani wyrafinowanego gastronomicznego wykształcenia jak francuska. Wzięła ze wszystkich cośkolwiek, ale tego nie wydoskonaliła, ani nawet utrzymała w przyjętéj dobroci, ale pogorszyła, zmieniając i przerabiając do własnego smaku. Zdaje się to być skutkiem zajmowania się głównie kobiet sztuką kucharską. Kobiety dobre są do drobnych przyprawek i skrupulatnego odgotowania zwyczajnych domowych potraw, ale niezdolne do twórczych śmiałych pomysłów, do wykonania wielkich idei gastronomicznych, które się częstokroć rodzą w głowie mistrza, jakby natchnione, przy ogniu kuchennym, i muszą być na miejscu nie wedle przepisów książki, lecz wedle smaku żywego języka wypróbowane i przyrządzone.

W ogóle jednak da się narodowa kuchnia niemiecka podzielić na dwie: na południowo-niemiecką i na północno-niemiecką. Każda z nich ma swoje właściwości, zalety i wady, które źródło swe mają głównie w różni-

cy charakteru narodowego południowych i północnych plemion. Kiedy południowy Niemiec, obok duchowych rozkoszy, nie zapomina prawie nigdy i o materyalnych, i wielką na ich przysposobienie obraca troskliwość; północny Niemiec bardzo mało około nich chodzi, uważa je za najpośledniejsze ze wszystkich innych, chociażby duchowe rozkosze, którym się oddaje, były tylko pozorne lub urojone, jakiemi w wielkiéj części są rzeczywiście.

Południo..o-niemiecka kuchnia, mianowicie austryacka i bawarska, do któréj policzyć trzeba także nadreńską, jest niewątpliwie wyższą od północno-niemieckiéj, zwłaszcza pruskiéj i saskiéj. Tamta jest i rozmaitsza i obfitsza i silniejsza. Mieści ona w sobie długi szereg wybornych potraw postnych, na północy nieznanych. Mięso ma lepsze, które właściwym sposobem, gotowanym, duszonym, pieczonym, nie odejmując mu siły, w wielkich wyborowych kęsach, przyprawia.

Północno-niemiecka kuchnia lubi pozory, zewnętrzne formy kuchni francuskiéj, mniéj dbając o treść. Jest w niéj więcéj pretensyi niż rzeczywistéj zalety. Wewnętrzna treść, siła i tłustość mięsa wyzyskuje się na inne przyprawy, zanim takowe w téj lub owéj postaci przyjdzie na stół. Sztuka mięsa dlatego pospolicie miękka i wątła, pieczyste wyduszone, wysuszone, a zawsze z pieca, nigdy z rożna. Jeden i ten sam sos do trzech, czterech mięsnych potraw, niekiedy nawet do ryb, dla odmiany raz brunatny, drugi raz biały, kto go wié z czego robiony. Melszpeizy dość dobre, nie mniéj dobre i jarzyny. Kartofle osobno i w przydatku do każdéj potrawy, nawet niekiedy, u lubowników tego płodu, i do melszpeizu. Backobst, to jest, owoc suszony lub świeży gotowany z kluskami i słoninką — ulubiona potrawa. W dni czwartkowe podczas zimy na każdym stole kapusta z grochem i peklowaném mięsem. W restauracyach pierwszego rzędu panuje kuchnia po połowie francuska, popołowie angielska. Tabldoty hołdują tejże kombinacyi.

Oto są główne cechy niemieckiéj sztuki kucharskiéj. Kończę rzecz na tém, nie chcąc jéj zbytecznie przedłużać. Wypadałoby mówić i o napojach, ale te osobnym

mogą być rozdziałem, który przy innéj sposobności da się wygodniéj traktować.

Paryż w marcu.

Koniec tegorocznego karnawału paryzkiego przypominał bardzo trzeci akt „Lukrecyi Borgia“. Śmiech i płacz, ból i wesele, te prawdziwe ziemskie satelity, zwykle różne opisujące elipsy, spotkały się w swym wirowym biegu, i uderzywszy o siebie, wydały straszny akord, razem do jęku konających i śmiechu biesiadników podobny. Po jednéj stronie ulice pełne masek — salony pełne światła, kwiatów, wrzawy i gorączkowéj wesołości — bale ogłuszające hukiem grzmiącéj orkiestry i głośnych tanów — po drugiéj ciemność... czarne więzienie... trzy trumny przygotowane dla żywych, i rusztowanie wołające wielkim głosem: *la gioja del profano è fuma passager!...*

Oto widok jaki przedstawiał Paryż w szalone dni oficyalnego wesela. Jakoż nie było ono i nie mogło być szczere. Chciano się oszołomić, zapomnieć... więc tańcowano i pito — ale w umysłach zajętych troską nie było miejsca dla wina, ani na przyciętych ustach miejsca dla uśmiechu — głowy więc pozostały trzeźwe a twarze posępne, nogi same tylko skakały.

W ostatnią niedzielę i wtorek, tłum jak zwykle wyległ na ulice, ale ponury mimo zapustnych przyborów, błąkał się i oglądał, jakby czekając na coś co nie przebywało. *Pierroty* nawet, zapomniawszy swych gestów komicznych, szli nie zaczepiając ani potrącając nikogo, jak urzędnicy do bióra; patrząc na nich rzekłbyś że to poważni ludzie, którzy tylko przez dystrakcyę błazeńskie przywdzieli stroje. Nawet z wolego orszaku *Lewiatana* rozpustna dusza uciekła; boginie i bóstwa śmiały się nie ochoczo, na zaczepki odpowiadały cierpko — i w weselnych strojach pośród chorągwi i muzyki, szły nie weseléj jak ich wódz czworonożny, który uginając się pod brzemieniem tuszy, kwiatów i złota, szedł przecież ze spuszczoną głową, pod swą złotą koroną śmierć przeczuwając.

Wszyscy byli smutni, ludzie i zwierzęta; samo tylko niebo, obojętne jak zwykle na uciechy lub żale tego świata, przepysznym powlokło się szafirem, słońce zaś złocistém wyświecone kołem, szczodrzéj niż kiedy lało zapachy kwiatom a ludziom nadzieje.

Po tygodniu tėj fałszywéj wesołości, podczas którego każdy śmiał się jak za pokutę a tańcował jak za pańszczyznę, przyszedł wreszcie popielec, i był powitany jak dobroczyńca. Odtąd każden kto myśli i czuje, właściwszą oddychając atmosferą, może słuchać spokojnie ważnych rozpraw toczących się w Sprawiedliwości Pałacu i rozważać w ciszy ważność bieżących wypadków.

Tylko salony nienawidzące naturalnego powietrza, skończywszy jedną komedyę, zaczęły grać drugą: z rozpoczęciem postu teatra amatorskie weszły tak w modę, że nieledwie więcéj zajmują tutejsze damy niż kazania modnych kaznodziei. Moda ta przerażające czyni postępy. Nie dosyć że grają komedye, tragedye i dramata, ale nawet śpiewają kieszonkowe opery z towarzyszeniem fortepianu.

Ani wątpić że ta epidemiczna teatro-manija, jako wpływająca przeważnie na obyczaje, dostarczy obszernéj materyi do kazań tutejszym kaznodziejom; dotąd atoli żaden z nich niepowiedział jeszcze co o tem myśli. Co do mnie, nie znam szkodliwszéj zabawki nad to ćwiczenie młodzieży w zawodzie aktorskim. Jestto po prostu usystematyzowana nauka kłamstwa i kokieteryi — niezawodny sposób rozbudzenia próżności w najniewinniéjszych duszach. Zdanie to głównie stosuje się do kobiet. Kobieta nie może być dobrą aktorką, dopóki nie utraci najpiękniejszéj swéj ozdoby, prostoty, a nie nabędzie najszpetniejszéj przywary, bezczelności. Prawdziwie niewinna dziewczyna nie zgorszy się słuchając niemoralnej sztuki, ale najniewinniejsza przestanie być niewinną występując sama choćby w najmoralniejszych rolach. — Francuzki nadto mają rozsądku żeby o tem niewiedziały, że aktorstwo fałszuje młode dusze i zaciera uczucie wstydu w kobiecie — wprowadzenie przeto komedyi do tutejszych salonów tem się tłomaczy, iż paryżanki nie boją się utracić tego czego nigdy nie miały.

Salonowi aktorowie nie poprzestając na mnogich dziełach swych sławnych komików i tragików, piszą dla siebie nowe sztuki, w których główne role są zwykle zastósowane do charakteru i zdolności przyjaciół lub przyjaciołek mających w nich występować. Dobry ton nakazuje nawet grać tylko *des pièces inédites*, których aktorowie z professyi swem dotknięciem nie splamili.

Jako taka, nader mile przyjętą została w sferach wyższych, świeżo wydana komedya Girardina „*Córka Milionera*“, którą autor niechcąc szarzać po teatralnéj kuṙzawie, ani narażać na kaprysy gminu, salonowéj scenie przeznaczył. Dramatyczny ten utwór sławnego publicysty, równą jak artykuły jego odznacza się śmiałością: jestto rehabilitacya tegoczesnego milionera, którego do dziś dnia młodzi autorowie ze starożytnych kopiują wzorów. Właściwy tytuł téj sztuki powinienby być, nie: *La fille d'un Millionnaire*, lecz: *Le Millionnaire peint par lui même* Charakter dzisiejszego kapitalisty Girardin oddał w niéj z dokładnością weneckiego zwierciadła; komedya jego chociażby niebyła niczem innem jak tylko dagierotypem bogacza, owego absolutnego monarchy naszych demokratycznych czasów, już na uwagę zasługuje; dla tego zatrzymamy się przy niéj chwilę.

Portrety finansistów mają swoje historyczne i literackie tradycye. W wiekach średnich uosobieniem bogacza był żyd podły z wyżółkłą od złotéj łuny twarzą, i oczyma w których błyszczy chytrość kocia zmięszana z sowią mądrością. Długa broda zakończona ostro i wielka czapa futrzana, stanowią ramy téj niemile wyrazistéj głowy. Brudne to uosobienie lichwy, ówcześni malarze sadzali zwykle za stołem posypanym dukatami, lub przy otwartéj skrzyni pełnéj różnego rodzaju pieniędzy. Tenże sam obraz stawiają nam przed oczy kronikarze i bajarze ówcześni: w wiekach bowiem średnich pieniądz był skazany na niepłodność; skoro tylko chciał mnożyć się i wzrastać, prześladowano go i wyklinano; każda operacya finansowa była wtedy uważana jako sprawa czarta, a każden spekulant za godnego stosu czarownika. Wieki średnie z natury swego ducha musiały gardzić skrzętnością i zyskiem, pogarda mamony była koniecznym wynikiem ascetyczno-rycerskiego usposobienia ówczesnéj społeczności. Swiat produkcyj-

ny, handlujący, przemysłowy, niemógł mieć żadnego znaczenia dla błędnych rycerzy pogrążonych w mistycznéj zadumie, łamiących miecze za sprawę ideału, lub w obronie idealnéj kochanki, a pieniędzy potrzebujących tylko na okup, albo ozdobę zbrojcy. — To też złoto pogardzone w tym wieku żelaznym, ściekło z całego globu do izraelskich kufrów, i tam zagrzebane, rosło wolno i po cichu, jak minerały we wnętrznościach ziemi ukryte.

Włochy pierwsze rehabilitują pieniądz w epoce odrodzenia. Podczas kiedy rycerskie państwa wojowały na czczo i kruszyły kopie na turniejach, drobne rzeczypospolite półwyspu otworzyły banki, i rozwiesiwszy kupiecką flagę zamiast herbownéj chorągwi, rozpoczęły handel na wielką skalę. Zdziałane pieniędzmi cuda ztamtąd pierwszy raz błysnęły w oczy zdumionemu światu.

Uosobieniem kwitnącéj i potężnej Wenecyi są *Gody* Veroneza. Na tym obrazie widzimy owych kupców ubranych przepyszniéj niż monarchowie, a biesiadujących suciéj niż najpotężniejsi mocarze.

Florencya wnet wstąpiła w ślady Wenecyi. Medyceusze, pierwsi ukoronowani bogacze, złotym deszczem podlewając ziemię, wskrzesili pogrzebane w niéj starożytne skarby; wnet ze skał marmurowych wybiegły pełne wdzięku posągi — płótna trysnęły życiem i barwą— zwoje drogich materyj zaszumiały jak drugie morze z lazuru i purpury. Złoto zyskane w handlu, sztuka oczyszczała w swéj dłoni i oddawała je w kształcie ołtarzy, czar i klejnotów drogocennych. — Za Medyceuszów, Plutus bóg złota, ukazuje się już nie ślepy i chromy, jak w karykaturach Arystofana, ale piękny i nadludzko potężny.

Im bliżéj naszych czasów, tem wpływ pieniędzy wzrasta, tém bogactwo do osiągnięcia poważniejszych dąży rezultatów. Anglia przywdziawszy szarą odzież kupiecką i nie ruszywszy się ze sklepu, podbiła Indye. Bogactwo nabrało tam już wagi wpływu politycznego — zjednoczyło się ze znaczeniem i potęgą krajową. Ów kupiec londyński, co na bursę biegnie piechotą zadyszany, płaci wielkiego Mogoła, zrzuca z tronu Sułtanów, wystawia armie potężne. Toż samo kupiec amsterdam-

ski: w Europie jest episjerem, w Jawie nababem, królem prawie.

To też Rembrandt już finansistę nie w żydowskim łapserdaku przedstawia. Bankier jego w turbanie i delii wspaniałéj, siedzi przy biórku poważnie jak sędzia lub patryarcha: duch epoki zdaje się wyzierać z bystrych oczu Rembrantowskiego kapitalisty — a śmiały ten obraz jest jakby godłem nowéj królewskości.

Panowanie pieniędzy daleko późniéj rozpoczęło się we Francyi niż w Anglii. Mniéj pozytywne usposobienie narodu, arystokratyczne tradycye, mniejsza zdatność do handlu — wszystko to długo wstrzymywało tutaj wpływ i działalność pieniędzy. Nadto, wrodzony francuzom sybarytyzm i dziecinna do błyskotek skłonność, długo czyniły kapitały tylko narzędziem zbytku i nierządu. Pieniądz zapracowany i patryotycznie użyty w Anglii, we Francyi leżał bezpłodny albo płodził rozpustę. Ztąd owa pogarda dla kapitalistów i śmieszna rola jaką na francuzkiéj scenie zajęli.

Pan Girardin w komedyi swojéj dowodzi, że się rzeczy zupełnie zmieniły, że od czasów Turkareta całe upłynęły wieki; powiada, że prąd interesów dawniéj tylko w kole podejrzanéj korporacyi krążący, wezbrał, zalał wszystkie klasy społeczne, i stał się morzem, po którém wiek nasz płynie do swego przeznaczenia. Kapitał wyszedłszy z piwnic gdzie spoczywał bezczynny, najtrudniejsze przedsięwziął i dokonał dzieła — urzeczywistnił wszystko co pomyślała nauka. — Rezerwoarem do którego wpływają wszystkie prądy różnorodnych interesów, jest Bursa; ona to je mięsza, waży, klaruje, i utrzymuje bezwładny metal w wiecznym ruchu; tam powstał nowy sposób zbogacenia się, wcale nie tak brudny jak mniema wielu niemających o rzeczy wyobrażenia. Nagłe przemiany ubóstwa na dostatek, które dawniéj pomocą czarta tłómaczono, dziś tłómaczą się naturalnie dokładnem obrachowaniem, bystrością poglądu, trafnością kombinacyi. — Dawny typ bogacza w który ciągle się bawią autorowie nie mający o finansach wyobrażenia, wygląda dziś na scenie jak król Midas. Czas już skończyć te żarty nie zabawne, bo oddawna pozbawione przedmiotu — czas obalić złotego cielca z którego każdy z przywyknienia szydzi nie patrząc, a po-

kazać finansistę jakim jest w istocie: mądrym, potężnym i użytecznym.

Oto czego chciał i co sobie założył dowieść pan Girardin. Na tem tle z głęboką świadomością rzeczy odmalował milionera wolnego od wszelkich słabostek i śmieszności. — Pan Adam widzi bystro, rachuje dobrze, jest przezorny i nie głupi, jak człowiek, który się dorobił milionów. Wbrew przyjętemu przez dramaturgów zwyczajowi, niedaje się ułowić na jedwabne sieci, które zastawia przed nim zrujnowana margrabina chcąca syna z jego córką wyswatać. Pan Adam nadto miał do czynienia z ludźmi interesowanemi, żeby pod cukrowemi słówkami wielkiéj damy, interesu nie dopatrzył. Margrabina nie mogąc go podbić pochlebstwem, probuje innéj drogi, potwarzy. Knuje z przyjaciołmi spisek tak mocno kompromitujący milionera i jego córkę, że zeń z honorem tylko przez kościół wyjść zdoła. Ale milioner i tę zasadzkę przezornie omija. — Wyszedłszy nienaruszony z kobiecéj matni, wydaje córkę za inżyniera, a paniczowi który nie należał wcale do intryg matczynych, uczciwszym choć mniéj łatwym sposobem do odbudowania majątku dopomaga — to jest, daje mu miejsce w swoich biórach i otwiera szerokie pole do robienia fortuny. — W końcu, jako człowiek czynu, pracujący dzień cały, przeto nie mający czasu nienawidzić, przebacza nawet Margrabinie jéj podstępne zabiegi, i przekonywa ją, że nie sprzedawanie pieprzu, ale sprzedanie siebie samego plami tarczę herbową.

Sztuka ta, wywoła zapewne liczne krytyki, bo zbyt śmiało potrąca dość zakorzenione jeszcze opinie. Co do mnie, nie pisząc tu rozbioru, ale prostą wzmiankę, dodam tylko, że czyta się bardzo przyjemnie, że dialogi są jasne i ścisłe jak polemika dziennikarska autora, argumenta zaś odznaczają się ową gryzącą werwą i donośnością, która cechuje wszystkie pisma Girardina.

Miły wypoczynek po tych finansowo-dramatycznych rozprawach — których bądź co bądź zawsze z tabliczką Pitagoresa w ręku słuchać trzeba — znalazłem temi dniami w *Théâtre Français* na przedstawieniu nowéj sztuki autora *Fiamminy*, pana Mario Uchard, pod tytułem „*Le Retour du Mari*“ w któréj o radości! nie ma żadnéj wzmianki o pieniądzach. Pojąłbyś tę radość

gdybyś jak my tutaj, od dziesięciu lat widział na scenie same tylko lujdory — nie słyszał innych dialogów prócz dźwięku dukatów i chrzęstu biletów bankowych. Teatra paryzkie, gdzie dawniéj królował geniusz, szumiał dowcip lub kipiały wrzące namiętności, dziś stały się łożyskiem Paktolu, który w chłodnych swych nurtach ciągle złoty piasek toczy. Pieniądz, ów bohater bez serca i bez litości, stał się Apolinem młodych poetów; czy to dramat, czy komedya, tragedya czy opera, rzecz dzieje się niechybnie w kassie, a osobami są worki z pieniędzmi; autorowie porzuciwszy zupełnie inne widoki i cele, suszą sobie mózgi nad układaniem spadków, dochodzeniem zatraconych majątków i posagów, wygrywaniem przegranych procesów, obliczaniem procentu od procentów, lokowaniem kapitałów i t. p.— Tak zaś wyłącznie tem się zajmują, że aby celować w téj nowéj szkole literackiéj, nie do Sorbony ale na Prawo chodzić trzeba; naczelnikiem jéj zaś może być tylko bankier lub adwokat.

I dziwże się tu, widząc taki kierunek sceny, która jest szkołą dla ludu, miejscem zkąd najsilniejsze wynosi on wrażenia; że Paryżanie tylko o pieniądzach myślą, że marzą tylko o skarbach i rozkoszach jakie daje zamożność. Sny o złocie zawsze są niebezpieczne, a mianowicie też jeżeli wchodzą przez wykwintne literackie podwoje. Zostawiają one przebudzonemu smutne podarki: zazdrość, złość przeciw możnym, niechęć dla całego świata — czynią przykrzejszą rzeczywistość, radzą nienawiść mierności i nienawiść pracy— ostatecznie sprawiają, że człowiek nie ma innego celu i innéj dążności prócz żądzy używania, prócz chęci zyskania wiele złota bez trudu i pracy.

Z tego stanowiska zapatrując się na rzeczy, przedewszystkiem należy być wdzięcznym panu Uchard za to że o pieniądzach nie wspomniał. Za to że napisał ładną sztukę, należy mu się wdzięczność ale tylko podrzędna — zważywszy zaś żeśmy już o teatrze dosyć mówili, poprzestajemy na ogólnéj pochwale jego komedyi, i przechodzimy do innych przedmiotów.

Na ostatniém swem posiedzeniu tutejsza Akademia Umiejętności zajmowała się ważném odkryciem doktora Collongues, który jak się zdaje, rozwiązał nierozwiąza-

ną dotąd zagadkę rozróżniania prawdziwéj od pozornéj śmierci. Dotąd jedynemi dowodami martwości ciała było ustanie oddechu i milczenie serca, które jak to wiele smutnych stwierdziło przykładów, czasami całkowicie swoje funkcye zawiesza, chociaż życie z organizmu nie ustąpiło.

Przekonawszy się o tem, i odrzuciwszy powyższe symptomata jako omylne, lekarze niemieli innego środka poznawania rzeczywistéj śmierci prócz zgnilizny— kwestya zaś stanęła na tym samym stopniu na jakim ją zostawił Hippokrates. Ponieważ tedy rozkładanie się ciała było jedynym dowodem śmierci, a w Paryżu nie tylko domy pośmiertne nie znane, ale zwłoki wedle policyjnego przepisu, trzeciego dnia rano już w grobie złożone być powinny — Bogu tylko wiadomo, ile strasznych przebudzeń mogło nastąpić wśród tak wielkiéj ludności. Jeżeli więc nowo wykryty symptom zdradzający obecność życia, pokaże się w istocie tak nie mylny jak tego w memoryale swoim dowodzi Collongues, młody ten lekarz będzie słusznie w poczet dobroczyńców ludzkości policzony.

Collongues powiada, iż znajduje się na piersiach człowieka pewien punkt, na którym przyłożywszy ucho słychać szum podobny do tego, który wydaje muszla przytknięta swym otworem do ucha. Szum ten pochodzi z ruchu organów w ciele żyjącem, i ustaje dopiero w pięć, dziesięć, lub pietnaście godzin po śmierci. Ustanie tego szumu, który w najsłabszym organizmie wyraźnie słyszeć się daje, jest wedle pana Collongues niezawodnym dowodem śmierci. Dla uniknienia wszelkiéj wątpliwości jaka z powodu tępości słuchu badacza wydarzyć by się mogła, Collongues sporządził narzędzie drewniane w kształcie myśliwskiego rogu, którego szerszy otwór kładzie się na punkt anatomicznie oznaczony na ciele pacyenta, a wązki przytyka do ucha lekarza.

Poszukiwania w tym przedmiocie, któremi pan Collongues zajmował się przez lat dziesięć, a których rezultat złożył obecnie Akademii lekarskiéj, zajęły żywo to uczone grono. Wyznaczona niezwłocznie komissya ma stwierdzić trafność podanych obserwacyj, poczem, skoro się o ich prawdzie przekona, Akademia przyzna panu Collongues nagrodę naznaczoną za ten przedmiot przez

professora uniwersytetu rzymskiego, doktora Manni, która dotąd na znawcę prawdziwéj śmierci czekała.

Jestto podobno najważniejszy niepolityczny wypadek tego miesiąca, w którym polityka wyłącznie wszystkich zajmuje. Literatura żadnéj w jego ciągu nie gra roli— publiczność czyta tylko dzienniki. Trudno żeby było inaczéj. W obec faktów, w obec strasznéj rzeczywistości, blednie wszelka teorya, wszelka nauka, wszelka choćby najjaskrawsza fikcya. Zbyt mocno wstrząsają nami wypadki bieżącéj chwili, żebyśmy mogli czy to na literackie, czy artystyczne pole spokojne robić wycieczki. Ot, jak ci powiedziałem, słuchamy ostatniego aktu *Lukrecyi.*— Orsini śpiewa swą przedśmiertną piosneczkę....

Londyn w marcu.

Anglia chlubiąca się słusznie z wydoskonalenia sztuk mechanicznych, niemożna powiedzieć żeby w równym stopniu mogła się szczycić z wydoskonalenia sztuk pięknych. Rozwój ostatnich, wzrastający do nich gust i zachęta, należą właściwie do niniejszéj pory, a postęp jaki się w nich robi, zawdzięcza się w znacznéj części ukształceniu do nich smaku w łonie panującéj rodziny. Królowa Wiktorya lubi muzykę, rysunki, malarstwo i sama w nich celuje. Książe małżonek posiada także smak wysoce wykształcony i bierze najczynniejszy udział we wszystkiem, co może go podnieść w kraju. Za jego przyczynieniem się, pod jego prezydencyą, wybudowany był przed kilku laty pałac kryształowy na wielką wystawę, na któréj obok surowych płodów i wyrobów rękodzielniczych różnych krajów, sztuki wyzwolone, a osobliwie snycerstwo, miały pole do popisu. Na przechowanie pamięci tej sławnéj wszystkich narodów wystawy, za jego poradą wzniesiono drugi pałac kryształowy w Sydenham, podobny do pierwszego i w tym samym celu; a z tym większym jeszcze pożytkiem, iż ma służyć nie na tymczasowy lecz na stały skład bądź to ziemiopłodów różnego rodzaju, bądź wyrobów fabrycznych, bądź ciekawych wynalazków, jakoteż utworów sztuk pięknych, jeśli nie w oryginałach, bo nabycie tych

często trudne, to w wiernie zrobionych kopiach, modelach i odlewach. Zwolna, za obudzeniem ciekawości począł zarazem obudzać się smak do sztuk pięknych w narodzie. Wystawy ich weszły w modę, mnożą się jedne po drugich, a najbogatsza z nich była przeszłego roku w Manchester. Nadto, za staraniem księcia małżonka założono nowe dla sztuk pięknych muzeum w Kensington, zostające pod szczególną jego opieką, i ustanowiona przy niem szkoła dla kształcenia młodzieży w różnych oddziałach sztuk z zastósowaniem do dekoracyjnych rzemiosł.

Lecz niedość na tem. Zawiązało się w stolicy towarzystwo pod nazwiskiem *Art Union*, w celu skupienia w jeden punkt środkowy wszelkich artystycznych i rzemieślniczych wyrobów i również wynalazków najnowszych, i nadania silniejszego do nich popędu w rozmnożonych w kraju instytutach mechaników. Członkowie tych instytutów, za przybyciem do stolicy, mają wolny wstęp za okazaniem biletu do zakładu towarzystwa sztuki; wolno im oglądać modele nowych machin i ciekawe wynalazki, i bywać na odczytach dawanych w przedmiotach sztuk i rzemiosł. Nie na tem koniec. Dla nadania większego im popędu w całym kraju, Towarzystwo rozsyła wiele rzeczy w zbiorach jego znajdujących się do Instytutów mechanicznych na prowincyi, tworząc z nich wystawy, które zwykle pomnażane ciekawościami z okolicznych miejsc zebranemi, nastręczają obfite źródło do nauki i zabawy. Na jednéj z takich prowincyonalnych wystaw w tych dniach byłem. Sciany obszernéj sali były okryte do koła różnego rodzaju obrazami w rycinach, akwarelach, litografiach, chromolitografiach i t. d. — wszystko to w najwyborniejszych wzorowych próbkach. Było tam kilkadziesiąt litografij różnych części budowli ostatniéj wystawy paryzkiéj i również kilka wystawy monachijskiej. Wyborna i wielka rycina „koni na jarmarku“ przez Różę Bonheur, odrytowana przez Landseera; kilka próbek krajobrazów fotogalwanograficznych Pawła Pretch, a między niemi ciekawy portret Rembranta w tym samym stylu. Fotogalwanografie są jednym z nowszych wynalazków w sztuce malarskiéj. Mniemam, jeśli się niemylę, że go przypisują Pawłowi Pretch jako pierwszemu wynalazcy. Pretch

był jednym z urzędników cesarskiéj biblioteki wiedeńskiéj. Po środku sali porozstawiane były do przeglądu rozmaite zabytki sztuki starożytnéj i wyroby nowszych czasów: tarcze, hełmy, patyny, puhary, z wypukłą na nich robotą ludzi, zwierząt i innych ozdób jakie były dawniej we zwyczaju; roboty w marmurach kararyjskich, w słoniowéj kości, w alabastrach i drzewie; wazy i naczynia bronzowe różnego rodzaju i kształtu. Wiele ich było w elektotypach srebrnych i złotych. Znajdowały się próbki malachitów, topazów, jakoteż różnego rodzaju minerałów i rud w rodzimym stanie. Było też mnóstwo stereoskopów, jeden doskonalszy od drugiego i poprawniejszy. Dałoby się wyszczególnić wiele innych rzadkich rzeczy i osobliwości, ale na tych przestaję. Wieczorami dawano odczyty, w których wykładano teoryę wynalazków trudniejszych, z zastósowaniem ich do konstrukcyi stereoskopów, elektrotypów, do chromo-fotografii, i tym podobnych w praktykę wprowadzonych odkryć. Nie przepomniano też robienia doświadczeń za pomocą mikroskopów, przez które w wodzie i innych płynach odkrywano dla młodzieży cudowny świat istót żyjących, gołem okiem niedostrzeżonych.

Oprócz tych i tym podobnych dawniejszych instytucyj założonych dla sztuk, wychodzi miesięczne pismo *Art-Journal*. Traktuje ono w ogólności o sztukach wyzwolonych, budownictwie, snycerstwie, malarstwie — o ich zasadach i historyi u wszystkich narodów, a szczególnie w W. Brytanii. Jest to pismo artystyczne w całem znaczeniu tego wyrazu, tak co do formy jak do druku. W niem najpiękniejsze ryciny krajobrazów, pomników i osób wraz z historycznemi ich opisami. W numerze marcowym na przykład, znajduje się na czele pyszna rycina wielkiego obrazu z galeryi królewskiéj: „Wjazd króla Jerzego IV do Edynburga i przyjęcie go przez Szkotów w pałacu Holyrood,“ druga zaś wyobraża statuę poety Tomasza Campbella, wystawioną w kościele opactwa Westminsterskiego. Statua ta jest dłóta snycerza angielskiego Caldera Marshal. Poeta „Nadziei“ z wyrazem natchnionego zadumania w twarzy przedstawiony stojący, z zarzuconym lekko płaszczem rektorskim uniwersytetu glasgowskiego, w prawéj ręce ma styl a w lewej trzyma księgę w której zapisać ma swoje myśli.

U stóp jego lutnia, a na niej wieniec wawrzynowy. W poprzedzającym numerze z lutego była rycina grupy: „Ranny w Skutari.“ Wyobraża żołnierza rannego, w pochylonéj postawie, zbliżającego się na szczudle ku Florencyi Nightingale, a ona bierze go za rękę pocieszając z litością chrześciańskiéj posłanki, malującą się w jéj postaci. Grupa ta miłosiernéj dziewicy jest z białego marmuru, dłuta Phyffer osiadłego w Londynie belgijczyka. Grupa cała obok największéj prostoty, pełna wyrazu; widocznie, wyższe uczucie przedmiotu dłutem snycerza kierowało. Płaszcz spada z jéj ramion w fałdach lekkich, jakby spływał na podstawę. Zgoła, cokolwiek w grupie jest, to wszystko uidealizowane, wytrzymujące krytykę.

Nie pierwszy to raz do was piszę o pannie Florencyi Nightingale, lecz pozwólcie mi więcéj o niéj dodać; zwłaszcza że i nasze rodaczki widziałem niegdyś pełniące podobne jak ona usługi ludzkości dla bliźnich, a przeto pewien jestem, że będą one rade usłyszeć co więcéj o skromnéj i potulnéj swéj siostrze w uczynkach chrześciańskich, .dyż taką ona była i jest, lubo zasługi jéj głośne. Ze wszystkich pozostałych znakomitości z krymskiéj wojny, ona można śmiało powiedzieć, jest najsłynniejszą, najczystszą. Urodziła się r. 1823 we Florencyi, we Włoszech, i ztąd jéj chrzestne imie Florencya. Pochodzi z rodziców zamożnych posiadających majętność ziemską Embley-Park, graniczącą z Broadlands, majątkiem lorda Palmerstona, w hrabstwie Hampshire. Wychowanie odebrała po części w rodzicielskim domu, po części w instytucie panieńskim siostry sławnéj autorki Martineau w Liverpoolu. Resztę edukacyi ukończyła na podrożach z rodzicami po Francyi, Włoszech i Niemczech i obeznana jest z językami tych krajów. W roku 1851 odbyła podróż do Niemiec, i przez trzy lata mieszkała w Kaiserwerth nad Renem, u protestanckich siostr miłosierdzia usposabiających pod swym dozorem posługaczki dla szpitalów i chorych. Za powrotem z podróży do Londynu, obrała sobie mieszkanie w tak zwanem „Sanatorium“ czyli szpitalu na ulicy Harley, dla chorych kobiet podupadłych familij. Instytut ten chylący się do upadku własnemi funduszami wsparła, i lepiéj go urządziła. Wojna na Wschodzie i rozgłos cierpień wyrwały ją z spokojnego zacisza, aby biedz w ślady Ho-

warda na pomoc cierpiącéj ludzkości. Jaką ulgę tam niosła, znanem jest z dziejów krymskiéj kampanii. Wielkie jéj poświęcenie uznane zostało przez królową, równie jak przez cały naród, który w hołdzie dla niéj złożył 45,000 fst. na założenie w kraju pod jéj imieniem instytutu do kształcenia posługaczek dla chorych. Suma ta dana zupełnie pod jéj rozrządzenie, i nikt zapewne niepotrafiłby jéj stósowniéj na powyższy cel użyć jak ona. Bodaj tylko zdrowie jéj do tego posłużyło; bo po tylu mozołach i niewygodach znacznie na niem podupadła. Jak najszczersza życzliwość dla niéj panuje w całym narodzie. Podziwiana przez wyższe klasy, z których wyszła i do nich należy, szczególniéj uwielbiana jest między ludem ubogim. Z urzędowego spisu chrztów pokazało się, że od czasów wojny mnóstwo dzieci u ludu prostego otrzymuje na chrzcie imie Florencyi, które dawniéj nie było tu wcale znane. Protestantyzm, który przestał czcić świętych, uczuwa potrzebę onych i cześć ich przenosi na osoby żyjące, które mu ideałem świętości się wydają. Dla tego nadaje imię Florencyi, dla tego u Longfellow amerykańskiego poety, Florencya Nightingale jest „*Santa Philomena*“ (bo ojcowskie jéj nazwisko „Nightingale“ znaczy słowik) i pod tym też napisem do niéj, jako do świętéj wiersze swe poeta stósuje.

W Anglii jak we wszystkich protestanckich krajach niema zwyczaju brać z kościelnego kalendarza chrzestnych imion dla dzieci, ztąd to zdarza się napotykać u Anglików tyle rzadkich, nigdzie niesłyszanych a często nawet dziwacznych imion chrzestnych. Pospolicie, imiona rodziców chrzestnych przenoszą się na chrzczone dzieci, lecz i w tych razach niezawsze chrzestne ich imiona lecz nazwiska familijne. I tak np gdyby pan Kadłubek trzymał do chrztu syna p. Pudełki, nadałby mu może imie: *Kadłubek* Pudełko. Jakkolwiek to się wydaje śmiesznem, ale są jeszcze śmieszniejsze, jak się przekonałem przeglądając wykaz ogólny chrztów tego roku. Jedno, naprzykład, dziecię ochrzone było: „Alpha Omega“ — Pomiędzy klasą ludu biedną i nieoświeconą niema imienia tak dziwacznego lub wcale nieprzyzwoitego, któregoby rodzice swym dzieciom na chrzcie niedawali, albo raczéj na całe życie niem nie piętnowali,

jak to: *Lavender Marjoram*, *Patient Pipe* (cierpliwa fajka), *Tabitha Cumi*, *Fussy Gotabed* (trzepaczko pójdź spać); a edno dziecię stało zapisane: *Eli Lama Sabachtani Pressnail!* Rodzice ambitniejsi, w chęci uszlachcenia swych swych dzieci chrzcą je zawczasu imionami: Lord, Earl (hrabia) princess Charlotte (ks. Karolina) i t. d. Wojna ostatnia z Rossyi dostarczyła rycerskich imion, które jak znaczki dzieciom poprzypinano, jakoto: Sebastopol, Małachów, Redan, Alma, Bałakława.

O małżeństwach niektóre zapiski także ciekawe. Siedemdziesięcioletni starcy stoją notowani jako pojmujący siedemnastoletnie prządki (spinsters) za żony; bo w kraju rękodzielniczym prządki a panny są synonimami. Czasem też w księgach stoi: „Obrządek ślubny począł się ale nie był dokończony, bo go przerwano" albo „pan młody tak się spił, że nie można było dać mu ślubu." Gdyby nazwiska miały być skazówką charakteru ludzi, to sądząc z nich, mniemanoby że najdziwniejsze związki małżeńskie w Anglii są zawierane. I tak mężczyzna „Friend" (przyjaciel) żeni się z kobietą nazwiska „Amor." Panna „Lamb" (jagnię) przed ślubem, zamienia się na panią Lion (lwicę), słowik żeni się z kuropatwą. Szynka idzie za baraninę. Łosoś żeni się z kodfiszem, i t. d. Nazwiska takowe są gminne; arystokracya ich niema i unika. Urodzona Lady straciłaby kastę, gdyby za kogo z gminnem nazwiskiem za mąż wyszła. Kobiety pod tym względem są zachowawczemi. Córki lordów wychodzące za nieszlachciców (commoners), nawet po zamężciu nietracą tytułu „Lady" z chrzestnem jéj imieniem do którego nazwisko męża się dołącza. I takim sposobem żona męża *Mr.* NN. to jest nieszlachcica, nie jest *Mrs* NN. jak bywa zwyczajnie według znanéj reguły: *mulier sequitur conditionem mariti*, lecz jakąś *Lady Adelina* (NN.) Kobiety angielskie pod tym względem podobne do śpiewaczek włoskich, które raz zrobiwszy sobie imię na operach, choćby poszły za mąż pozostają przy swem panieńskiem nazwisku.

W przedmiocie piśmiennictwa w ciągu bieżącego miesiąca, niewyliczam innych pomniejszych dzieł których ciągle mnóstwo wychodzi; wspominam tylko, iż wkrótce wyjdą z pod prasy u Bentleya Pamiętniki Guizota „*Memoirs of*

his own Times.“ Są one przeglądem publicznego jego życia i wypadków politycznych w których p. Guizot miał czynny udział lub był ich świadkiem. Poczyna od wylądowania Napoleona I z Elby. Opisuje sławne sto dni, Restauracyę i upadek Karola X. Rozwodzi się najobszerniéj nad panowaniem Ludwika Filipa, kiedy zajmował znakomitą posadę ministra. Wyświeca czynności i wypadki w czasie republiki i kończy na przywróceniu cesarstwa przez Napoleona III. Pamiętniki z pod jego pióra wychodzące będą nieoszacowanym skarbcem i ważnym przyczynkiem dla historyi. Oryginał francuzki drukuje się w Paryżu równocześnie z przekładem angielskim w Londynie. Pora dla drukowania dzieł historycznych we Francyi nieprzyjazna; niewiadomo jak się oryginał z tłómaczeniem pogodzą. — Kardynał Wiseman ogłasza także jeden tom swéj pracy pod tytułem: „*Personal Recollection oh the last four Popes*“ zawierający przypomnienia Kardynała o czterech ostatnich papieżach. Dziełko wychodzi z wizerunkami tych papieżów pięknie rytemi na stali.

Na wspomnienie zasługuje także życiorys Williama Paterson kupca finansisty i fundatora banku angielskiego, napisany przez S. Banister, pod tytułem: „ *William Paterson, the Merchant, Statesman and Founder of the Bank of England; his Life and Trials.*“ Imie Patersona, pod wielu względami nadzwyczajnego człowieka, ledwie było znane publiczności angielskiéj; p. Banister swem pracowitem dziełem uratował je od zapomnienia. Paterson był rodem Szkot, przygody życia jego są rozmaite. Jeden z jego współczesnych, robiąc o nim wzmiankę podaje: „że przybył do Anglii z sakwami na plecach, włóczył się po kraju przez kilka lat jako kramarz, ożenił się w okolicy Oxfordu z zasobną wdową; następnie widywano go po rynkach prawiącego kazania do ludu, póżniéj wywędrował do Ameryki.“ Tu przyłączył się do piratów, podobnych jemu awanturników angielskich, z których jeden nazwiskiem Henryk Morgan został późniéj wyniesionym na wicegubernatora Jamajki. Za powrotem do kraju założył był dom kupiecki, lecz nie długo sprzykrzył sobie handel, niemając usposobienia do regularnego trybu prowadzenia interesów. Nawyknąwszy od młodu do wędrownego życia, a podczas zatrudnień

pirackich do kosmopolityzmu, niepodobna mu było czem stałem się zająć ani na miejscu usiedzieć. Umysł mając ustawicznie zaprzątniony Ameryką, a szczególniéj środkową jéj częścią, jako to: Meksykiem, Panamą i posiadłościami hiszpańskiemi, których brzegi podczas żeglugi pirackiéj zwiedzał i znał dokładnie, wpadł na projekt utworzenia wolnéj rzeczypospolitéj czyli założenia europejskiej osady w Daryi Z tym awanturniczym projektem objeżdżał kraje niemieckie, namawiając do wspierania siebie różne książęta a szczególnie elektora Brandeburskiego, jakoteż kupców w Amsterdamie i w Hamburgu, rozprawiając im po knajpach o nieobrachowanych korzyściach jakie z założenia takowéj osady mogą spłynąć dla ich handlu w Indyach zachodnich. Wielu znalazł łatwowiernych co dali się uwieść namowami spekulanta. Nazbierał składek, wysłano ludzi na osadników z Niemiec i nieco z Anglii, lecz ci nie będąc aklimatowani, od szkodliwych wyziewów bagnisk Panamy wkrótce wszyscy wymarli. On sam utracił tam drugą swą żonę, i tak cały składkowy kapitał był zmarnowany. Pomimo tego tak dotkliwego zawodu, Paterson niedał się zrazić od dalszych spekulacyj. Król William potrzebował zasiłków pieniężnych. Wiedział on będąc holenderczykiem, jak w takich razach instytucya taka jak bank w Amsterdamie były pomocnemi i usłużnemi; nasunął podobno myśl, chociaż to zostaje tajemnicą, do utworzenia podobnego banku w Anglii. Tajemnicą równie zostaje, dla czego Paterson a nie kto inny był do tego za narzędzie użyty. Dość, że on przez zabiegi swe potrafił zyskać ufność u kupców londyńskich, tak dalece, że król otrzymał od nich szczęśliwie 12,000 fst. pożyczki, a która pożyczka do dziś dnia została niewypłaconą właścicielom banku i cięży na następcach tego króla. Czem się jednak odwdzięczył król bankowi, to nadaniem mu prawa inkorporacyi (charter of incorporation), na mocy którego począł od tamtych czasów istnieć jako „*Bank of England*“ześrodkowując w sobie bogactwo publiczne i prywatne, jakoteż interesa finansowe całego kraju a w części i ś iata. Paterson można powiedzieć podał do tego banku pierwszy zawiązek pożyczką dla króla, lecz już za życia jego przeszła ta instytucya w stalsze, bieglejsze i gospodarniejsze ręce, i pod pilnym nadzorem doszła do tak obszer-

nego rozwinięcia i rozmiarów, w jakich bank angielski teraz widzimy, o czem założyciel jego ani sobie marzył. Paterson w porównaniu z ekonomistami co po nim nastąpili i co dziś w bankach zasiadają, był poniekąd tem czem alchimiści średnich wieków byli w porównaniu z Lavoisierem i Davy. Paterson pomimo fundacyi banku angielskiego, przyszedł, jakto się najczęściéj wielkim spekulantom zdarza — do największéj nędzy, że na utrzymanie jego wraz z familią wypłacano mu czasem po 50 i po 100 fst. z dobroczynnego funduszu królowéj. Umarł roku 1718. Powierzchowność jego miała być uderzająca. Jeden z jego współczesnych taki daje jéj opis: „Na publicznych miejscach wydawał się z głową tak nabitą interesami i kłopotami, jak gdyby Atlas ciężył na jego barkach. Jeśli komu przyszło do głowy wydawać się mądrym, pierwszym krokiem do tego było przybranie na siebie fizyonomii Patersona. Nie wielu miało takie wyobrażenie o cudach jakich on dokazać był zdolnym, że rozgadywali jakoby był zajęty wynalazkiem machiny, za któréj pokręceniem miał obrócić całą Anglię od północy na południe i wyspy Orknejskie obrócić w miejsce gdzie są wyspy Scillyjskie“

Bogactwo Anglii i wzrost jéj fabryk ekonomiści przypisują głównie obfitości węgla ziemnego, którym natura kraj ten obdarzyła. Węgiel ten kopalniany w stósunku do siły ludzkiéj jest zadziwiający. Według obrachunku przez prof. Rogers zrobionego, blisko szósta część corocznéj produkcyi węgla z kopalń wychodzi jedynie na operacye sił mechanicznych, a siła z nich sztucznie wydobyta, wyrównywa w ogóle 60,000,000 rąk ludzkich w całéj czerstwości męzkiego wieku zostających. Każdy morg angielski gruntu, z warstwą na 5 stóp czystego węgla, dającą około 5000 beczek, zawiera ilość mechanicznéj siły wyrównywającą sile 1600 robotników do pracy przez całe życie; a jedna mila angielska kwadratowa tegoż czystego materyału, wydająca do 8,000,000 beczek, wyrównywa sile jednego miliona dorosłych czerstwych ludzi przez ciąg 20 lat. Podług tegoż obrachunku ilość węgla używanego rocznie teraz do ruchu machin w Anglii, Szkocyi i Irlandyi, wyrównywa sile męzkiéj 400,000,000 ludzi, co jest dwa razy tyle, ile znajduje się dorosłych mężczyzn na całym okręgu ziemskim. Wy-

stawcie tedy sobie, wyspa nie licząca jak 38,000,000 ludności wyrobiła u siebie w dodatku mechaniczną siłę tylu set milionów rąk ludzkich. Inne kraje w obec takiego olbrzyma wydają się karłami. Nie dziw, że taki naród potęgę swą nad całą kulą ziemską rozpościera.

Jeszcze mały jeden szczegół, a skończę. W mieście Preston, przy przerzynaniu piłą klocu drzewa u jednego cieśli, znaleziono wewnątrz dziurę czyli otwór na ośm stóp długości, i obszerniejsze nieco miejsce, na które piła natrafiła, zapełnione płaszczami miodu. Miód w skutek czasu zamieniony był w masę twardą woskową, jednakże taką, iż pszczoły i nawet zarodki do nich w płaszczach były wyraźne do rozpoznania. Różne robiono domysły, jak pszczoły z tego wydrążenia wydostać się nie mogły, a jeden domysł był ten, że drzewo rozrastając się zasklepiło z czasem jedyny do wyjścia im otwór. Pytanie więc, czy i w naszym kraju, sławnym niegdyś z bartnictwa, zdarzały się podobne przykłady zasklepienia pszczół, nie mówię w barciach bo o tych bywa dość starania, lecz w innych drzewach w których roje pszczół czasami osiadają.

GAZETKA LITERACKA

Kraków. W tych miesiącach objawia się większy ruch w wydawnictwie dzieł polskich; drukarnie zarzucone różnemi robotami nieliterackiemi, zaledwo mogą dostarczyć potrzebnéj ilości zeszytów do Biblioteki polskiéj K. Turowskiego — z tego powodu publikacya Biblioteki nie idzie tak spiesznie jakby wydawca sobie życzył. Od czasu też Pism X. Wereszczyńskiego i Oblężenia Saragossy, które pojawiły się jakoś w końcu stycznia czy w początku lutego, wyszły dopiero cztery zeszyty tworzące całość: *Dworzanina* Łukasza Górnickiego. — Wydawca powypuszczał wiele rozdziałów nieprzypadających do dzisiejszego smaku i przyzwoitości, przez co zmniejszył objętość książki. — Niebawem wyjdą w jednym zeszycie: *Poezye Mikołaja Sępa Szarzyńskiego* i *Tobiasza Wiszniowskiego*; — niemniéj także w jednym zeszycie: *Zdanie Syna Koronnego* o pięciu rzeczach Rzplté p. X. Piotra Grabowskiego. — Wydawnictwo to zawiązawszy stosunki z księgarniami Królestwa polskiego, może rozszerzyć zakres śwój i przyjść do sił i zasobów tak niezbędnych w przedsiębiorstwie wymagającem znacznych nakładów, nietylko na same druki, ale na dobre przygotowanie mających się robić wydań. — Ważna historyczna praca X. Piotra Pękalskiego Ś. T. D. i t. d. wyszła temi dniami z drukarni Czasu; tytuł dziełka: *Żywot ś. Wojciecha* bis. i męczen. Z uwagami nad podaniem Czechów: Jakoby zwłoki Jego w Pradze spoczywały. — Autor zbija dowodami swemi mylne twierdzenie o porwaniu zwłok Ś. Wojciecha z Gniezna i przeniesieniu ich do Pragi. — Obszerniejsze sprawozdanie o pracy téj zamieścimy w Czasie. — Wydanie to ozdobne ma jeszcze dwie piękne ryciny: Grób Ś. Wojciecha w katedrze

Gnieźnieńskiej, i drzwi katedry Gnieznieńskiej — obie ryciny wykonane zostały w litografii Czasu, która przez objęcie dyrektorstwa w niej p. Fajansa, stanie się zakładem mogącym odpowiedzieć wzystkim wymaganiom krajowym, że już niepotrzeba będzie udawać się zagranicę o pomoc do obcych artystów i obcych litografij. — W tejże drukarni wyszedł: *Żywot S. Stanisława* w krótkości zebrany na fundusz odbudowania sadzawki na Skałce — staraniem XX. Paulinów. — Ukazał się niemniej *Rocznik* Tow. Naukowego Krakowskiego Tom Iszy a ogólnego zbioru Roczników Tom XXIV. — Niebawem także opuścić prasę drugi tom dzieła Karola Mecherzyńskiego: Historya wymowy w Polsce. — Nakładem J. Wildta wydawana *Czytelnia domowa* dostarczyła szóstego zeszytu romansu *Afraja*; w tych dniach wyjdzie zeszyt ostatni kończący tę zajmującą powieść.— Wyszła także broszurka Dr. M. Zieleniewskiego: *Wody lekarskie* okręgu rządowego krakowskiego *Krynica* w r. 1857 — w części rzecz ta była umieszczoną w kolumnach Czasu.

Nakładem i czcionkami Karola Budweisera ukazał się drugi zeszyt tomu Igo, dzieła ks. Franciszka Gusty, z włoskiego na polskie tłómaczonego: *Historya kościoła ruskiego* — wydawcą jest ks. Jan Ławłowski. Z zeszytem drugim kończy się tom pierwszy doprowadzony do końca szesnastego wieku. — Wielce potrzebną szczególniéj dla licznych podróżnych zwiedzających Kraków książką, będzie *Przewodnik po Krakowie* pod względem sztuki i archeologii ułożony p. J. Łepkowskiego. Wydawcą jest Orgelbrand, księgarz Warszawski. — Dziełko to ozdobione będzie 60 drzeworytami podług nowych rysunków z natury, wykonanemi w Zakładzie Xylograficznym Kreczmera w Lipsku. Oglądaliśmy rysunki przygotowane przez naszych rysowników krakowskich jak: Ludwik Łepkowski, Dydyński, Cynk, Mamczyński, Eliasz Walery, Gryglewski, Świerzyński, Siedlecki — i śmiało możemy powiedzieć, że niektóre roboty zalecają się taką dokładnością i zręcznością że nie ustępują zagranicznym. Szkoda że jeszcze niemamy u siebie Zakładu Xylograficznego, a uciekać się musimy do zagranicy. — Warszawa szczęśliwsza w tym względzie, przyszła już do podobnego zakładu i wydaje humorystyczne pisemko: *Wolne żarty* illustrowane bardzo biegle wykonanemi drzeworytami.

Donosiliśmy dawniej o zajmującéj, malowniczéj publikacyi pod tytułem: *Album Szczawnicy*, Dwanaście litografowanych widoków wykonanych w Wiedniu podług rysunków p. Szalaya właściciela Szczawnicy, stanowić będzie pierwszą seryję. W tych dniach zeszyt pierwszy wyjdzie na widok z tekstem opisowym drukowanym w drukarni Czasu, i obejmować będzie: 1) Zakład Szczawnicki. 2) Wieś Frydmann 3) Zamek w Czorsztynie. 4) Zamek w Niedzicy. — Opis napisany bardzo w zajmujący sposób i wzbogacony poszukiwaniami miejscowemi i historycznemi wspomnieniami, jest pióra Szczęsnego Morawskiego, który już dał się poznać czytelnikom naszym z wielu prac z wielkiem zajęciem czytanych. Tym sposobem Album Szczawnickie nie tylko wartość mieć będzie pod względem samych widoków, ale nabierze znaczenia prz z dokładny i w wielu szczegółach nowy rys téj roman-

tycznéj naddunajcowéj okolicy.— Reszta zeszytów wyjdzie zapewne w połowie Maja.

Lwów. W zamian za upadek *Switu* dziennika politycznego codziennego, zaczyna z 1wszym kwietnia wychodzić dwa razy na tydzień: *Przegląd powszechny* pismo poświęcone polityce, handlowi i przemysłowi. Redaktorem onegoż jest p. Stupnicki wydawca *Przyjaciela Domowego* utrzymującego się od lat kilku.— W zakładzie Imienia Ossolińskich drukują się *Monumenta* wydawane przez A. Bielowskiego, a czwarty tom słownika Lindego niebawem będzie ukończony. — Wyszedł także nakładem Wildarza dwutomowy romans Henryka Rzewuskiego: *Paź Złotowłosy*, który zaczął był wychodzić w feuilletonie *Switu.* Jeżeli gdzie to w piśmie codziennem utwór tego rodzaju przypominający *Foblasa*, i inne romanse lubieżne zeszłowieczne, niepowinien był znaleść przyjęcia, chyba że zamierzono prowadzić propagandę publicznego zgorszenia. Szkoda tak znakomitego oryginalnego talentu, że tak źle darów Bożych używa.

Lipsk. U Wintera wyszło tam dzieło pod napisem: *Rosyjski mąż Stanu*, czyli pamiętniki hrabiego Jakuba Jana Siwersa— (*Ein russischer Staatsmann*)— Dwa pjerwsze tomy są dość dla naszéj historyi obojętne, za to trzeci mówi o pobycie Siwersa w Warszawie i opisuje jego udział w drugim rozbiorze Rzeczypospolitéj. —

Gdańsk. Wiadomo że Jeremiasz Falk należy do najznakomitszych rytowników 17go wieku— ryciny jego są skrzętnie poszukiwane przez zbierczy i artystów i w skutek tego stały się rzadkiemi na targach antykwarskich. Teraz dowiadujemy się że w Gdańsku. jego rodzinnem mieście, z którego powodu zawsze dodawał do swego nazwiska: *polonus*, prof. Schultz odkrył blachę przez niego rytowaną i dobrze zachowaną — jest to portret Krzysztofa Koenigsmarka.— Exemplarze nowego odbicia sprzedają się po talarze.

Poznań Wydawnictwo Żupańskiego ogłosiło *Pamiętnik* Moszczyńskiego do panowania Augusta III. i Stanisława Poniatowskiego. — Wyszła także mała książeczka opisująca: *Dom starego Wieszcza Wielkopolskiego* (Jenerała Franciszka Morawskiego)— Znana autorka wdzięcznie pisanych powieści wydaje teraz świeży twór: *Fata Morgana.* —

Warszawa. Biblioteka Warszawska z miesiąca Marca zawiera następne artykuły:

Pamiątki polskie w Rzymie, przez G. Z.

Staropolska miłość. Urywek pamiętnika, spisany przez J. I. Kraszewskiego.

Kupiec wenecki, dramat Szekspira, przekład Józefa Paszkowskiego.

Kronika paryzka, literacka, artystyczna i naukowa. Trybuna nowożytna, Villemaina.— Les Fausses bonnes Femmes, pięcioaktowa komedya Barierra. — Un Fils naturel, komedya Dumasa syna. — Czarodziejskie widowisko w Cyrku. — Paryż w 1858 roku; przegląd w żywych obrazach, przedstawiony w Ambigu-Comique. — Rachel — Proces Dumasa z Maquetem.

Wiadomości literackie.

Poezya Gladyator.

Kronika literacka. Teka wileńska, wydawana przez Jana ze Śliwina. Numer I. i IIgi. Wilno 1857. przez K. Wł, Wójcickiego Łapigrosz, Szkice obyczajowe,

skreślił i tekstem objaśnił A. Bartels. W Paryżu u Lamerciera. przez wł. — Rzut oka na poszyt drugi i ostatni dzieła: Rys grammatyki języka polskiego, p. A. Morzyckiego, przez Felixa Żochowskiego. Czas, Dodatek za m. grudzień 1857.

Rozmaitości, Beethoven i jego prace, przez Jolantę.

Korrespodencya. Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w c. k. Towarzystwie naukowém, odbyte d. 20 stycznia 1858 r.

W doniesieniach literackich tegoż pisma, znajdujemy niektóre nowości interesujące, które podajemy:

Kazimierz hr. Wodzicki znany z wielu prac wysokiéj wartości w oddziale historyi naturalnéj, rozpoczął druk w drukarni Gazety Codziennéj obszernéj rozprawy p. n. „O sokołach i sokolnictwie“. z wyłączną uwagą na Polskę. Dzieli się na następne ustępy; 1. Historya sokolnictwa. 2. Łowienie sokołów. 3. Nauka układania sokołów do łowów. 4 Polowanie z ptakiem. 5. Opis tak różnych gatunków sokołów, jak i jastrzębi do łowów zdatnych.— Rzecz cała nadzwyczaj zajmująca, nawet dla obojętnych na łowy z ptakami.

— Nakładem nowéj księgarni Gustawa Gebetnera i spółki wyszła powieść amerykańska p. n. „Życie marzeń“. Autorem jéj jest Donnald Mitchel, znany w Amerycе pod przybranem imieniem I. K. Marvela. „U nas (pisze tłumacz we wstępie) Mitchel szczególne jeszcze ma prawo do współczucia, gdyż dziadek jego Michał Mitchel serdecznym był przyjacielem i powiernikiem najtajniejszych myśli i planów Tadeusza Kościuszki, wówczas pułkownika wojsk Zjednoczonych Stanów Ameryki, i z tym ostatnim jako pod-szef sztabu głównego, ważny brał udział w wiekopomnéj bitwie pod Nowym-Yorkiem, w któréj lord Kornwallis został zbitym na głowę. Niemniéj także pod Saratogą przeciw generałowi Bourgoyne“. Mitchel zyskawszy sobie głośny rozgłos, tak artykułami po pismach amerykańskich peryodycznych, jako i powieściami, w r. 1853 mianowany konsulem Stanów Zjednoczonych w Wenecyi, po powrocie do kraju, osiadłszy w swojéj włości „Edgewood Farm“ tuż pod Newhaven, przygotowywa do druku historya nowożytnych rzeczypospolitych, między któremi policzył nietylko rzeczpospolitą Wenecką, Szwajcarską, San-Marino, Andory, lecz także i Polską. „Ważna ta praca (pisze tłumacz) daleko już posunięta została, i z napiętą uwagą oczekujemy historyi wzrostu i upadku Rzeczypospolitéj Polskiéj“.

— Pamiętnik religijno-moralny rozpoczął z. r. b. seryą drugą.— W wydanym zeszycie pierwszym czytamy: 1) Wiadomość historyczną o opactwie i kościele w Lędzie. 2) Wspomnienie o ś. p. Janie Gintylle, sufraganie dyecezyi telczewskiéj n Żmudzi. 3) Abraham, przez ks. W. Serwatowskiego. 4) ks. Ventura i jego systemat: ustęp wyjęty z niewydanych dotąd studyów Eleonory Ziemięckiéj. Wspomnienie pośmiertne ks. Dominika Przybylskiego, prof. Akademii Duchown. rzymsko-katolickiéj w Warszawie. Wiadomości naukowe, kronika kościelna.

— Nakładem Alexandra Nowoleckiego księgarza, wyszedł zeszyt pierwszy tomu drugiego przekładu z arabskiego „Koranu“ obszerne przypisy objaśniają sam text koranu. Przypisy te brane są już z przekładu francuzkiego

koranu Kazimirskiego, już z najlepszych wydań téj księgi w przekładach angielskich i niemieckich: najwięcéj jednak przypisami ubogacił to wydanie biegły oryentalista Władysław Kościuszko synowiec Tadeusza Kościuszki. — Staranne, sumienne i prawdziwie naukowe wydanie Koranu zawdzięczamy panu Nowoleckiemu, który przekonany o wartości przedmiotu, żadnych zabiegów i kosztów nie szczędził. Zeszyt 2gi tomu Igo wkrótce pójdzie do druku. Zeszyt ten zawierać będzie rzut oka na Arabów przed Mahometem, w czasie jego pojawienia się i po nim, stan judaizmu w tychże czasach; sektarze między wyznawcami islamizmu; kalendarz Arabski Adryana Krzyżanowskiego; zbiór modlitw codziennych i świątecznych dla pobożnych wyznawców islamu, — przekład z arabskiego Władysł Kościuszki: o monetach arabskich Konstantego Świdzińskiego; w ostatku: pogląd na stosunki Polski z Turcyą i Tatarami, na dzieje Tatarów w Polsce osiadłych, na przywileje tu im nadane, jako też wspomnienia o znakomitych Tatarach polskich, Juliana Bartoszewicza. Z tego krótkiego wyliczenia przedmiotów, czytelnicy ocenią wartość naukową téj publikacyi.

— Znane są piękne przekłady Wład. Syrokomli piosnek Bérangera i kilku W. Korotyńskiego. Dowiadujemy się z listu Syrokomli, że drukuje się wspólny obu tych poetów przekład pieśni ulubionego śpiewaka Francyi. —

— Tom drugi Zbioru Pamiętników do dziejów polskich Włodzimierza S. hr de Broel Platera który bezpłatnie prenumeratorowie Biblioteki Warszawskiéj otrzymują, już jest pod prasą i obejmuje: 1. Dalszy ciąg autografów z rękopismu Wład. hr. Ostrowskiego. 2. Pokazanie błędów i naprawy ich w Rzpltéj naszéj podczas tego bezkrólewia. Z rękopismu własnością będącego niegdyś Jana Albertrandego B Z. Są to uwagi nad pierwszém bezkrólewiem po śmierci Zygmunta Augusta, rzucające wielkie światło na owoczesny okres dziejowy. Autor niewiadomy. 3. Z tek Naruszewicza materyały nieznane do sprawy Zborowskich.— Porównano wydanie Pamiętników w tym przedmiocie L. Siemieńskiego i Ż. Pauli, i wybrano tylko te zabytki, które albo się zupełnie nie mieszczą w pomienionych pamiętnikach, albo też w wielce odmiennym wydrukowano texcie.

— Henryk Merzbach, znany z drobniejszych poezyi, ogłasza drukiem szkic dramatyczny p. n. Antoni Malczewski. Wydaje go swoim nakładem, a cały dochód przeznacza do składki zbieranéj na pomnik dla Ignacego Komorowskiego. W Poznaniu wyjdzie tom poezyj tegoż autora nakładem J. K. Żupańskiego p. n. Lutnia.

— Nakładem księgarni S. H. Merzbacha wyszedł tom 3ci Pism Adama Mickiewicza i obejmuje sześć pierwszych ksiąg powieści: Pan Tadeusz. Tom czwarty, w którym się mieści sześć ksiąg ostatnich tego arcydzieła, już jest pod prasą drukarską i w ciągu kilku tygodni ukończonym zostanie. —.

— Ferdynand Chotomski, znany od lat wielu autor trawestowanéj Enejdy Wirgiliusza, która tylko wyjątkami w naszych pismach była drukowaną, wydaje teraz w całości ten utwór.

— Młody utalentowany rzeźbiarz Święcki wykończył statuę

Mickiewicza w rozmiarze pół naturalnéj wielkości. Odlewy gipsowe wkrótce się ukażą: cena ich dostępna (po rs. 10) dozwala mieć nadzieję, że ta jedna z najlepszych prac Święckiego, wykonaniem wchodząca w sferę dzieł wyższéj sztuki, znajdzie upowszechnienie w kraju, bo niejedna rodzina, miasto cacek zagranicznych lepiej ozdobi mieszkanie postacią wielkiego wieszcza.

— S. Orgelbrand rozpoczął druk: „Mazowieckich powiastek" K. Wł. Wójcickiego. Druk historyi Mazowsza b. prof. Kozłowskiego pospiesza. Dzieło to nakładem pomienionego księgarza wyjdzie w r. b. we 2ch tomach ścisłego druku.

SPROSTOWANIE

pomyłek drukarskich w zeszycie styczniowym.

Str. 234 *wiersz* 33 *zamiast* plastyki i formy *czytaj* plastyki formy.
„ 238 „ 38 „ wiersz Dantyszka „ wiersz Dantejski.

w zeszycie lutowym.

Str.	291	*wiersz*	11	*zamiast*	Filip	*czytaj*	Felix.
„	„	„	16	„	Gostka	„	Gostków.
„	294	„	1	„	Rocourt	„	Rotrou.
„	302	„	10	„	Seger	„	Segowią.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowied. Ant. Czapliński Prowizor drukarni.